

ANNA KŁODZIŃSKA

Dzieci milionerów



PROLOG

Za zakrętem droga rozwidlała się, były to już dwie drogi, jakby uciekające od siebie w dwie przeciwne strony - na północ i na południe, ta z prawej nieco szersza, obsadzona po bokach młodymi drzewami.

Ryszard zwolnił i zawahał się. Właściwie było mu wszystko jedno, dokąd pojedzie. Wziął delegację „w teren”, pasjonował go temat, obojętnie, gdzie by się znajdował, a tematem byli przede wszystkim ludzie. Wciąż nowi, nieznani, pociągający tą nowością i odrobiną tajemniczości, która zresztą najczęściej zniknęła po bliższym poznaniu, czasem po pierwszej rozmowie. Zastanawiał się nieraz, jak łatwo ludzie wywnętrzają się przed obcym. Kiedyś bał się tego „włożenia z kaloszami do duszy”, jak to nazywał, bał się, że nie będą chcieli rozmawiać, że w ogóle nie otworzą mu drzwi. Potem przekonał się, że dość łatwo otwierali siebie.

Może więc szukali zrozumienia u człowieka, który się nimi interesował i słuchał uważnie, co mu opowiadają? Nie zawsze ma się

takich słuchaczy na co dzień. Często chcieli przy jego pomocy załatwić własne sprawy, kłopoty, nawet dramaty osobiste. Być może chcieli też, aby o nich napisał w swojej gazecie.

Ludzie byli wszędzie, obojętne, którą drogą pojedzie. Skręci) w prawo, bo coś w końcu trzeba było wybrać. Po kilkunastu kilometrach zaczął się las, zielony już o tej porze roku, mokry po niedawnych deszczach, pachnący świeżą trawą. Nic chciał zaglądać do mapy, wydawało mu się, że gdzieś niedaleko powinno być jezioro, może zresztą wcale go tu nie było mniejsza o to. Poczował głód. Spojrzał na zegarek. Sześć po dwunastej, południe pora na zjedzenie czegoś tam, co miał w samochodzie.

Zatrzymał się i boku drogi, wysiadł i rozprostował kości Cieszyła go wiosna, nadchodzące ciepło i perspektywa letniego urlopu. Zima zawsze zostawiała po sobie jakiś osad znużenia nie tylko fizycznego Rozpakował paczkę z kanapkami, kawa w termosie była gorąca Usiadł na wysuszonym w słońcu i odartym z kory pniaku, jadł, rozglądał się po lesie i rozkoszował ciszą.

Jechał później wolno, paląc papierosa, zaintrygowany tą drogą która mogła go zaprowadzić do bardzo dobrego „tematu”, czuł przez skórę, że potrafi o każdym spotkanym człowieku napisać ciekawy reportaż. Właściwie o każdym można by napisać książkę.

Nagle droga i las urwały się. Przed Ryszardem, nieco w dole, leżało ogromne jezioro, z boku ciągnęła się wioska. Najprościej było do

niej dojechać na przełaj, przez błotniste ugory, kiedyś chyba pastwisko, teraz poprzerzynane głębokimi koleinami ze śladami gumowych opon. Zdecydował, że jeśli jeździły tędy chłopskie wozy lub ciągniki, to i on się przedostanie swoim fiatem 125p. Wiatr trochę osuszył ziemię, da się przejechać bez obawy ugrzęźnięcia.

Wieś była duża i jakby nietypowa. Obok skromnych, starych chałup wyrosły piętrowe domy, stylizowane ni to na góralskie, ni to na całkiem egzotyczne w tym miejscu - jakieś pomieszanie stylów wydumane ozdoby, zwisające wielkie okapy. Byłoby to zabawne, gdyby nie było tak brzydkie. Zdziwiony, przyglądał się tym okazom architektury i próbował zrozumieć, skąd się wzięły i po co. Przy niektórych dostrzegł wyraźną krzątaninę gospodarzy: zamiatali zeszłoroczne śmiecie w ogródkach, malowali ściany, ktoś wyniósł przed dom materace i trzepał z dużą energią.

Po chwili zorientował się, że jego samochód obserwowany jest z zainteresowaniem przez mieszkańców wioski. Przystawali, osłaniając oczy pod słońce, wydawało się nawet, że czekają, aż się zatrzyma. I nagle Ryszard zrozumiał: to była wieś, czekająca ha turystów. To dla nich pobudowano te okropne pseudowille, dla nich szykowano noclegi. Był koniec kwietnia, jeszcze dwa, trzy tygodnie i zjawia się „letnicy”. Oczywiście, atrakcja jest z pewnością jezioro i las.

- Przykro mi, ale ja nic nie wynajmę - mruknął. Dodał gazu, minął ostatnią chałupę i jechał wzdłuż jeziora. Brzeg miało obrośnięty

szuwarami, po drugiej stronie dostrzegł jakby przystań, drewniane pomosty i paliki, przy jednym kołysała się łódka.

Poprzez szum silnika usłyszał głośne stukanie młota i czyjeś nawoływanie, ale nie tam, na przystani. To było gdzieś blisko, na skraju lasu. Jezioro tworzyło ostry zakręt, kiedy go minął, ujrzał rozległy plac budowy, na którym krzątało się kilku robotników. Zaciekawiony, komu to stawiają dom daleko od ludzi, przystani i sklepów, podjechał, zatrzymał wóz i wysiadł. Reporterskim okiem obejrzał plac, znał się trochę na architekturze, w każdym razie na tyle, żeby ocenić, iż postawiono tutaj piękną, dwukondygnacyjową willę. Właściwie budowa była już zakończona, robotnicy pracowali przy otwartym basenie obok domu. Dwaj układali chodnik z płyt stropowych, jeden właśnie odszedł na bok i przetrząsał kieszenie: pewnie szukając papierosa.

Ryszard pomyślał, że to okazja do nawiązania rozmowy. Zbliżył się, podsunął paczkę marlboro, trzasnął zapalniczką. Robotnik był miody, twarz miał ciemną, opaloną i zawadiacki kosmyk czarnych włosów, wystający spod czapki, zachlapanej farbą i cementem.

- Dziękuję - powiedział, przyglądając się dziennikarzowi. - Pan pewnie krewny gospodarza? Na kontrolę?

- Skądże! Tak tylko... Przejeżdżałem, zobaczyłem budowę. To będzie dom wczasowy?

Robotnik uśmiechnął się szeroko.

- Pan z daleka?

- Z Warszawy.

- Aha. - Pomilczał chwilę, zaciągnął się dymem, wyjął z ust papierosa i obejrzał. - Jeszcze takich nie paliłem.

- Smakują panu?

- Niezłe. Ale ja wolę sporty. Przynajmniej czuję, że palę.

- Mieszka pan w tej wiosce? - Ryszard pokazał na dalekie domy.

Robotnik potrząsnął głową.

- Nie, ja z Koszowca. To takie miasteczko, szesnaście kilometrów stąd.

- I dojeżdża pan tak daleko? - zdziwił się dziennikarz.

- Mam motor. Zresztą, już kończymy.

- Czyj to dom?

- Pana Suwalskiego.

Ryszard zastanawiał się chwilę, jak dalej poprowadzić dialog, aby nie spłoszyć rozmówcy. Chciał się czegoś więcej dowiedzieć o człowieku, nazwanym „panem Suwalskim”. W końcu spytał ostrożnie:

- To jakiś dyrektor?

- Był. Teraz na emeryturze.

- Musiał sporo odłożyć - zażartował. - Taka willa... - popatrzył, obliczył w myśli - kosztowała chyba ze trzy, cztery miliony?

- Sześć - sprostował robotnik. - On to ma z emerytury.

Spojrzeni sobie w oczy i wybuchnęli śmiechem. Dwaj inni, układający chodnik, przerwali robotę i zaintrygowani podeszli do

rozmawiających. Ryszard poczęstował ich papierosami. Przesiedli na niskim murku, okalającym basen.

- To pan, panie turysta, nie wie nic o Suwalskim? - zapytał najstarszy z robotników o twarzy pomarszczonej jak zwiędłe jabłko.

- Nigdy o nim nie słyszałem. Nie szkoda płyt stropowych na chodniki?

- Szkoda. Ale jemu nie. Przywieźli płyty aż z Lublina.

- Za tydzień podobno przywiozą meble - dorzucił trzeci, chudy i wąsaty. - Chce pan zobaczyć dom w środku?

Ryszard zawahał się.

- A można? Jeżeli pan Suwalski przyjedzie niespodziewanie, byłoby mi trochę głupio...

- Teraz nie przyjedzie. Dopiero pod wieczór. Teraz siedzi w domu. To trzydzieści kilometrów z okładem. W Babińcach - wymienił duże miasto.

- Tam ma dom, a tu wybudował sobie letnisko czy jak?

Trzej robotnicy popatrzyli po sobie, roześmiali się. Najstarszy splunął na chodnik, wcisnął głębiej czapkę na czoło i powiedział:

- W mieście Suwalski ma dwanaście hektarów sadu i pałacyk, tak go nazywają z dawna. Kiedyś, jak Babince były tylko powiatem, w pałacyku, ale to było jeszcze przed wojną, mieszkał podobno jakiś hrabia. Potem wziął to Suwalski.

- Jak to: wziął?

- No, może kupił, może mu urząd podarował.

Nie wiem. Suwalski był bardzo długo dyrektorem „Boredu” i podobno się zasłużył. On w mieście każdego zna.

- I nie tylko w mieście. Mówią, że w ogóle... W Warszawie też.

- W Warszawie ma mieszkanie - wtrącił młody. - Wiem, bo mi opowiadał jego kierowca. To jest też willa, tylko mniejsza, taki domek jednorodzinny z ogródkiem. Tam teraz mieszka jego syn.

- A te dwa domy nad Jeziorem Czarnym? - Chudy zgasił papierosa, starannie zdeptał w piasku. - Przecież jeszcze ma te dwa. Nie takie duże, jak ten, ale i nie takie znów małe. Latem wynajmuje znajomym, za grubą forszę. Raz tam byłem, naprawiałem dach w jednym. Nazywał je z rosyjska: „dacze”.

Ryszard słuchał oszołomiony i próbował to wszystko jakoś sobie uporządkować. Pałac z sadem, willa, dwa domy nad Czarnym, domek w Warszawie. Cóż to za facet? Raptem zerwał się z murku.

- Pokażcie mi, proszę, jak to wygląda w środku! Drzwi są otwarte?

- Tak, przecież tam jeszcze nic nie ma do ukrywania - zaśmiał się młody. - Zresztą Suwalski przyjedzie wieczorem i weźmie od nas klucze. Chodźmy.

Willa miała wysokie piwnice, parter i piętro. Zaczęli od piwnic. Była tam kotłownia centralnego ogrzewania, jakieś puste jeszcze pomieszczenia, może magazyny. Całą jedną stronę zajmowała sauna, prawie gotowa. Na parterze znajdowały się tylko dwa, ale ogromne

pokoje. Jeden miał chyba osiemdziesiąt metrów kwadratowych, ściany wyłożone jasną dębową boazerią, wykończoną matowym plaslakiem „na dąb”. Sufit zdobiły jasne kasetony, klepka na podłodze również dębowa. Wskutek braku mebli pokój wydawał się jeszcze większy i przytłaczał tym ogromem.

Drugi pokój na parterze, połączony z hallem automatycznie rozsuwanymi drzwiami z modrzewiowych deszczulek, miał dla odmiany ciemny wystrój - też boazeria, klepka i kasetony, ale Ryszard nie umiał rozpoznać, z jakiego drewna, więc zapytał.

- Orzech kaukaski - odparł najstarszy robotnik. - Sprowadził dwie ciężarówki. I specjalistów z Warszawy do układania, bo się trząsał nad każdą deską. Bardzo drogie drzewo.

- Niech pan zwróci uwagę na klamki - powiedział chudy. - Są z mosiądzu. Każda po dwa i pół tysiąca.

Weszli na piętro, prowadziły tam schody z przepięknie rzeźbioną balustradą - artystycznie kuta metaloplastyka dekoracyjna. Na górze było sześć niedużych pokoi i dwie łazienki. W pokojach ściany pokryto barwnym adamaszkiem, każdy w innym kolorze. Przez całe piętro biegł, korytarz, na jednym końcu urządzono podręczny barek czy bufet. Łazienki, wyłożone aż po sufit niebieskimi i różowymi kafelkami, wyglądały cukierkowo i nie pasowały do reszty.

- Kuchnię kazał zrobić w przybudówce objaśnił najstarszy. - Żeby zapachy nie szły do pokoju. Z drugiej strony są garaże, a przy kuchni

mieszkanie dla dozorczy i palacza. Jeszcze coś tam ma być, za garażami, ale my już skończyliśmy. Może potem... - umilkł, popatrzył dokoła.

Ryszard obejrzał taras i ganek z modrzewiowym daszkiem, po czym wyszli i znów usiedli obok basenu.

- Słuchajcie, kochani - zaczął, wciąż licząc i zdumiewając się coraz bardziej - przecież to się nie da... z żadnej pensji! On żonaty, tak? Więc może żona wniosła mu w posagu złoto albo hektary?

- Która żona? - spytał chudy. - Bo ta, to jest trzecia. Chyba ze dwadzieścia pięć lat młodsza od niego. A syna ma z drugiej. Pierwsza zginęła w czasie wojny. Ja mieszkam w Babińcach, tam o Suwalskim ludzie dużo wiedzą. Dużo, to nie znaczy wszystko - dodał. Wystawił twarz na słońce, które przygrzewało coraz mocniej, zakrył oczy daszkiem czapki.

- Suwalski był tu wczoraj z żoną - rzekł młody - Ładna babka, elegancka. Jakbym miał choć dziesięć procent tej forsy, co on ma, to bym mu ją sprzątnął.

- A wiecie, że ja go niedawno widziałem w telewizji - chudy ożywił się, przesunął czapkę na tył głowy i usiadł prosto. - Jak raz leciał lokalny program i jakaś uroczystość, nie pamiętam, otwarcie domu towarowego chyba. Pokazali Suwalskiego w pierwszym rzędzie, bo potem była część artystyczna. Siedział z żoną.

Najstarszy robotnik milczał. Ryszard spojrział na niego raz i drugi, chcąc zachęcić do rozmowy, był ciekaw, dlaczego tamten się nie odzywa. Wreszcie spytał wprost:

- A pan co o nim myśli?

- Ja? - Murarz wzruszył ramionami, nachmurzył się. - Ja myślę, że my tu gadamy, a robota stoi. Ciekaw pan Suwalskiego, to przejedź pan się do miasta, porozmawiaj z nim... Chodź, Staszek! - Skinął na młodego, podnieśli się z murku.

Kiedy odchodzili, Ryszard usłyszał, jak mówi cicho, zirytowanym głosem:

- Cholera, mielesz ozorem, jakby cię kto nakręcił, skąd wiesz, czy to nie jaki krewny starego? Powtórz mu, coś powiedział o jego babie, i wylecisz z roboty. Gdzie tyle zarobisz, co tu?

Wąsaty uśmiechnął się drwiąco.

- Franek się boi - mruknął. - Tym dwóm zależy na robocie u Suwalskiego, bo on dobrze płaci. W zeszłym miesiącu wyciągnęliśmy każdy po czternaście. Ja nawet trochę więcej.

- Czternaście tysięcy? Fiu, to niewąsko zarobiliście! I panu nie zależy na tej robocie? Bo powiedział pan, że „tym dwóm”...

- Ja mam dość - odparł chudy, dźwigając się z twardego siedzenia.

- Na takich fachowców, jak ja, robota czeka i prosi. Zresztą... - splunął, wziął podanego mu papierosa, zapalił. - Obrzydła mi jego gęba, wie pan?

Za dużo widzę, a myśleć też umiem. Obrzydło mi - powtórzył, zapatrzył się gdzieś daleko. - To wszystko jest nie tak.

- A jak powinno być?

Robotnik spojrzał dziennikarzowi prosto w oczy

- Jedź pan już - powiedział szorstko. - Od wyjaśniania jest gazeta, radio, telewizja. No, do widzenia.

Odwrócił się, popatrzał na zegarek i przyśpieszył kroku. Po chwili znikł za rogiem domu.

Ryszard posiedział jeszcze chwilę, utrwalając w pamięci obraz pięknej willi, w której niedługo zamieszkać miał były dyrektor „Boredu”. Już wiedział, że mu ta sprawa nie da spokoju, dopóki jej nie rozwiąże. Przynajmniej na swój dziennikarski użytek. Znał w Babińcach parę osób i postanowił teraz odnowić te znajomości. Musi dowiedzieć się o Suwalskim o wiele więcej niż w tej krótkiej rozmowie.

Jednakże znajomi zawiedli. Kiedy pod wieczór znalazł się w Babińcach odwiedził jednego, potem drugiego - trzeci był za granicą. Dawny kumpel ze studiów, też dziennikarz, ale z miejscowej prasy, kiedy usłyszał, o kogo chodzi, wzruszył ramionami

- Stary, na co ci to? Suwalski to emeryt. Był podobno dobrym dyrektorem, mnie tu wtedy jeszcze nie było. A że buduje willę? Nie on jeden.

Drugi znajomy położył palec na ustach.

- Cyt! Nie narażaj się, chłopie. Ani mnie. Suwalski, to wysoka figura. Nie ugryziesz go. I nie próbuj, radzę ci. W każdym razie ode mnie nic nie wyciągniesz.

Rozdział 1

Biały fiat 132 podjechał cicho przed dom, kierowca zahamował, wysiadł z wozu i z zainteresowaniem przyjrzał się willi. W szeroko otwartych oknach na parterze świeciło się, dolatywał stamtąd gwar głosów, pobrzękiwanie szklą i śmiechy. Na piętrze jasne było tylko jedno okno, ale tam panowała cisza.

Przybyły postać chwilę przy samochodzie, obserwując i nadsluchując, popatrzał w ciche okno i uśmiechnął się przelotnie. Wiedział, a może tylko domyślał się, kto z kim mógł zaszyć się w cichym tete a tete. Zresztą mało go to obchodziło. Spróbował rozróżnić głosy, dobiegające z ogromnego pokoju na parterze.

- Jacek, oczywiście - mruknął do siebie - Waldemar... i chyba rudy Piotrek z Krakowa.

Zaciekawiło go, że nie słyszczyć kobiecych głosów. Czyżby zabawa wyłącznie w męskim gronie? Chyba że niektóre pary pochowały się już na górze. Kiedy oczy przyzwyczyły się do ciemności, dostrzegł samochody, zaparkowane gdzie się dało; miały rejestracje z różnych miast, jedną z Holandii Zamknął swego fiata, schował kluczyki i

zadzwoił do drzwi frontowych. Otworzyły się niemal natychmiast, widocznie ktoś w domu zauważył przybysza. Wysoki mężczyzna w koszuli, rozpiętej do pasa, i jasnych flanelowych spodniach, stanął na progu. Twarz miał zaczerwienioną, wzrok trochę niewyraźny.

- Jak się masz, Waldek - powiedział przybyły z rozbawieniem. - Widzę, że nie czekaliście na mnie.

- To ty. Stefan? - Wysoki chwiał się na nogach, ale próbował zachować równowagę. - Czego stoisz, właź!

Kierowca białego fiata minął go, klepiąc przyjaźnie po ramieniu i wszedł do hallu, który rozdzielał dwa wielkie pokoje. Goście siedzieli po prawej stronie w „myśliwskim”, po lewej był salon. Przybysz skierował się na prawo. Powitał go gromki okrzyk, kilka par rąk uniosło w górę kieliszki.

- Czemu tak późno? Miałeś kraksę? Nie mogłeś trafić? - posypały się pytania, na które nawet nie próbował odpowiedzieć, a i tamci nie czekali na odpowiedź. Z głębokiego fotela, krytego czarną skórą dźwignął się szczupły brunet, wzrostu mniej niż średniego. Miał włosy gładko uczesane, oblepiające czaszkę niczym hełm, nos prosty, cienki, wargi pełne. Lekko wysunięty podbródek i ostre spojrzenie piwnych oczu znamionowały upór, jakąś władczość, chęć przewodzenia. Odstawił kieliszek na stół i podszedł do spóźnionego gościa, mówiąc:

- Cześć. Stefan! Witaj w chałupie mojego starego, a właściwie to i mojej. Nasz najnowszy nabytek, dlatego, widzisz, oblewamy. Chlapnij sobie, potem pokażę ci dom. Co ci nalać?

Stefan Mrowiec popatrzał krytycznym okiem na długą baterię butelek, ustawionych w szeregu na stoliku barowym. Stolik miał kółka, gospodarz przyciągnął go bliżej i wyliczał, wskazując palcem:

- Scotch Whisky Black and White, White Horse, seta Pipers, Vat sześćdziesiątka dziewiątka, Beefeater Dry Gin. Może wolisz zacząć od koniaku? Salignac V.S.O.P., Armagnac de Lord, Jules Robin, Croiset. Frappier, Remy Martin... No? Może coś opuściłem - zatroszczył się, przyglądając butelkom.

- Daj mi King Robert II, to dobra whisky. I coś na ząb, bo zgłodniałem przez drogę.

- Ależ oczywiście, częstuj się. Tu są kanapki z jakimś ścierwem, świeże. Jolka sama robiła. A tu sałatka. I jajeczka w majonezie. Bierz, czego dusza zapragnie.

Mrowiec wybrał sobie kilka kanapek, dołożył sałatki, wsadził na wierzch pikle i parę grzybków w occie, uzupełnił wszystko jajkiem i usiadł z boku, aby zaspokoić pierwszy głód. Nie mieszał się do rozmowy. Trzy osoby znał, dwie były mu obce. Cudzoziemiec, pewnie właściciel wozu z holenderską rejestracją, bardzo wysoki, szczupły blondyn w okularach, ostrzyżony na jeża, rozmawiał po niemiecku z Waldemarem Kosańskim. Drugi obcy. - niedużego wzrostu tłuścioch,

trochę łysawy, z brodą wijącą mu się 3Ż do połowy piersi - pożerał w skupieniu wielką porcję tortu. Pod oknem siedział samotnie „rudym z Krakowa”, czyli Piotr Holden. Jego blada twarz o skórze tak cienkiej, że zdawało się - pęknie przy najmniejszym ruchu mięśni, okolona gęstymi rudymi włosami, spływającymi w puklach na ramiona i plecy, twarz o na wpół przymkniętych oczach i rozchylonych bezkrwistych wargach na pierwszy rzut oka wyglądała jak martwa.

Mrowiec nie przestraszył się ani nie zdziwił. Wiedział, że Holden co pewien czas odwożony jest przez rodziców do sanatorium. Że nie wolno mu pić ani palić, ale że robi jedno i drugie. Szpikowany lekarskimi, podleczały, wracał do swoich różnych nałogów z taką samą obojętnością, z jaką poddawał się kuracji. Poza leczeniem i nałogami nie robił nic, bo nie chciał. Kiedyś malował, trochę udzielał się w studenckim teatrze, trochę śpiewał. Później robienie czegokolwiek budziło w nim wstręt. Siedział teraz nieruchomo, sączył z kieliszka koniak i milczał.

- Zjadłeś? - zbudził Mrowca głos pana domu. - To chodź, pokażę ci chałupę. - Ten pokój - zatoczył ręką dokoła - stary nazwał myśliwskim, chociaż jeszcze żaden myśliwy w nim nie siedział. Ale to nieważne. Popatrz na te rogi. Kupione, rzecz jasna. Dwa jelenie, dwa... raczej dwie łopaty łosia, łeb odyńca, skóra niedźwiedzia, stary mówi wszystkim, że to był tatrzański niedźwiedź, ale tobie mogę powiedzieć, że kupiony w

Berlinie. Nie zdziwiłbym się, gdyby był z jakiegoś sztucznego tworzywa.

- Zwariowałaś? - roześmiał się Mrowiec. - Przecież ma łeb.

- Nie takie łby dzisiaj robią. Najlepsze to tu są fotele. Prawdziwa skóra, angielskie „kluby”, można w nich spać. Stół jest dębowy, jak widzisz na krzyżakach, cholernie ciężki. Cały wystrój ścian, podłoga i kasetony z orzecha kaukaskiego. Wiesz, ile nas kosztował ten jeden pokój? - Pochylił mu się do ucha, oddech miał przesycony alkoholem. - Ten pokój to sześćset pięćdziesiąt tysięcy. Z dywanem, oczywiście. Idziemy dalej!

Minęli hall i weszli do salonu. Mrowiec przystanął w progu, olśniony blaskiem bijącym z kryształowego żyrandola, zwisającego z sufitu niczym ogromny pajak. Światła lamp odbijały się w dwóch lustrach, zawieszonych na przeciwległych ścianach, wszystko tu błyszczało i grało kolorami tęczy.

Ten pokój również ozdobiony był kasetonami i boazerią, ale w jasnych barwach. W jednym rogu stał długi mahoniowy stół, przy nim kanapa i osiem foteli, krytych złocistym brokatem. Na kominku z imitacji czarnego marmuru - chińska waza, bardzo kolorowa, a obok niej stary zegar mahoniowy z czterema kolumnkami, nakryty szkłem. Na ścianach wisiało kilka obrazów. Mrowiec nie znał się na malarstwie, wydawały mu się ładne. Dostrzegł jeszcze jeden stolik z trzema fotelami, dwie palmy w wielkich donicach, brokatowe ciężkie zasłony przy

otwartych oknach. Patrzył przez chwilę na ten niecodzienny widok, w końcu rzekł:

- Słuchaj, to jest wspaniałe! Nie przypuszczałem, że twój ojciec potrafi tak pięknie urządzić mieszkanie.

Jacek Suwalski roześmiał się na całe gardło.

- Stary nie ma pojęcia o sztuce i tych rzeczach! Po prostu zamówił plastyka i paru architektów. Jak zapłacisz, to masz. Podoba ci się?

- Pierwsza klasa! Można by tu zabawić się na Sylwestra. Co? Jak myślisz?

- Nie wiem. Może ojciec zaprosi swoich kumpli. Chcesz iść na górę? Tam jest sześć sypialni i dwie łazienki. Albo idź sam, bo ja muszę wracać do gości. Waldek zalał się, może co potłuc i stary będzie potem krzyczał.

- Boisz się ojca?

- Nie to. Ale może mi urwać z pensji... Co się śmiejesz? On to nazywa pensją. Daje mi miesięcznie trzydzieści „patyków”, a potrafi się handryczyć o dwa złote. Ja mu trochę pomagam... - urwał. - No, dobra. Czuj się, jak u siebie. Wy też macie ładną chatę - pochwalił, widząc zazdrość w oczach Stefana. - Te wasze meble, zrobione na antyki, musiały niewąsko kosztować, co?

- Owszem - przyznał Mrowiec z uśmiechem. - Matka wpierw nie chciała, bo dom jest w stylu góralskim, to teraz modne, ale ojciec się uparł, że jeden pokój musi być z antykami. O prawdziwe trudno, więc

zrobili nam jesionowe meble, kryte niebieską morą, na wzór belwederskich z czasów księcia Konstantego i Księżny Łowickiej.

- Piękny komplet. Ile kosztował?

- Trochę ponad czterysta tysięcy.

Wrócili do pokoju myśliwskiego. Kosański na ich widok próbował podnieść się z fotela, ale stracił równowagę i zwałił się na stolik z zastawą, twarzą prosto w sałatkę. Holender spał, hałas nie przebudził go. Rudy Piotr otworzył oczy, lekki uśmiech przesunął mu się po wargach. Suwalski poczerwieniał z gniewu, zastawa to był autentyczny Rosenthal kosztowała majątek. Podeszedł, chwycił Kosańskiego z tyłu za kołnierz koszuli, poderwał go brutalnie i syknął:

- Ścierwo! Schlałeś się, to idź spać, ale nie rozwalaj mi półmisków.

- Przepra... nic nie zbiłem... ja ci zapłacę - stękał Waldemar, szukając niemrawo czegoś, czym dałoby się wytrzeć twarz.

- Idź na górę, słyszysz? Umyj się. I nie pokazuj mi się na oczy, bo mordę skuję!

Popchnął go w stronę drzwi, przez chwilę słuchał kroków na schodach, potem uspokojony siadł w fotelu. Mrowiec patrzył na niego z uwagą. Zastanowił go ostry, zimny błysk w oczach Suwalskiego, kiedy ogarnął go gniew. Pomyślał, że byłoby niebezpiecznie mieć w nim wroga. Znał dotychczas Jacka z innej strony, lubił go nawet, mieli ze sobą wiele wspólnego. Urodzili się, wyrastali i żyli w podobnych warunkach. Ojciec Jacka. Artur Suwalski, przez długie lata dyrektor

dużego przedsiębiorstwa, stworzył synowi życie bogate i bez kłopotów. Zmusił go ca prawda, aby ukończył wyższe studia, potem jednak nie wymagał żadnej pracy.

Rodzice Mrowca należeli do tego samego środowiska. Ojciec był agentem w gastronomii, podlegało mu kilka dużych i kilkanaście małych lokali, cocktail-barków, kiosków z hamburgerami i piwem. Pani Mrowiec sumiennie wydawała sporą część zarobków na własne potrzeby, a dwoje dzieci - syn i córka - miało właściwie wszystko, co starzy mogli im dać. Stefan po maturze, którą zrobił z trudem i przy pomocy kilku korepetytorów, zaczął studiować archeologię, ale szło mu opornie i w wieku dwudziestu pięciu lat był dopiero na drugim roku. Jego młodsza siostra Karina zdążyła wyjść za mąż, rozejść się, spróbować samobójstwa i spowodować wypadek samochodowy. Teraz, pod koniec sierpnia, przebywała z matką we Włoszech.

W trochę innych warunkach chował się Kosański. Pochodził z okolic Nowego Targu, a jego ojciec dorobił się majątku na seryjnej produkcji kozuchów. Były to miliony, które ulokował w paru warsztatach stolarskich, kiedy „lewym kozusznikom” ziemia zaczęła palić się pod nogami. Wprawdzie Antoni Kosański wywinął się z tego gładko, wolał jednak dalej nie ryzykować. Z każdego warsztatu wyciągał dzisiaj około pięćdziesięciu tysięcy miesięcznie, na czysto, po opłaceniu pracowników. Waldemar zarejestrowany był w którymś jako stolarz - meblowy, choć zaledwie umiał jako tako zheblować deskę. Trzeba było

jednak coś zrobić z jedynakiem, który do nauki nie miał głowy. Ale kiedy po pijanemu rozwalił młotkiem cenny mebel, ojciec wyrzucił go z warsztatu. Wolał dawać synowi wysokie uposażenie bez roboty, niż żeby ją psuł.

Z jeszcze innej kategorii zawodowej rekrutował się Holden. Miał ojca - profesora nauk medycznych, bardzo wziętego, zwłaszcza wśród prywatnych pacjentów. Jedna wizyta kosztowała wprawdzie tysiąc trzysta złotych, ale ci ludzie mogli sobie na nią pozwolić. Byli w Krakowie lekarze, którzy niejednokrotnie poddawali w wątpliwość stosunek umiejętności pana profesora do ceny, jaką przychodziło za nie płacić. Kiedy dochodziły do niego te głosy, odpowiadał, że kieruje nimi zwykła zazdrość zawodowa. Zresztą, dodawał, nikt nie musi przychodzić prywatnie do jego gabinetu; jest przecież ubezpieczenie społeczne.

Mrowiec rozejrzał się po twarzach, a potem przysiadł obok Suwalskiego i spytał, kim właściwie są ci dwaj goście: tłusty z brodą i obcokrajowiec. Lubił wiedzieć, z kim pije.

- Holender, ten wysoki, jest pośrednikiem handlowym firmy... firmy, czekaj, bo zapomniałem... Mniejsza o to. W każdym razie utrzymuje kontakty z naszym handlem zagranicznym, a taka znajomość zawsze może się przydać. Ma na imię Axel, nazwiska nie pamiętam. Gdzieś schowałem jego wizytówkę.

- A ten drugi?

Suwalski z uśmiechem popatrzał na brodacza i kiwnął na niego ale tłuściochowi było za ciężko wstać z przepastnego fotela, więc tylko pomachał ręką w ich stronę.

- To Grzegorz Błowski z Warszawy. Przydatny facet, obrotny. Załatwi ci każdą sumę dolarów, funtów czy franków.

- Oczywiście, bierze procent?

- No, a coś ty myślał? Z czegoś przecież musi żyć. Jego matka ma dwa pawilony, jeden z konfekcją drugi z butami, ale Grzesiek nudzi się za ladą, więc mama skąpi grosza. Ojca nie ma, prysnął do Stanów dawno temu. Grześ chciałby do niego pojechać, tylko że nie zna adresu. Nie piszą do siebie. No, to już wszystkich znasz. Aha, na górze jest Jolka z Dariuszem Stocklandem.

- Kto to jest?

- Bardzo przyjemny chłopaczek. Gówniarz jeszcze, nie ma dwudziestu, ładny jak obrazek. Pisze teksty piosenek i śpiewa też przy gitarze. Głosik słabiutki, ale tym piosenkarzom dzisiaj głos nie potrzebny, bo mają wzmacniacze. Stary Stockland puścił w trąbę rodzinę i założył drugą. W rewanżu jego pierwsza żona a matka Dariusza szybko uskuteczniła to samo z jakimś literatem. Żadne nie chciało mieć w domu dzieciaka, więc opłacali mu internat, gdzieś tam taki znaleźli. Zrobił nawet maturę, potem zaopiekował się nim bardzo znany filmowiec. Teraz mieszkają razem i podobno robią jakiś film. Darek jest trochę wykoślawiony życiowo przez te rodzinne historie. Kiedyś, po pijanemu,

powiedział mi, że chciałby zabić matkę za to, że go porzuciła. Jak wytrzeźwiał, to wszystko odwołał, ale myślę, że właśnie wtedy był szczery. Żal mi chłopaka, więc go czasem zapraszam.

- I podstawiasz mu swoją dziewczynę? Suwalski zmarszczył brwi, spojrzał ostro.

- Jolka robi to, co chce - odparł. - Ode mnie dostaje forszę, bo to szalowa babka i lubię się z nią pokazać w lokalu. Reszta mnie nie obchodzi. Nalej mi, bo jestem jakiś niedopity. Remy Martin, jeśli łaska.

*

O trzeciej nad ranem w myśliwskim pokoju siedziało już tylko trzech ludzi: gospodarz, Mrowiec i Holden. Reszta spała w sypialniach na piętrze. Młody Suwalski, dziwnie trzeźwy, mimo iż wypił sporo, przyrządził kawę-szatana, po której całej trójce odechciało się spać. Holden zresztą najczęściej noce spędzał na czytaniu lub słuchaniu muzyki, zasypiał dopiero wtedy, kiedy inni wstawali.

- Powiedziałeś o Stocklandzie - rzekł Stefan w pewnej chwili - że wyznał ci po pijanemu, iż ma ochotę unicestwić własną rodzicielkę. Sądzisz, że naprawdę gotów byłby to zrobić?

Suwalski, ha wpół leżąc w głębokim fotelu, przymrużył oczy. Przez chwilę zastanawiał się nad odpowiedzią, wreszcie odparł:

- Tak. Powiedział mi, że kierowałaby nim silna chęć odegrania się za zmarnowane dzieciństwo.

Mrowiec, któremu od pewnego czasu jedna myśl nie dawała spokoju, spojrział mu prosto w oczy i rzucił:

- Ty nie byłbyś zdolny do zabicia człowieka... Jacek wytrzymał spojrzenie, uśmiechnął się.

- Co to ma być? Prowokacja? - spytał. Holden przyglądał się im z uwagą. Nadwrażliwymi nerwami wyczuł atmosferę podniecenia i niepokoju. Chciał się wtrącić, ale Mrowiec jeszcze nie skończył.

- Ty potrafisz żyć tylko na samej powierzchni życia. Płytko. Umiesz się zabawić, poderwać dziewczynę, prowadzić samochód. Co jeszcze?, Grasz w tenisa, średnio. W brydża, nieźle. Wydajesz pieniądze, umiejętnie. Nie ma w tobie nic, co potrafiłoby szarpnąć ludźmi, zaskoczyć, przerazić... W gruncie rzeczy nudzisz. Siebie i innych.

W piwnych oczach Suwalskiego błysnął gniew. Zaczynał rozumieć, że z niego drwią; nie był do tego przyzwyczajony.

- A ty? - odrzucił. - Potrafisz lepiej żyć? Tłamsisz tę swoją archeologię całe lata, taki zasrany studencina od siedmiu boleści! Co ty wiesz więcej ode mnie? Co lepiej umiesz?

Mrowiec patrzył na niego, uśmiechając się ironicznie. Prowadził ostrą grę, niebezpieczną, i bawiło go to.

- Naprawdę chcesz wiedzieć? - spytał lekkim tonem.

- Jesteś taki sam sk... jak my wszyscy - odparł Jacek z przedziwną szczerością. - I nie podskakuj mi tu, bo nie lubię.

- Ja już mam człowieka na sumieniu, jeżeli coś takiego jak sumienie u mnie istnieje.

Tamci dwaj spojrzeli na niego ze zdumieniem.

- Co chcesz przez to powiedzieć? - rzekł Holden. - Przecież nie zabiłeś nikogo!

- Owszem. Dwa lata temu. Po prostu przejechałem faceta samochodem. I zostawiłem.

Milczeli chwilę, potem Piotr pokręcił przecząco głową.

- To zupełnie co innego. Miałeś wypadek, przecież nie przejechałeś go naumyślnie.

- Ale gdybym się zatrzymał i odwiózł go do szpitala, to by pewnie żył.

- Więc czemu tego nie zrobiłeś? Mrowiec zawahał się, roześmiał i odparł:

- Miałem w wozie dziewczynę, szkoda mi było czasu.

Suwalski ściągnął brwi, nad czymś rozmyślał. W końcu rzekł:

- To było zwykłe, chamskie i ordynarne. Żaden wyczyn. Nic, co by mogło, jak się wyraziłeś, wstrząsnąć ludźmi. Żadna zbrodnia doskonała. Nie do wykrycia. O, gdyby coś takiego...

- Chciałbyś? - podchwycił Mrowiec. - Na taką rzecz ty się nigdy nie porwiesz. Takie rzeczy trzeba umieć. Trzeba przechytrzyć tych bystrzaków z milicji, co to z połówki włosa odgadują nazwisko i adres mordercy.

- Nie ma zbrodni doskonałej - zauważył Holden. - Policja czy milicja zawsze znajdzie motywy zabójstwa, które w końcu doprowadzą do osoby przestępcy. Nikt przecież nie zabija drugiego człowieka bez powodu. Albo to jest zemsta, albo rabunek, chęć usunięcia świadka czy, powiedzmy, ofiary gwałtu. Zawsze jest motyw działania. Czytałem sporo na ten temat.

- To znaczy - Suwalski przeciągnął się leniwie w fotelu - że gdyby ktoś działał bez motywu, bez żadnej przyczyny, byłaby to zbrodnia doskonała? Zakładając oczywiście, że zrobił to nie na oczach tłumu i nie w jasny dzień na ulicy?

- No, może tak - odparł Holden niepewnie. - Ale w takim razie, po cóż by to robił? Nonsens.

Suwalski wstał, nalał tamtym i sobie po kieliszku koniaku. Potem uniósł swój w górę i rzekł, patrząc to na jednego, to na drugiego:

- Stefan i ty. Piotrze, chcę się z wami o coś założyć. Dziś mamy dwudziesty szósty sierpnia, tak? Więc od dziś za trzy miesiące, to jest dwudziestego szóstego listopada, spotkamy się tutaj we trójkę. Wtedy opowiem wam o mojej zbrodni doskonałej.

Mrowieć roześmiał się hałaśliwie.

- Jacku, nie porywaj się z kijkiem na słonia! Chłopie, czy ty zdajesz sobie sprawę z tego, co mówisz?

Holden miał niezdecydowany wyraz twarzy, obracał w palcach kieliszek, jakby nie mógł już pić. Potem i on uśmiechnął się z niedowierzaniem.

- Przyjmujecie zakład? - Suwalski stał nad nimi, jego rozczzerwioną, błyszczącą od potu twarz ściągnął brzydki grymas, oczy zwęziły się. - No?

- O co się zakładasz? - spytał Mrowieć, zaciekawiony.

- O mojego forda-mustanga. Prawie nowy wóz, chodzi jak lalka.

Zdziwili się obaj po raz drugi. Błękitny ford-mustang, prezent od ojca, był dumą i radością Jacka.

- Stawiasz swój wóz? - Holden poczerwieniał z emocji, od dawna marzył o takim samochodzie, sam miał tylko fiata 125. - No dobrze, ale co my mamy ci dać, jeżeli wygrasz?

- Nic. Stefanowi ja dam w mordę, z całą satysfakcją, na jaką będzie mnie stać. A od ciebie... no, mogę przyjąć jakiś łaciny prezent. Dogadamy się. I będzie o czym, bo ja wygram.

- Takiś pewny?

Mrowieć spoważniał. Zrozumiał, że to już nie były żarty. Znał Jacka od dawna, jego upór, zarozumiałość, a także zacieklą nienawiść do milicji. Nie wiedział, co się kryje za tą nienawiścią. Były sprawy, o których młody Suwalski nie rozmawiał z żadnym ze swoich przyjaciół czy kolegów.

- Jestem zupełnie pewny. Przechytrzę wszystkich milicjantów, jacy są w Polsce. Żaden z nich niczego mi nie udowodni. Nigdy. Ja będę górą. Za trzy miesiące spotkamy się. O zakładzie nikomu ani słowa! Jasne?... Pijemy, panowie!

Za oknami był już dzień.

Rozdział 2

Tego nie wolno było zrobić po pijanemu. Musiał być zupełnie trzeźwy i opanowany, ruchy mieć spokojne, precyzyjne. Dwa kieliszki dobrego koniaku ani kropli więcej.

Dobrze. Był sam w całym dużym domu w tę noc. Od rana do południa goście rozjeżdżali się ospale, zmęczeni i senni, samochody wolno ruszały spod willi. Ostatni odjechał Mrowiec. Na pożegnanie przytrzymał mu rękę, uśmiechnął się - z ironią? złośliwie? - i powiedział:

- Ano to od wczoraj za trzy miesiące.

- Zgadza się - odparł zimno. Pożegnanie z Piotrem było nieco inne. Holden, wyraźnie zaniepokojony, próbował obrócić wszystko w żart. Tłumaczył, że Mrowiec sprowokował niemądry zakład, ale na serio to chyba żaden z nich tego nie bierze.

- Przeciwnie - rzekł Suwalski odrobinę przyjaźnie: w Piotrze było coś słabego, co wzbudzało litość i irytowało jednocześnie. - Wziąłem to absolumie na serio. Spotkamy się dwudziestego szóstego listopada.

- Na pewno znowu będę w sanatorium - mruknął Holden.

- Przyjąłeś zakład.

- Byłem na bańce. Eh. Jacek, ja chcę o tym wszystkim zapomnieć, rozumiesz? To nie na moje nerwy. Zresztą nabieracie mnie obaj, nie wierzę w żadne... Jak będziesz w Krakowie, wpadnij do mnie. Do widzenia!

Kiedy spod ganku odjechał ostatni wóz. Suwalski zamknął drzwi frontowe na kilka kluczy i łańcuch, pozamykał również okna i drugie drzwi z tyłu demu. Potem wszedł na piętro i w pierwszym pokoju, w którym tapczan miał nienaruszoną pościel, zrzucił ubranie, buty, zaciągnął story i zwałił się na chłodne lniane prześcieradło. Zasnął po kilku minutach.

Spał do wieczora. Zbudził się zgrzany, skopana pościel znajdowała się na dywanie. Pierwszy kwadrans leżał bez ruchu, przypominał sobie to, co zaszło poprzedniego dnia, a raczej tamtej nocy. Kiedy usłużna pamięć zaczęła pracować normalnie, przeszedł do łazienki. Wziął zimny tusz dla otrzeźwienia, potem kąpiel i jeszcze raz tusz.

W jednej z sześciu sypialni chował w zamkniętej szafie czystą bieliznę i kilka ubrań na wszelki wypadek. Przebrał się więc i zszedł na dół. Był wieczór, słońce zachodziło po drugiej stronie jeziora. Nie było nikogo do zrobienia porządku i zmycia naczyń.

- Co za chlew! - mruknął, patrząc na zakrzepłe resztki jedzenia, po których łąziły muchy. Można było pojechać do wioski, umówić się z kimś do posprzątania, ale nie chciało mu się.

W końcu znalazł plastikowy, duży worek, wepchnął do niego pozostałości przyjacielskiej kolacji i wyniósł do śmietnika. Brudne naczynia w podobny sposób wytransportował do kuchni mieszczącej się w oddzielnym budynku. Puste butelki wyrzucił. Poczul, że jest głodny. W lodówce było jeszcze sporo jedzenia, więc przyrządził sobie parówki na gorąco, kawę, odkroił kawał pasztetu. Kiedy się z tym wszystkim uporał, zapadła już noc. Wtedy wrócił do domu.

Usiadł w myśliwskim, pootwierał okna, ale zaciągnął zasłony. Nie chciał, aby ktokolwiek, kto mógł znaleźć się w pobliżu willi, zauważył to, co teraz będzie robił. Wypił dwa kieliszki koniaku, na które sobie pozwolił, zakorkował butelkę i wyniósł do hallu, aby nie kusila.

Telefon stał na oddzielnym stoliku, obok leżał spis numerów abonentów Warszawy. Zastanawiał się przez chwilę, czy to musi być ktoś z tego miasta i odparł sam sobie, że tak. Ma tam przecież swoje mieszkanie, to mu potem w znacznym stopniu ułatwi robotę. Wybierze jednak dzisiaj. Teraz. Kwestia tylko, jak? Myślał o tym już od godziny, wariantów miał kilka. Trzeba wreszcie zdecydować, który jest najlepszy.

Wziął do ręki książkę telefoniczną i rozejrzał się po pokoju. W gablotce pod oknem leżały noże myśliwskie różnego kształtu i wielkości.

Przyglądał im się z upodobaniem, wreszcie rozsunął szklane drzwiczki i zabrał z półki mocny, ostry kordelas. Miał rogowy uchwyt, ozdobiony srebrnym inicjałem „FM”, widocznie po dawniejszym właścicielu.

Wypolerowana stal lśniła w blasku lampy, kiedy obrócił nożem parokrotnie, ot, tak dla zabawy. Podobał mu się ten nóż.

Szukał jednak sposobu, aby umieścić go ostrzem do góry. Nie można było zwyczajnie postawić na dywanie, przewracał się za najlżejszym dotknięciem. Rączka z rogu miała nierówne zakończenie, w dodatku wygładzone od wielokrotnego używania.

- Zrobimy inaczej - powiedział.

Zaczął go to wciągać, czuł miłe podniecenie. Bawił się. Nie myślał w tej chwili, jaki jest ostateczny cel tej zabawy. Intrygowało go znalezienie najciekawszego, niebanalnego rozwiązania. Miał czas. Mógł wybierać. A więc jeżeli nie da się rzucić książki na ostrze noża, wobec tego może spróbować odwrotnie.

Znalazł długi, solidny gwóźdź, kawał sznura i młotek. Gwóźdź wbił w drzwi. Książka była gruba i ciężka, zmęczył się, zanim zdołał ją oplatać umiejętnie sznurkiem tak aby niemal wszystkie kartki luźno zwieszały się w dół, kiedy zawisła na gwoździu. Umieścił w pobliżu elektryczny wentylator i włączył silnik. Podmuch zaczął rozwiewać kartki na wszystkie strony. Tak, o to właśnie chodziło. Teraz mógł już to zrobić. Popatrzał na zegarek. Za sześć minut dwudziesta druga. Postanowił, że poczeka do pełnej godziny Wytarł spoconą twarz, odsunął i założył nad

łokciami rękawy koszuli, ręce musiały być swobodne. Zresztą tylko prawa. Ujął mocnymi palcami rogowy uchwyt kordelasa, upewnił się, że ostrze nie jest obłuzowane. Potem już tylko śledził wzrokiem dłuższą wskazówkę, wolno przesuwaną się na tarczy zegarka.

Dziesiąta. Stał w małym rozkroku, spojrzał na rozwiewające się białe kartki. Zamachnął się i rzucił. Nóż dotknął czerwonej, błyszczącej okładki, ześlizgnął się po niej i upadł bezgłośnie na dywan.

- Pudło - mruknął z irytacją. Spróbował palcem, czy kordelas dostatecznie ostry. Przejechał po skórze zbyt mocno, zaciął się i krew splamiła stal. Zaklął, ale przekonało go to, że jest ostra, tylko rzucił za słabo. Przymierzył się więc po raz drugi. Teraz nóż wbił się pośrodku jednej kartki, przyszpilając od razu kilka sąsiednich, ale ważne było tylko to miejsce, którego dotknął sam czubek stali. Zaczerwieniony z emocji podszedł, spojrzał, roześmiał się i wyszarpnął ostrze. Nie będzie przecież zajmował się „Połączeniami międzynarodowymi i międzymiastowymi w ruchu automatycznym”. Trzeba celować bardziej w środek książki.

Trzecim rzutem umieścił nóż na stronie trzysta osiemdziesiątej dziewiętej, pod literą „K”. Ostrze tkwiło tak mocno, że nie mogło być mowy o żadnej pomyłce. Trzeci rząd licząc od lewej, trzydziesty czwarty numer licząc od góry.

- Kuniczewski Zbigniew - przeczytał na głos. Czuł napięcie nerwów, palce mu drżały. - Telefon: dwadzieścia sześć, osiemdziesiąt cztery, dwadzieścia dwa. Ulica Jasna cztery.

W książce nie był podany zawód abonenta. Mógł być kimkolwiek - lekarzem, dziennikarzem, inżynierem, majstrem w fabryce, właścicielem pralni chemicznej. Młody, stary albo w średnim wieku. Żonaty albo kawaler, może wdowiec. Może po rozwodzie.

Zastanowił się, czy nie jest to ktoś znajomy, ale nie przypominał sobie nikogo o takim nazwisku. Nie pamiętał też aby ktokolwiek w jego rodzinie czy wśród kolegów wymieniał je. Tym lepiej. Tak właśnie miało być. Obcy, absolutnie obcy facet. Żadnych motywów, kontaktów, niczego, co by ich ze sobą łączyło.

Wyjął nóż z przebitych kartek, odłożył go do gabloty. Zdjął z drzwi książkę, odwiązał sznurek, wyrwał gwóźdź. Spis abonentów umieścił na

swoim miejscu obok telefonu. Nic nie musiał zapisywać, pamięć miał dobrą. Tego nazwiska i adresu już nie zapomni.

Przyniósł z salonu japoński magnetofon JVC-Hi-Fi stereofoniczny, z kolumną trzycyfrową. Powłączył do kontaktów odbiornik i stojącą porcelanową lampę. Potem zgasił inne światła, rozsunał story, bo w pokoju było duszno. Nastawił na cały regulator jakąś hałaśliwą muzykę i, rozwalony w fotelu, przymknął oczy. Hałas był mu potrzebny, choć nie wiedział dlaczego i co właściwie pragnie zagłuszyć.

Nagle, kiedy nastąpiła króciutka przerwa między jednym a długim utworem, usłyszał szum silnika. Po ścianach przebiegły światła reflektorów, zaraz potem stuknęły drzwiczki samochodu. Zerwał się, wyrzwał przez okno i ściszył odbiornik. Przed willą stały dwa wozy. Poznał zielony peugeot ojca, za nim była półciężarówka, wysiadali z niej obcy ludzie. Teraz dopiero przypomniał sobie, że miała tu przyjechać jakaś rodzina, umówiona przez ojca do pilnowania domu i sprzątnięcia. Przy kuchni znajdował się mały budynek o dwóch pokojach z łazienką, przeznaczony dla dozorca i palacza w jednej osobie.

Artur Suwalski wszedł do myśliwskiego swym spiesznym, trochę kołyszącym krokiem. Był również niskiego wzrostu jak syn, poza tym jednak nie było między nimi podobieństwa, Jacek wdał się raczej w matkę. Emerytowany dyrektor miał twarz okrągłą, rumianą, oczy niebieskie, lekko wypukłe, nos odrobinę zagięty w dół. Z twarzy tej przebijała chytryść i chyba była to jej cecha najbardziej charakterystyczna. Suwalski umiał jednak w miarę potrzeby przejawiać wobec ludzi różne cechy wysuwając na czoło jedne, a skrywając drugie. Nikt, kto go znał, nie mógł odmówić mu wielkich zdolności i bystrości umysłu. Dorobił się sporego majątku, niektórzy uważali go nawet za milionera i mieli rację. Wszystko, co osiągnął, było legalne. Tak się przynajmniej ludziom wydawało, bo nikt dotychczas nie złapał Suwalskiego za rękę i nie udowodnił mu przestępstwa. Być może rzeczywiście zdołał w ciągu długoletniego dyrektorowania odłożyć tyle, że mógł mieć za to kilka domów, sad i wiele innych cennych rzeczy. Każde mniej lub więcej niedyskretne zapytanie w tej materii odpierał, pokazując mnóstwo dokumentów, których autentyczności i znaczenia

urzędowego nie sposób było podważyć. Zrobił zresztą niemało dla miasta Babince, co stawiało go w rzędzie osób zwanych społecznikami.

- Jak się masz! - powiedział do syna. - Spóźniliśmy się trochę. Sam jesteś?

- Sam. Wczoraj było paru kumpli, ale dziś rano pojechali. Co to za faceci, których przywiozłeś?

- Porządna rodzina. Musi ktoś tu być stale, pilnować domu. No i sprzątać. Magdy nie było?

Jacek popatrzał na niego ze zdziwieniem.

- Myślałem, że jest z tobą w Babińcach. Nic mi nie mówiłeś, że miała przyjechać. Zresztą co by tu robiła. Znasz ją lepiej niż ja?

Suwalski zachmurzył się, odwrócił twarz.

- Widocznie wyjechała do Warszawy - burknął. - Mniejsza o to.

- Wystawiła cię do wiatru? - zadrwił syn. - Ostrzegałem, nie żeń się z taką... - Nie dokończył. Ojciec wymierzył mu mocny policzek, aż klasnęło.

- To moja sprawa - powiedział spokojnie. -; Nie mieszaj się.

Oczy Jacka zalśniły złowrogo. Bezwiednie przyłożył dłoń do zaczerwienionego policzka, skóra piekła od uderzenia. Nie odezwał się jednak. Zbyt dobrze pamiętał, że aby żyć tak, jaki teraz - nic nie robiąc i używając tego wszystkiego, co mieli - musi całkowicie podporządkować się woli ojca. Trzydzieści tysięcy każdego miesiąca to nie była bagatelka. Prócz tego I ford-mustang i dobrze urządzone, wygodne mieszkanie w Warszawie. Znał ojca, sporo się od niego nauczył. Stary imponował mu niewiarygodnymi cwaniactwem, które miało wszelkie pozory pracowitości i mrówczego krzątania się wokół interesów. Był świetnym dyrektorem, o tym wiedziały całe Babince. Wielu kolegów zazdrościło Jackowi takiego ojca.

Artur Suwalski wyszedł z pokoju, aby zainstalować nowych lokatorów i pracowników w jednej osobie - a raczej w dwóch, bo było to małżeństwo - w uszykowanym dla nich mieszkaniu. Zabawił tam kilkanaście minut, po czym wrócił do syna. Jakby nigdy nic usiadł w fotelu i uśmiechnął się. Jacek stłumił gniew, odpowiedział kwaśnym uśmiechem. Trudno, musi być zgoda.

- Kto był z twoich kumpli? - zagadnął ojciec przyjaźnie.

- Mrowieć, Kosański, Holden... reszty nie znasz. No i Jolka.

- Widziałem się wczoraj z Antonim Kosańskim. Opowiadał mi o interesie, który zrobił niedawno. Posłuchaj, bo to ciekawe. Jak wiesz, ma on trzy warsztaty stolarskie w Warszawie i dwa w Siedleckiem. Otóż zwrócił się do niego kierownik administracyjny jednej z fabryk stołecznych, nie pamiętam której, ale to nieważne, aby zrobił im boazerię na ścianach sali konferencyjnej. Rozumiesz, tak od podłogi do połowy ściany. Antoni z miejsca zwietrzył zysk i zgodził się nawet na krótki termin. Metr kwadratowy boazerii kosztuje według państwowego cennika od trzystu do tysiąca dwustu złotych, zależnie od gatunku drewna, grubości i tak dalej. Kosański pojechał gdzieś na południe Polski, miał tam znajomego kierownika tartaku. Kupił od niego odpady drewna, bo takie wolno sprzedać rzemieślnikowi, dał w łapę ile trzeba, i zrobili mu, tam na miejscu, piękną boazerię z dobrej tarcicy, licząc po sto trzydzieści zeteł za metr. Przywiózł do Warszawy, za tydzień sala była gotowa. Policzył im po tysiąc sto i zarobił na tym interesie dwieście dziesięć tysięcy.

- Cwaniak! - mruknął Jacek z podziwem. - Waldek nie wdał się w ojca. Umie tylko wydawać, nie umie zarobić. Słuchaj, a jeżeli jakaś kontrola dobierze się do tej boazerii?

- To będzie odpowiadał kierownik administracyjny. Antoni ma rachunki, fabryka przyjęła, zapłaciła. Widniały gały, co brały, i szlus! No, dobra. Nie martw się o Kosańskiego, da sobie radę. Nie złapali go na kozuchach, to i teraz nie złapią. Natomiast ja mam do ciebie sprawę, i to pilną.

- Co mam załatwić? - Wiedział już, że nie wykręci się, ojciec był bezwzględny, kiedy chodziło o interesy.

- Najpierw zobacz, co przywiozłem. Sięgnął po teczkę, wyjął z niej mały pakunek, owinięty w papier i folię. Rozwijał ostrożnie, jakby w środku było coś bardzo delikatnego i kruchego.

Jacek patrzył z zaciekawieniem, już zaczął się domyślać, w czym rzecz. Nie pierwszy raz brał udział w interesach ojca. Rozumiał od dawna, że nie pensja dyrektorska i nie emeryt tura dały im możliwość bogatego życia w trzyj osoby.

W paczce znajdowało się małe pudełeczko. Suwalski otworzył je i podsunął synowi. Na ciemnym atłasowym tle rozbłysły prześliczne brylanty.

- Piękne! - zachwycił się chłopak.

- Cenne - powiedział ojciec. - Każdy po sześć i pół karata.

- Skąd masz? - Natychmiast zrozumiał, że pytanie było idiotyczne.

Nigdy nie wtajemniczano go w pochodzenie kosztowności czy sztabek złota. Toteż Suwalski nie odpowiedział na pytanie. Postawił pudełko na stole i rzekł:

- Trzeba je dostarczyć do Jugosławii, stamtąd pójda dalej. To wyjątkowo piękny szlif. Ani ja nie mogę z tym jechać, ani ty. Znasz kogoś pewnego? Takiego, kogo masz w ręku, w razie jakiejś...

Jacek zamyślił się na chwilę. Rozważał po kolei kandydatury, w końcu odparł:

- Jolka. Obaj wiemy, że...

- Wiem - przerwał Suwalski - pamiętam. Tak, ona zrobi wszystko, co się jej każe. Ale czy potrafi?

Syn wzruszył ramionami.

- Cóż w tym trudnego? Jolka rzadko jeździ za granicę, ma czyste konto. Nie podpadnie. Tylko jak ją znam, będzie chciała na tym zarobić, i to niemało. Ile możesz jej dać?

Stary pomyślał, obliczył coś w myślach.

- Pięćdziesiąt tysięcy. Oczywiście dopiero kiedy dostanę potwierdzenie z Belgradu, że załatwiła sprawę. Gdzie ona jest?

- Nie wiem. - Nie chciał się przyznać, że po tak zwanej „upojnej nocy” wyjechała ze Stocklandem. - Chyba w Warszawie.

Suwalski przyjrzał mu się podejrzliwie.

- Chyba? Co to znaczy? Zerwaliście ze sobą? Kręcisz!

- Nie! Przyjechała tutaj z Dariuszem Stocklandem i razem odjechali. Jej fiat jest w remoncie.

- Kto to jest Stockland?

- Taki chłoptaş, nieszkodliwy. Śpiewa, gra, komponuje. Nieważny facet. Miał ją tylko odwiedzić.

- Wolałbym - rzekł ojciec - abyś mi tu nie przyjmował obcych ludzi.

Masz swoje mieszkanie w Warszawie rób w nim co chcesz. Ale ten dom

jest przede wszystkim mój. Rozumiesz? I nie ma potrzeby, aby jacyś tam artyści czy muzycy znali ten adres.

- Dobra, w porządku - skrzywił się. - Kiedy Jolka ma jechać?

- Jak najszybciej. O której stąd wyjechali?

- Przed południem. Chcesz, to zadzwonię do Warszawy.

- Zadzwoń. Czekać... albo nie. - Popatrzał na zegarek. - Dziś już za późno, prawie północ. Przenocuję i rano wyjedziemy razem do Warszawy.

*

Jolka, czyli Jolanta Strąk, przyjęła propozycję wyjazdu z wielką ochotą. Wprawdzie bardziej uśmiechałyby się jej Włochy, albo, powiedzmy, Hiszpania, ale nie było wyboru. Artur Suwalski uprzedził ją, że ma załatwić sprawę szybko i natychmiast wracać. Przytaknęła potulnie, postanawiając w duchu przedłużyć pobyt co najmniej o tydzień. Zawsze coś tam wymyśli, zwichnięcie nogi, grypę albo inną chorobę. Doceniała, w pełni własną urodę i jej wpływ na mężczyzn. Za granicą też.

Jacek odprowadził ją na lotnisko i, w myśl wskazówek ojca, sterczał na pomoście tak długo, aż biały Tu-134 zniknął mu na horyzoncie. Wtedy odetchnął z ulgą. Rozliczanie i wszelkie pertraktacje z Jolką po powrocie przeprowadzać ma ojciec. Tak więc on może teraz zająć się swoją sprawą.

Wrócił do mieszkania. Był to domek jednorodzinny na Sadybie, z zewnątrz wyglądał jak wiele innych, skromnie, choć dostatnio. Różnice zaczynały się dopiero od małego, półkolistego hallu, potem było już zupełnie inaczej we wszystkich pięciu pokojach na parterze i piętrze.

Ojciec nie pożalował mu pieniędzy na wyposażenie mieszkania. W odróżnieniu od willi domek na życzenie Jacka został umeblowany nowocześnie i według jego projektu. Były tu więc fotele o fantastycznych obiciach, każdy w innym kolorze, były ogromne futrzaki na podłodze i na ścianach, niskie długie stoliki, egipskie pufy, ekscentryczne obrazy i rzeźby, budzące strach u gości, lustra o nierównych kształtach, dziwaczne lampy. Jeden pokój miał podłogę z czarnych klepek, inny wymalowany był na kolor „byczej krwi”...

Niektórym to się podobało, u innych wywoływało śmiech lub rodzaj szoku, z którego długo nie mogli się otrząsnąć. Jacek lubił zmieniać meble i wszelkie malowania, przerzucał się z jednej ostateczności w drugą, raz był to” okres ciemnych barw, potem znów wszystko tonęło w żółciźnie albo bieli. Znajomi nigdy nie wiedzieli, co zastaną w mieszkaniu, czasami nawet z pewnym trudem odnajdywali którąś z dwóch łazienek.

Właściciel tego domu miał usposobienie porywcze i bardzo nierówne. To, co go dzisiaj bawiło i podniecało, jutro mogło okazać się obojętne lub zgoła nudne. Z nudą ogarniającą go dość często, walczył właśnie tak: rzucając pieniędzmi na prawo, i lewo, przede wszystkim w kontaktach z prywatnymi dostawcami towarów, na ogół zagranicznych.

Ostatnio zmienił właśnie wyposażenie łazienki na piętrze. W Pewexie nabył za sto dziesięć dolarów francuską szafkę „Alibert” i błękitny komplet angielski - umywalnię z syfonem i resztą. Doszły

jeszcze owalne włoskie lustra; każde było otoczone jarzeniówkami za matowym szkłem, wyglądało to ładnie i oryginalnie. W sumie zapłacił ponad pięćset dolarów. Był zadowolony. W razie potrzeby wystarczyło - skontaktować się z uczynnym Błowskim, aby w ciągu dwóch-trzech dni otrzymać za złotówki nowy pakiet obcej waluty.

Swoje apartamenta, jak je nazywał, umieścił na piętrze. Parter był dla gości. Na górze miał obszerna sypialnię, aktualnie urządzonej na blady róż ze złotymi paskami. Obok gabinet do pracy: stało tu biurko, fotele, wzdłuż ścian biegły regały z książkami, z boku kolorowy telewizor Sony” i podręczny magnetofon. Biurko wywoływało w nim często wybuch śmiechu - jeszcze nigdy nie zasiadł tu, aby nad czymkolwiek popracować. Jednakże gabinet budził respekt u niektórych osób, zwłaszcza tych, które mało znały Jacka Suwalskiego. Trafił się zresztą niekiedy dawny kolega ze studiów i można mu było zaimponować.

- Widzisz, tutaj pracuję - mówił do niego, wskazując niedbałym ruchem półki, pełne książek. - Znalazłem właśnie interesujący temat na większy artykuł do jednego z pism naukowych Może nawet na książkę...

Kolega rozglądał się dokoła, kiwał głową z uznaniem, potem jednak Jacek szybko sprowadzał go na dół, stawiał na stole zagraniczne koniaki i kierował rozmowę na sprawy lżejszego kalibru.

Wszedł na piętro, zajrzał do łazienki, zapalił światła dokoła luster i z przyjemnością przyglądał się swojej twarzy. Niedawno Jolka namówiła

go aby zapuścił brodę. Spróbował, ale wyszło jakoś nie tak, jak sobie wyobrażał. Szczerze mówiąc, zupełnie źle. U dobrego fryzjera pozbył się brody, za to zmienił uczesanie; strzygł się obecnie na jeża i uważał, że dawało mu to interesujący wygląd.

Z kontemplacji nad własną osobą wyrwał go dzwonek u drzwi frontowych. Wyjrzał przez okno, wychodziło na ganek. Na dole stał Stefan Mrowieć. Jacek zastanowił się, czy chce go wpuścić, czy też nie ma na to ochoty, zanim jednak podjął decyzję, Mrowieć zadarł głowę i pomachał mu ręką.

- Dobra, już schodzę! - zawołał.

Usiedli w saloniku, teraz wyposażonym w dwie długie, niskie kanapy obite ciemnofioletowym brokatem, w równie długi i niski stół, lakierowany na czarno i w potężny, kilkunastożarówkowy żyrandol. Mrowieć rozejrzał się po pokoju, ciemne barwy wzbudziły w nim odrazę, zwłaszcza zestawienie fioletu z czernią.

- Zrobiłeś z tego coś między kostnicą a domem pogrzebowym - rzekł niechętnie.

Suwalski roześmiał się. Lubił takie odezwania, natomiast źle się czuł, kiedy gość zachowywał całkowitą obojętność wobec jego dziwactw i kaprysów.

- Co tam u ciebie? - spytał. - Jadłem wczoraj krem w kawiarni, którą twój stary ma w agencji. Wiesz, że mi nie zależy na forsie, ale słyszałem, jak goście narzekali, że znowu podnieśliście ceny.

Mrowieć uśmiechnął się z wyraźną satysfakcją.

- To moja zasługa - odparł. - Wymyśliłem nowy sposób na zysk bez dokładania do interesu. Bardzo proste. Podawaliśmy krem owocowy z dodatkiem ajerkoniaku. Wiesz, jedna łyżeczka, advocata. Krem kosztował piętnaście złotych. Namówiłem kierowniczkę dwóch cocktail-barków, aby podniosły cenę do dziewiętnastu złotych. A kiedy goście będą pytać dlaczego, niech odpowiadają, że teraz dodajemy super-advocata, więc musi być drożej.

- Przecież nie ma takiego ajerkoniaku!

- Co z tego? Ale może być! Myślisz, że każdy zna wszystkie gatunki alkoholi? G...ł Powiedziałem o tym ojcu. Odpalił mi z miejsca pięć patyków premii „za inicjatywę”. No i, rzecz jasna, natychmiast wprowadził tę podwyżkę we wszystkich lokalach.

- Może będę niedyskretny, ale ciekawi mnie, ile twój stary wyciąga miesięcznie z agentury?

- No... - Stefan zawahał się - zresztą, tobie mogę powiedzieć. Ma około siedemdziesięciu tysięcy To by nie było wiele, tylko że matka też pracuje razem z nim. Razem mają gdzieś tak... sto dwadzieścia, sto trzydzieści W Warszawie sezon turystyczny trwa de facto cały rok, a na turystach zarabiamy najwięcej. Jest parę miesięcy słabszych, na przykład listopad, początek grudnia później marzec. Od kwietnia robi się coraz większy ruch. Dawniej zimą nie szły lody, teraz nauczyli się jeść na okrągło, nawet w duże mrozy. Na lodach pierwszorzędnie się zarabia.

Kupują przede wszystkim dzieciaki, a im można wetknąć byle co, aby było słodkie. Gofry też idą jak woda.

- Z czym przyszedłeś? - Jacek zmienił temat.

- Chcę kupić działkę. Niedużą, z tysiąc metrów kwadratowych. Może wiesz o czymś takim?

- Chcesz się budować? W ogóle co to ma być: letniak nad wodą czy dom mieszkalny?

- Ani jedno, ani drugie. Chcę pohandlować, rozumiesz? Forsy mi trzeba. Trafia się pontiac ledwie używany, mówię ci, cudo nie wóz, ostał ni model. Gość chce sprzedać, ale mu się nie śpieszy. To Kuwejtczyk, przeprowadza jakieś transakcje z naszą centralą. Jeździ po Polsce tym pontiakiem, ale nie będzie go zabierał, bo mu się znudził, a u siebie w domu ma parę innych. Rozmawiałem z nim, obiecał poczekać dwa, trzy tygodnie. Oczywiście muszę mu dać dolary. Więc kupię działkę budowlaną, mogę wydać jakieś - zamyślił się - sto tysięcy. Może sto dwadzieścia. Sprzedam za trzysta

- Owszem, sprzedasz nawet za więcej, jeżeli będzie to ładna działka. Ale gdzie ja ci znajdę frajera, który odda za sto?

- Musi to być człowiek, który ma nóż na gardle. Rozumiesz? Jakaś wdowa z trojgiem dzieci, która została sama na gospodarstwie i nie potrafi sobie poradzić. Albo facet, który wyjeżdża, śpieszy mu się. Albo jakiś głupek, który nie zna się na cenach budowlanych. Są tacy. Niedawno słyszałem o jednym co sprzedał piękną działkę niedaleko

Skierniewic, las, woda, przystanek Pekaes, wiesz za ile? Za dwadzieścia patyków! A było tego osiemset metrów kwadratowych. I jeszcze się cieszył, że zrobił dobry interes. Takiego drugiego głupka szukam.

- Zapytam ojca. On zawsze wie o pięciu interesach naraz.

- Będę ci wdzięczny. Mogą nawet być i dwie działki - dodał Mrowiec, wstając. - Kiedy dasz mi znać?

Jacek obiecał, że natychmiast jak tylko coś się dowie. Pożegnali się, na progu Mrowiec odwrócił się jeszcze:

- Którego mamy dzisiaj? - zapytał, uśmiechając się znacząco.

Suwalski zrozumiał, o co chodzi, ale poczuł się urażony pytaniem. Nie lubił, jak mu nie dowierzano. Toteż odparł ostro:

- Czwartego września mamy wszyscy, a ja mam dodatkowo jeszcze dużo czasu do dwudziestego szóstego listopada. I nie życzę sobie więcej żadnych aluzji!

Mrowiec chciał rzucić jakąś złośliwość, ale zreflektował się. Potrzebował Jacka, należało więc postępować ugodowo. Przynajmniej dopóki nie dostanie adresu działki.

Suwalski zamknął za nim drzwi i poszedł na górę do gabinetu. Postanowił nikomu już nie otwierać, aby w spokoju zająć się swoimi sprawami. Na biurku stał aparat telefoniczny, na dole był drugi. Sięgnął po słuchawkę, ale nie zdjął jej jeszcze z widełek. Numer pamiętał, nazwisko i adres też. Chciał po prostu usłyszeć, głos tego człowieka,

zanim... Wolno nakręcił: dwadzieścia sześć, osiemdziesiąt cztery, dwadzieścia dwa. Odezwał się sygnał. Potem głos...

- Chciałbym mówić z panem Kuniczewskim.
- Jestem przy telefonie. Kto mówi?
- Dzień dobry panu, tu Stelmasz.
- Kto?
- Stelmasz, z Bielan. Coś trzeszczy w tym telefonie...
- Nie, ja pana dobrze słyszę. O co chodzi?
- Przecież miałem się - do pana zgłosić. Tylko wczoraj nie mogłem, b& wróciłem późno do domu.
- Zaraz, to chyba jakieś nieporozumienie. Kto pana do mnie skierował?
- No, pan sam! W sprawie tego uszczelniania okien. Pan był u mnie dwa dni temu.
- Proszę pana, to pomyłka. Widocznie jest jeszcze inny Kuniczewski. W każdym razie ja z pewnością u pana nie byłem i nic nie zamawiałem.
- Chwileczkę, to pan nie mieszka na Słowackiego?
- Nie, proszę pana. Mieszkam na Jasnej.
- A, to bardzo przepraszam. Wie pan, niedokładnie zapisałem numer telefonu. Przepraszam.
- Nie szkodzi. Zdarza się.

Odłożył słuchawkę. Głos tamtego był spokojny, matowy. Chyba był to głos człowieka w wieku około czterdziestu lat. I chyba inteligenta. Kim może być? Co robi, o czym marzy? Czy kiedy pomyślał o śmierci i jak ją sobie wyobraża? Czy kiedykolwiek przyjdzie mu do głowy, że przed chwilą rozmawiał ze swoim mordercą...

Wstał, podszedł do małego barku, ukrytego przemyślnie w regałach bibliotecznych - ot, tak dla zabawy, bo przed nikim nie musiał go ukrywać naprawdę. Wyjął butelkę French Napoleon, rozejrzał się za kieliszkiem, ale nie znalazł. Nie chciało mu się schodzić na dół, więc przechylił butelkę do ust i zaczął pić powoli, wpierw małymi łykami, potem jak wodę, niecierpliwie, dużymi haustami, aż zakrztusił się, rozkaszał i krew uderzyła mu do głowy. Odstawił koniak, odetchnął głęboko i rozwalił się w fotelu za biurkiem.

Trochę zdziwiony poczuł szum w uszach i lekki zawrót głowy. Zorientował się, że wypił prawie pół litra. Roześmiał się. Nagle postanowił, że znowu zadzwoni do tego... jak mu tam? Kunickiego... Nie, Kuniczewskiego. Powie mu... po prostu, powie mu, że go zabije. Ciekawe, co tamten... A w ogóle to... Wyciągnął rękę do aparatu, ale strącił tylko słuchawkę na biurko. Zapomniał numeru. Z wolna cały pokój zaczął się kołysać i odpływać gdzieś daleko.

Obudził się na podłodze, z twarzą wciśniętą w dywan. W gabinecie było ciemno. Z trudem stanął wpierw na czworakach, potem oparł się o biurko i dźwignął w górę. Zapalił lampę, spojrzął na zegarek. Wpół do drugiej. Sądząc po ciemnościach na dworze, był to mniej więcej środek nocy. Usłyszał jakieś ciche brzęczenie, jednostajny dźwięk, który dobiegał z biurka. Zobaczył odłożoną na bok słuchawkę, więc umieścił ją na widelkach. Nagle przypomniał sobie, że chciał dzwonić do tego człowieka z Jasnej.

Chciał czy zadzwonił?

Cholera! - mruknął z niepokojem. Pomysł był fatalny, mógł zepsuć całą sprawę. Tamten orientowałby się, a w każdym razie zostałby ostrzeżony. Diabli nadali picie bez umiaru. Zadzwonił czy nie?

Przeszedł do sypialni, zrzucił ubranie, buty i zasnął ciężkim pijackim snem. O dziesiątej zbudził go telefon. Z początku nie ruszał się z tapczana, potem pomyślał, że to może ojciec. Bolała go głowa, jęcząc poczłapał do gabinetu, podniósł słuchawkę.. To był Mrowieć.

- Holden nie żyje - powiedział bez wstępów.

Jacek otrzeźwiał - wiadomość poruszyła go.

- Co się stało? Miał wypadek?

- Nie.

- No więc? Gadaj, do cholery!

- Otruł się.

- Jak to samobójstwo? Gdzie? Dlaczego?

- W domu. Był sam, starzy wyjechali na parę dni. Wtedy to zrobił. Jak wrócili, ciało już...

- Oszczędź mi szczegółów! - przerwał szorstko. Nie był wrażliwy na te rzeczy, jednak chodziło o Holdena jego bliskiego kolegę. - Zostawił jakiś list czy kartkę?

- Nie wiem. Jutro jest pogrzeb. W Krakowie, oczywiście. Mają tam rodzinny grobowiec. Pojedziesz?

- Może. Zobaczę, zastanowię się. A ty?

- Chyba tak.

- O której ten pogrzeb? Są nekrologi w warszawskiej prasie?

- Są. Że „tragicznie”, i tak dalej. Pogrzeb o dwunastej.

- Na którym cmentarzu?

- Nie pamiętam... Jadę z Kosańskim. Zabierz się z nami.

- Dlaczego to zrobił? - powtórzył Jacek, obierając myśli. - Jakaś depresja, może schlał się?

Miał raka płuc. Potem przerzuciło się na żołądek. Dowiedział się przypadkiem. To znaczy teraz, tak przypuszczamy, że podsłuchał rozmowę starego Holdena z innym lekarzem o sobie. Wiesz jak on żył od paru lat. Właściwie robił wszystko, aby się wykończyć. Nic go nie interesowało. Nic. Ani baby, ani wódka, ani sport, nie miał żadnego hobby. Trochę czytał. Myślę, że może on od dawna wiedział, że jest chory i już mu było wszystko jedno. Po prostu przyspieszył - koniec...

- Jego sprawa - odparł Suwalski ostrym tonem. Pomilczał chwilę i powtórzył: - Jego sprawa..Muszę zawiadomić, ojca. Znają się z profesorem. No, bywaj!

Odłożył słuchawkę, nie - czekając, co tamten jeszcze powie. Chciał; uniknąć kolejnego pytania, czy pojedzie do Krakowa. Nie znosił pogrzebów. Każda taka ceremonia budziła w - nim strach, pomieszany z rozpaczą i złością, których nie potrafił opanować. Kiedy czasem już musiał iść w żałobnym kondukcie za trumną, czuł, jak dygocze - W - nim każdy nerw, jak trzęsą mu się ręce i uginają nogi. Nie rozumiał tego. Był człowiekiem zimnym i opanowanym, mógł spokojnie, nawet z pewną ciekawością, przyglądać się dręczeniu zwierząt, a w szkolnych latach nigdy nie żałował słabszych. Przeciwnie, stawał zawsze po stronie

tych, którzy wykazywali siłę i brutalność imponowali mu, starał się ich naśladować. Z czasem nawet uzyskał nad nimi przewagę, z której był dumny.

Ale na pogrzebie stykał się z inną siłą, której nie był w stanie przeciwstawić się. Widok trumny, opuszczanej w ziemię, doprowadzał go do bezsilnej pasji bo musiał wtedy choć przez mgnienie pomyśleć, że i on. Ze i jego tak kiedyś.

Ojciec, któremu raz w przystępie szczerości zwierzył się z tych myśli, roześmiał się i powiedział:

- Na to ci daję pieniądze i samochód, abyś używał życia, póki ono trwa. Mało masz? Możesz robić, co ci się podoba, jeździć gdzie chcesz, rwać dziewczyny, bawić się. A tym, co nas czeka, nie warto sobie głowy zawracać.

- Czy nie powinniśmy jednak czegoś dokonać? Coś po sobie zostawić? - odparł z zafrasowaniem. - Żeby o nas pamiętali. Wspominali. Dobrze albo źle. Nawet lepiej: źle bo to się dłużej i mocniej pamięta.

Artur Suwalski spojrzał wtedy na niego z obawą.

- Są pewne granice, których ci nie wolno przekroczyć - rzekł surowo. - Ja nie mam skrupułów, jeżeli chodzi o interesy. Tutaj zawsze, daję sobie wolną rękę. W naszych kręgach ten górą, kto ma więcej forsy i sprytu. Ale jeżeli cenię własne życie i zdrowie, to muszę też cenić życie innych. Br to jest warte więcej niż jakikolwiek pieniądź. Rozumiesz?

Rozumiał, ale nie przyjął do wiadomości. On by wolał, żeby o nim mówiono źle niż wcale. I z wolna, w miarę jak rósł, dojrzewał i nabierał doświadczeń, gdzieś na dnie świadomości dojrzewało i rosło w nim poczucie niespełnionych pragnień: być tym, o którym będą mówić i pisać w gazetach, który tak zaimponuje kolegom, że wzbudzi w nich podziw i zazdrość. Wszystko jedno z jakiej przyczyny.

Rozmowa z Mrowcem i Holdenem, wtedy dwudziestego szóstego sierpnia, nie była więc dla niego zaskoczeniem. Propozycję Stefana przyjął jak wyzwanie, jak realizację tego, na co czekał od dawna. Od lat.

*

Zadzwoił do ojca, zawiadomił o śmierci Holdena. Stary Suwalski był wyraźnie zmartwiony, nie tyle ze względu na Piotra, ile na profesora, u którego się leczył. Lubili się zresztą i rozumieli, zwłaszcza w interesach. Powiedział, że będzie na pogrzebie. Jacek poprosił, aby go wytłumaczył: nie czuje się dobrze, chyba ma grypę.

Łyknął dwa proszki od bólu głowy, a kiedy zaczęły działać, pojechał na obiad. Zaparkował wóz w pobliżu placu Zamkowego i poszedł do „Bazyliuszka”. Było dość wcześnie, jak na porę obiadową, i łatwo znalazł miejsce w barku na dole. Zjadł coś na zimno, potem stek wieprzowy, Wypił dwa kieliszki dobrze zamrożonej wódki, na deser wziął krem i kawę. W pół godziny później jechał przez śródmieście. Niedaleko ulicy Jasnej znalazł parking przed „Adria”. Z

przyzwyczajenia zerknął na program nocnych występów w tym lokalu, ale nie zainteresowały go. Zresztą miał co innego w głowie.

Odnalazł numer czwarty na Jasnej, przeszedł na drugą stronę ulicy, stanął w bramie i przyglądał się tamtemu domowi. Była to stara kamienica. Miała wysokie, podłużne okna; mroczną sień i podwórze w dawnym stylu; być może były tu jeszcze piece kaflowe, w obszernych pokojach, chłodnych latem i trudnych do ogrzania zimą.

O piątej po południu ludzie wciąż wchodzili i wychodzili z kamienicy, musiała mieć sporo lokatorów, bo ruch tu był ożywiony. Patrzył na to chłodnym okiem obserwatora, rozważał coś w myślach. W końcu wszedł do sieni, odnalazł listę lokatorów i studiował ją uważnie. Zbigniew Kimiczewski mieszkał pod szóstym. Pierwsze lub drugie piętro, w takich kamienicach na każdym ssą najwyżej trzy lokale. Zaczął wchodzić po drewnianych schodach z poręczą odrapaną z farby, i wyślizganą dłońmi.

Pierwsze piętro. Troje ciemnobrązowych drzwi. Trzy tabliczki z nazwiskami, ale nie tym, którego szukał. A więc wyżej. Na drugim pierwszy z brzegu był numer szósty. I mosiężna tabliczka: Kuniczewscy. „Ma rodzinę” - pomyślał. Zadzwoił. Przygotował sobie kilka wersji pytań, zależnie od tego, kto mu drzwi otworzy. Mogło być dziecko, stara kobieta, jakiś sublokator...

Usłyszał szmer z tamtej strony, przekręcanie klucza. Drzwi uchylły się. W przedpokoju był półmrok, mimo to ujrzał dość wyraźnie

mężczyznę w sile wieku, o twarzy pociągłej, lekko opalonej i ciemnych oczach, na których nosił szkła optyczne. Poruszył szczękami, przełknął, widocznie wstał od obiadu.

- Pan do kogo? - spytał obojętnie.

- Przepraszam, czy zastałem Wojtkę?

- Jakiego Wojtkę?

- No, Milewskiego. Podał mi taki adres: Jasna cztery mieszkania sześć.

- Coś pan pomylić Albo ulicę, albo numery. Pod szóstym, mieszkam ja, nazywam się Kuniczewski. Zaraz, czekaj pan... zdaje się, że jacyś Milewscy są w drugim podwórzu, w oficynie. Może też pod szóstym, ale tamten dom nie ma wejścia od Jasnej.

- Przepraszam bardzo.

- Tutaj ludzie często się mylą. Nic się nie stało.

Kiwnął mu głową i zamknął drzwi. Suwalski wolno schodził na dół, utrwalając w pamięci twarz i sylwetkę Zbigniewa Kuniczewskiego. Właściwie w jego rysach i wyglądzie nie było hic specjalnie wyróżniającego, po czym łatwo dawałby się poznać. Przeciętny blondyn w okularach, mocno łysiejący od czoła, średniej tuszy i wzrostu. Żadnej blizny na policzku, mały jasny wąs, tysiące takich spotyka się na ulicach.

A mimo to wiedział już, że tej twarzy nie zapomni. - W nocy długo nie mógł zasnąć. Zabójstwo Zbigniewa Kuniczewskiego rozważał na zimno, bez jakiegokolwiek emocji, za to z dużą dozą wyrachowania.

Przypomniała mu się książka, którą czytał niedawno i zachwycił się. Nie tyle całością, stylem, kompozycją, ile głównym bohaterem - Szakalem. Sposób, w jaki płatny morderca o tym pseudonimie opracował w najdrobniejszych szczegółach swój zamach, zaimponował mu. Prawda, że Szakal dysponował niemal nieograniczonymi możliwościami poruszania się w terenie, mógł zamówić i kupić każdy rodzaj broni, przerzucać się z kraju do kraju, wynajmować samochody, wreszcie znał wiele osób, które były mu przydatne.

Jemu to wszystko nie było potrzebne. Swoją przyszłą ofiarę miał pod ręką, o kilka ulic dalej. Mimo to postanowił wziąć Szakala za wzór idealnego mordercy. Nie pamiętał, może nie chciał pamiętać, że Szakal miał prawie od początku godnego siebie przeciwnika, niepozornego komisarza francuskiej policji, obdarzonego genialnym wyczuciem, ogromnym doświadczeniem i godną podziwu wytrwałością. Dlatego właśnie Szakal przegrał i zginął.

W dwa dni później, kiedy Suwalski wrócił do domu z jakiegoś spotkania, zobaczył, że w skrzynce pocztowej jest list. Wyjął go, spojrział na adres i zbladł. Poznał pismo Piotra Holdena.

- Przecież był pogrzeb... - szepnęła, osłupiała i wystraszona. Trwało dobrą chwilę, zanim uświadomił sobie, że list widocznie szedł kilka dni i rzecz jasna, został napisany przed śmiercią. Rozerwał kopertę. Holden nakreślił tylko jedno zdanie, dużymi ukośnymi literami w poprzek papieru:

„Jacku! Nie rób tego? Piotr.” I data, dokładna, z podaniem godziny. Tak jakby pisał to na krótko, może na kilka godzin przed popełnieniem samobójstwa. Wyszedł, wrzucił list do skrzynki, wrócił do domu. Ostatni list, jaki w życiu napisał, miał być ostrzeżeniem lub prośbą, lub jednym i drugim jednocześnie.

Suwalski stał nieruchomo w przedpokoju, wpatrując się w tych kilka zdań, nakreślonych trochę niepewną ręką. Z wolna uspokajał się. Współczucie, jakie odczuwał dla Piotra, minęło. Wiedział doskonale, o co mu chodziło, kiedy napisał „nie rób tego!”

- A ty? - mruknął z gniewem. - Po co ty „to” zrobiłeś?

Zmiał list, podarł na drobne kawałeczki i wrzucił do kosza. Poszedł na górę, nalał sobie dużą szklankę koniaku, wypił jak herbatę. Kiedy alkohol zaczął działać, zajrzał do notesu, w którym miał numery telefonów znajomych prostytutek pierwszego sortu. Trzecia z kolei była wolna, obiecała zaraz przyjechać. Suwalski płacił dobrze za „usługi”, nie miał więc trudności ze znalezieniem chętnych.

Rozdział 3

Po dwóch tygodniach - obserwacji znał już niemal dokładnie rozkład dnia. Zbigniewa Kuniczewskiego, po chwili gdy, rano opuszczał dom przy Jasnej aż do wieczora, kiedy już z niego nie wychodził. Był to

rozkład - monotony, czynności powtarzały się z regularnością zegarka, najwyżej z drobnymi odchyleniami.

Kuniczewski był wdowcem i miał jedenastoletniego syna, Michała. Prawie codziennie do ich mieszkania przychodziła pani, która, sądząc z podobieństwa w rysach i z tego, że chłopiec, mówił do niej „ciociu”, była siostrą Zbigniewa. Widocznie pomagała bratu w sprawunkach, bo zjawiała, się zwykle z siatką pełną zakupów. - W jedną i drugą, niedzielę cała trójka wyszła przed południem na spacer nad Wisłę; później wstąpili do kawiarni... - Kuniczewski był ekonomistą, pracował w przedsiębiorstwie przemysłu terenowego o nazwie „Wspólnota” biura mieściły się w pobliżu kina „Relaks”...nie miał więc daleko do pracy. Wychodził z domu zawsze o tej samej porze - za kwadrans ósma. Suwalski raz tylko odwiedził „Wspólnotę”, nie chciał się tam częściej pokazywać. Widział jednak pokój, w którym Kuniczewski siedział wraz - z dwoma innymi pracownikami. Dostrzegł szklanki z herbatą na biurkach, mnóstwo rozłożonych papierów, na ścianach jakieś wykresy i plany. Nie ciekawiło, go, co w tym biurze robią, nad czym pracują. To mu było niepotrzebne.

Kilka minut po trzeciej „Wspólnota” kończyła swą pierwszą i jedyną zmianę. Kuniczewski wychodził zwykle z innymi, często rozmawiali o czymś z ożywieniem, stawali na chodniku, gestykulowali. Jacek obserwował ich z lekką pogardą. Nie rozumiał, jak można było do tego stopnia interesować się pracą.

Okolo wpół do czwartej Kuniczewski wracał do domu. Jacek nie wiedział, czy ekonomista sam gotował obiad, czy też pomagała mu siostra. W każdym razie chłopiec o tej porze był już w mieszkaniu, być może on również przygotowywał jedzenie. Pod wieczór zwykle ojciec z synem wychodzili na spacer. Mieli psa, czarnego puszystego kundla z roześmianym pyskiem. Szli z nim do Ogrodu Saskiego, czasem dalej, na Starówkę, niekiedy zapuszczali się aż do parku Skaryszewskiego.

Suwalski szedł za nimi, starając się być nie zauważonym, albo jechał swoim błękitnym fordem-mustangiem, jeżeli pozwalały na to znaki drogowe. Któregoś dnia poczuł z przykrym zdziwieniem, że widok tych dwóch, pogrążonych w rozmowie i często uśmiechających się do siebie, budzi w nim jakąś gorycz. Z nim ojciec nigdy tak nie chodził na spacer czy do kina - zawsze pochłonięty robieniem interesów, zabiegany, myślący i mówiący wyłącznie o pieniądzach. Dla syna nie miał czasu i nie chciał go mieć, - bo według jego stów - „szkoda każdej minuty, która nie przynosi zysku”.

Miał więc ten zysk i te pieniądze. Dawał je synowi chętnie, ale nie znosił marnotrawstwa, z trudem wybaczał zniszczenie czegoś, co sam kupił. Potrafił wtedy uderzyć, krzyczeć ze złości i tupać nogami. I tytko Magda, trzecia żona, młoda i bardzo ładna, nic sobie nie robiła z tych ataków gniewu. Czasem je nawet prowokowała.

Po kolacji Kuniczewski jeszcze pracował. Przez nie zaciągnięte zasłony Jacek widział go, siedzącego przy biurku w jednym z dwóch

pokojów, pochylonego nad papierami. Chłopiec zajmował drugi pokój. Czasem wpadali do niego koledzy szkolni, z otwartego okna dolatywał gwar głosów, śmiechy, szczekanie psa. Potem w tamtym pokoju uciszało się, widać mały szedł spać. Kuniczewski gasił u siebie światło na krótko przed północą. Być może brał do domu jakieś prace zlecone.

Frajer - myślał Suwalski, opuszczając swój posterunek na Jasnej, kiedy w oknie było już ciemno. - Gdyby się postarał, mógłby zarobić dziesięć, dwadzieścia razy tyle niż ma tam z tej pensji Wystarczy pohandlować, zakręcić się koło interesów.

Przez chwilę złapał się na myśli, że zaproponuje temu człowiekowi jakiś nieduży zarobek „na boku”. Zaraz roześmiał się. To nie miałoby sensu, i tak Kuniczewski już nie zdąży.

Po dwóch tygodniach, kiedy, wiedział w zasadzie wszystko, co mogło mu być potrzebne, zasiadł w swym czarnofioletowym salonie, położył na stole kartkę papieru, długopis, wypił kieliszek koniaku i powiedział sobie, że ma godzinę - ani minuty więcej - na opracowanie planu. Jak Szakał. Rozważnie, precyzyjnie, bez możliwości popełnienia błędu. Szakał w ostatniej fazie swej operacji wiedział już, że jest ścigany przez policję, dlatego wyprowadziło go to z równowagi i zrobił fałszywy krok. Wprawdzie Forsyth tego nie napisał, ale musiało tak być. Wiec on tego fałszywego kroku nie zrobi.

*

Dokładnie po godzinie wstał, przeciągnął się i uśmiechnął z zadowoleniem. Tak, plan był dobry. Nie będzie błędu. Żadnego. Jeszcze raz uważnie przestudiował zapiski, potem spalił papier w metalowej popielniczce i wyrzucił popiół przez okno. Wypił parę kieliszków, poszedł na górę. Wziął kąpiel, po której zasnął od razu, ale sny miał niespokojne i przykre.

Pozostawała kwestia broni. Nie miał do dyspozycji żadnej. W grę nie wchodziła broń myśliwska ani sportowa, ze względu na rozmiary. U ojca w pałacyku, znalazłby dubeltówkę i sztucer, bez trudu dostałby też naboje. Nie sposób było jednak ukryć coś takiego pod kurtką, nawet płaszczem. Musiał zdobyć broń krótką; pistolet, w ostateczności rewolwer.

Wiedział, kto ma ośmio i półmilimetrowego gabbett fairfaksa, z którego trafia się na odległość kilkuset metrewr Sądził nawet; że wie, gdzie broń została schowana, pewnie razem z paczką naboji. Być może człowiek ten zgodziłby się pożyczyć. Może i sprzedać, choć to ostatnie było wątpliwe. Jednakże biorąc od niego broń, tym samym oddawał się w jego ręce. Facet był na tyle sprytny, że w lot zrozumiałby sytuację. Pistoletu gabbett fairfax nie pożycza się, by zabić zająca.

A więc należało broń ukraść. Samemu, bez informowania żadnego z kolegów, bez wynajmowania płatnego złodzieja. Będzie to zadanie trudne i ryzykowne. Zdawał sobie z tego sprawę. Jednakże podrażniona miłość własna i upór, z jakim przywykł robić to, na co miał ochotę, nie

pozwalają już się wycofać. Gra, którą rozpoczął, zaczęła go rozpalać i wciągać.

Człowiek, który miał pistolet gabbett fairfax kaliber osiem i pół milimetra, nazywał się Bamrosz. Był to dawny znajomy Artura Suwalskiego, jeszcze z okresu tuż po Wyzwoleniu. Jacek nie znał dokładniej ich powiązań i interesów - bo że to były interesy, w to nie wątpił - wówczas nie było go jeszcze na świecie i o tej znajomości usłyszał wiele lat później. Bamrosz zjawił się potem jeszcze parę razy w pałacyku w Babińcach. Pamiętał jego suchą, pomarszczoną twarz i przygarbioną sylwetkę w zielonym ubraniu leśnika. W czasie studiów pojechał kiedyś z ojcem do leśniczówki nad Wigrami, gdzie Bamrosa pracował. I wtedy właśnie, wieczorem po kolacji, zobaczył u niego GF.

- Wyrzuć to! - zawołał Artur Suwalski, wyraźnie przestraszony. - Jak możesz tak ryzykować? Wystarczy jakiś donos.

Bamrosz uśmiechnął się lekceważąco. Pogładził kolbę pistoletu z taką czułością, jakby głaskał ulubionego psa, i odparł:

- Wykluczone. Nie znajdą go, choćby mieli dom rozwalić i ogród przekopać. Mam takie miejsce w lesie... no, mniejsza. Ale ładna zabawka, co?

- Ty to nazywasz zabawką?!

- Trochę ciężka, co prawda. Nie szkodzi. Duży kaliber, z trzystu metrów człowiekowi łeb rozwali. To pamiątka. Jeszcze stamtąd, rozumiesz. - Spojrzał na Artura porozumiewawczo. - Wtedy był

wszędzie bałagan i udało mi się przewieźć przez granicę. Dałem za nią swój kozuch takiemu jednemu facetowi.

- Zrobiłeś kiepski interes. Zimą odzież lepsza niż pistolet.

Bamrosz roześmiał się, jakby usłyszał dobry dowcip.

- Dla mnie broń była wtedy ważniejsza. Zresztą kozuch mu potem zabrałem. Spiłem gościa na umór, zdjąłem „barany” z krzesła i tyle mnie widział. Nazajutrz byłem po tej stronie.

Jacek zapamiętał rozmowę o kozuchu i pistolecie. Było to cztery, może pięć lat temu. Bamrosz miał wówczas dobrze ponad pięćdziesiąt lat, sie chyba nie jest jeszcze na emeryturze. Trzeba więc pojechać do leśniczówki. Tam się zobaczy, co dalej.

Siedzieli przy kolacji. Leśniczy był uradowany z wizyty syna swego przyjaciela czy może raczej dawnego kompana od interesów. Wyciągnął nalewkę własnej roboty, w rewanżu Jacek postawił przywieziony koniak i Gordons Dry Gin. Bamrosz spróbował wpierw koniaku, potem wódki, z grzeczności pochwalił Salignac, dodając od razu, że woli gin. Pili więc, przegryzając ciemnoczerwoną, twardą szynką z dzika i ogórkiem, jedli jajecznicę z ziemniakami, aż Jacek odsunął talerz i westchnął ciężko:

- Nie mogę, panie Konstanty! Brzuch mi już pęka.

- Toż pan dużo nie zjadł - zdziwił się Bamrosz, który właśnie skończył drugą porcję jajecznicy. - Jak ptaszek, dziobie pan tylko. Może serka?

- Dziękuję, już nic. Zapalę, odpocznę.

- Przenocuje pan u mnie oczywiście? Gdzie tam pan będzie tłuł się po nocy. Jest pokój wolny, pościel, wszystko co trzeba. Tylko wygodka na dworze. Cóż robić, to stara leśniczówka.

- Dam sobie radę, mam latarkę. Aha, wie pan, co mi się przypomniało, kiedy jechałem do pana? Otóż kilka lat temu, kiedy byliśmy tutaj z ojcem, pokazywał pan jakiś duży pistolet, śmiesznie się nazywał... Wenus czy Mars?

- Gabbett fairfax z nabojami typu Mars. Angielska broń wojskowa.

- Więc niedawno widziałem u jednego faceta taką samą broń. Powiedziałbym, że identyczną. To było w wąskim gronie, nie chcę wymieniać nazwisk. W każdym razie gość chwalił się, że zdobył ten pistolet zupełnie przypadkowo i w lesie! Nie chciał wyjaśnić, czy znalazł gdzieś na drodze, w co bym zresztą nie uwierzył. Mogłem tylko przypuszczać, że robili jakąś obławę, czegoś szukali, natrafili na wykop czy dziurę, a może dziuplę w drzewie... nie pamiętam. No i tam był ten pistolet. Miał na kolbie wyryty taki zabawny znaczek, jakby serce ze strzałą czy coś takiego. Pański, rzecz jasna, takiego znaku nie miał. Myślę, że po prostu jeszcze w czasie wojny niemiecki oficer ukrył w lesie tę broń, zdobytą od jakiegoś Anglika.

Opowiadał to wszystko rozwlekle, z uśmiechem rozbawienia, nie spuszczać oczu z twarzy Bamrosza, który zbladł, potem poczerwieniał, podniósł się z krzesła, ale zaraz usiadł z powrotem.

- Ciekawe - mruknął. Nieznacznie otarł rękawem spocone czoło. - Gorąco tu... Ma pan rację, pewnie jeszcze niejeden pistolet zakopany jest w lasach po tej wojnie. Na moim nie było żadnego znaczka... Tak. A ten człowiek... ten, co miał GF, to cywil? Tak tylko pytam, z ciekawości.

- Cywil, albo i niecywil. Nieważne, panie Konstanty. Na co panu jeszcze jeden pistolet?

Leśniczy gwałtownie zamachał rękami.

- Boże broń, ja nie dlatego. Co mnie tam zresztą... Napijmy się!

Ale żaden nie podniósł do ust kieliszka. - Jacek wiedział, że musi być trzeźwy, aby wykonać to, co zamierzał. Bamrosz dziwnie zmarkotniał, zasępił się. Wypił w końcu, ziewnął szeroko i bąkał coś o zmęczeniu. Suwalski dźwignął się z krzesła, raptem uderzył pięścią w stół i zaklął brzydtko. Tamten podniósł na niego zdziwione oczy.

- Jasna cholera! Ja muszę jechać do Warszawy. Zupełnie zapomniałem, niech to szlak trafi!

- A co się stało?

- No, zapomniałem, że Magda będzie u mnie nocować. Ma być w Warszawie gdzieś tak przed, północą.

- Da sobie radę. Pójdzie spać i tyle.

- Ale macocha nie ma kluczy od mojego mieszkania! Która godzina?

- Sześć po siódmej. Dziewiętnastej, znaczy. Jeżeli pan musi jechać, panie Jacku, to pan zdąży na noc. Droga dobra, sucho, nie ma mgły. Ale szkoda, myślałem, że jutro pójdziemy w las, można by coś ustrzelić.

- Innym razem.

Nałożył kurtkę i czapkę, uściśnął mocną, żyłastą rękę leśniczego i wybiegł do samochodu. Bamrosz stał na progu, dobrze widoczny w świetle, bijącym z przed pokoju; wołał jeszcze, aby Jacek uważał na skrócie do szosy, bo przy drodze leżą sagi. Suwalski odkrzyknął, że pamięta, ruszył ostro i po paru minutach nie było już słyhać warkotu silnika. Nie tylko dlatego, że samochód oddalił się, ale i z tej przyczyny, że minąwszy szkółkę sosenek i przesiekę Suwalski zatrzymał, wóz, zgasił silnik i wysiadł.

Noc była ciemna, cicha. Wziął latarkę, na wszelki, wypadek wyjął i schował kluczyki od stacyjki w myśl zasady, że strzeżonego i tak dalej. Potem zaczął iść długimi, szybkimi krokami w kierunku leśniczówki, którą dopiero co opuścił. By.}. pewien, że dostatecznie wystraszył Bambosza zmyślonym opowiadaniem o pistolecie ze znaczkiem serca, przebitego strzałą. Dobrze pamiętał, że właśnie takie serce wyryte było na broni, którą kilka lat temu, leśniczy pokazywał ojcu. Ta sama firma: Gabbett Fairfax, rzadko w Polsce spotykana, ten sam kaliber i taki sam znak, wyryty na kolbie - wszystko to musiało starego wygnać z domu w las. Po to, aby sprawdzić, czy jego pistolet jest jeszcze w kryjówce.

Szedł ostrożnie, ale spieszył się. Bamrosz nie będzie czekał, z pewnością pójdzie od razu. On by zrobił to samo na jego miejscu. Kiedy wzrok oswoił - się z ciemnością, zaczął rozróżniać kontury drzew i krzaków. Drogę pamiętał, zresztą nie odjechał daleko. Po ośmiu, może dziesięciu minutach znajdował się już tak blisko leśniczówki” że widział zarysy domu i światło w jednym oknie. Zaczaił się w zaroślach i czekał.

- Nie czekał długo. Drzwi otworzyły się, Bamrosz z latarką w rękę i pękiem grubego sznura wyszedł z domu, zamknął go starannie i stał przez chwilę nieruchomo, nad słuchując i patrząc w ciemność. Uspokojony, wszedł w las. Snop światła, biegnący przed nim pozwolił Jackowi nie spuszczać z oka wysokiej, przygarbionej sylwetki. Trzymał się jednak w dość znacznej od-; ległości, pamiętał, że stary ma doskonały słuch!

Szli tak, jeden za drugim, może pół godziny. Nagle światło latarki zatrzymało się, zatoczyło krąg w górze, potem znieruchomiło. Suwalski zorientował się, że leśnik umocował latarkę na drzewie, widać chciał mieć wolne ręce. Podsunął się bliżej; wciąż uważając, aby nie szeleścić gałęziami. Zobaczył, że Bamrosz stoi pod wielkim, starym dębem i przygląda mu się to z jednej,” to z drugiej strony Potem leśnik rozwinął sznur, na końcu był krótki hak żelazny. Zarzucił go na grubą gałąź, spróbował, czy ostrze dostatecznie wbiło się w drzewo i trzyma. Znowu rozglądał się, nad słuchiwał i czekał. Wreszcie z przedziwną, jak na jego wiek i ciężar, zręcznością wspiał się po sznurze w górę i znikł. Słychać

było tylko, szelest liści, między którymi się przesuwał. Później szuranie i szeleszczenie ustało. Teraz do uszu Suwalskiego dobiegło jakby ciche drapanie, skrobanie po szorstkiej korze, chwila ciszy i głośne, zadowolone mruknięcie:

- No, jest!

Jacek pomyślał, że stary być może zechce mimo wszystko zabrać pistolet, aby poszukać dla niego innej kryjówki. Toteż wyteżał wzrok, kiedy Bamrosz zsunął się wreszcie z drzewa, otrzepał ubranie i znów przez chwilę nadśluchiwał. Odczepił później hak, zwinął sznur, zdjął latarkę i oddalał się spokojnym, równym krokiem w stronę domu.

Nie sposób było dostrzec, czy ma w kieszeni broń, czy też zostawił ją w dziupli. Należało samemu zabrać się do roboty. Odczekał jeszcze z kwadrans, choć było jasne, że Bamrosz już tu nie wróci, a przynajmniej nie tej nocy, bo po co, podszedł więc do dębu, ale nie odważył się zapalić latarki. Światło mogło go zdradzić, blask w ciemnym lesie widoczny jest z daleka.

Zdjął kurtkę, czapkę, zakasał rękawy swetra. Buty ślizgały mu się po nierównej korze, więc je zrzucił, w skarpetkach lepiej było wspinać się w górę. Nie miał wprawy w chodzeniu po drzewach, spocił się, otarł skórę na palcach, zasapał. Kiedy dosięgnął gałęzi, było już łatwiej. Wśród gęstych liści można było pomóc sobie światłem, więc zapalił latarkę i przymocował ją do paska od spodni. Otwór dziupli dojrzał gdzieś w połowie wysokości dębu. Zamaskowany szmatami, odcinał się

jednak wyraźnie od szarej kory. Umieścił się mocniej na szerokiej gałęzi, przywarł kolanami do pnia i ostrożnie wyjmował, z otworu kawałki naoliwionego płótna, uważając, aby ich nie upuścić na trawę. Wsunął rękę głębiej, namacał podłużny, twardy kształt, zawinięty również w płótno, nasycone tłuszczem. Z największą ostrożnością odwinął szmaty, włożył pistolet za pasek od spodni, potem uporządkował dziuplę, zatykając ją z powrotem. Zgasił latarkę i powoli zsunął się na trawę.

Ręce i kolana drżały mu ze zmęczenia i zdenerwowania, twarz była zlana potem. Przełożył broń do obszernej kieszeni kurtki, bo dawała się zapiąć na guzik, tak było bezpieczniej. Ubrał się, popatrzył dokoła, czy czegoś nie zostawił, I nagle zląkł się, że nie trafi do samochodu... W jedną stronę szedł za Bamroszem, nie zwracał uwagi na drzewa i ścieżki, które mijał.

A co będzie, jeżeli dotrze w końcu do wozu i zastanie przy nim leśnika?

Nie wiedział, jak długo błądził wśród gęstych krzaków i drzew, zanim wreszcie odnalazł drogę, na której spokojnie czekał błękitny ford-mustang. Nikogo przy nim nie było, noc w dalszym ciągu sprzyjała planom Jacka. Kiedy wyjechał na szosę i znajdował się już w odległości kilkunastu kilometrów od leśniczówki, zahamował, wyjął z kurtki pistolet i obejrzał go dokładnie. Tak, był to gabbett fairfax kaliber osiem i pół milimetra, naoliwiony, w doskonałym stanie; przynajmniej tak można było sądzić po pobieżnych oględzinach. Sprawdził magazynek,

znalazł tylko cztery naboje. Powiedział sobie, że to musi mu wystarczyć. Kupowanie, szukanie amunicji, zwłaszcza do tego typu broni było mocno ryzykowne.

Owinał pistolet chustką do nosa i wsunął głęboko pod siedzenie. Jechał potem niezbyt szybko, uważnie, nie chciał wpakować się nawet w najgłupszą stłuczkę, bo wiedział, co wiezie. Z nielegalnego posiadania broni nie wykręciłby się przed milicją.

*

Do Warszawy dojechał trochę przed północą. Rzecz jasna, Magda ani nikt inny nie czekał pod zamkniętymi drzwiami jego domu, to był najprostszy bluff, jaki wymyślił na użytek Bamrosza. Macocha nigdy nie korzystała z gościny U Jacka, nie znosili się serdecznie i wypominali sobie to i owo przy każdej okazji. Młody Suwalski miał ojcu za złe małżeństwo z dziewczyną, której Artur mógł być bez mała dziadkiem, bo różnica lat między nimi przekraczała czterdziestkę. Prócz tego, gdyby nie Magda, „pensja”, którą otrzymywał od ojca, wynosiłaby z pewnością drugie tyle.

Wiedział też, że dwudziestopięcioletnia macocha robi wszystko, aby poróżnić go z ojcem, co jej się zresztą do tej pory nie udawało, ale co mogło każdej chwili nastąpić. A wreszcie w tym wszystkim, co Jacek odczuwał, był też jakiś element zwykłego wstydu, że stary, siedemdziesięcioletni człowiek bierze sobie za żonę taką sikszę. Zdarzyło mu się kilkakrotnie wypatrzeć, jak Magda bawi się, wyjeżdża i bez

żenady włóczy się po lokalach z młodymi chłopakami w jego wieku, usłyszał też nieraz, jak razem naśmiewają się z „głupiego starucha”. Kiedyś nie wytrzymał, podszedł do ich stolika, jednemu skuł mordę, drugiego zwałił na podłogę tak mocnym ciosem, że pijany facet nie zdołał podnieść się o własnych siłach i trzeba go było odwieźć na Pogotowie. Magdę chwycił wtedy za rękę, wyszarpnął przed lokal i zbił ją zwyczajnie po twarzy, aż zsiniała i spuchła. Wskoczył do samochodu i odjechał, zanim tamci zdążyli pomyśleć, kto ich tak urządził.

Magda nie poskarżyła się mężowi. Może bała się, że Jacek ma świadków tego prześmiewania, a stary Suwalski, kiedy się naprawdę rozgniewał, był straszny. Zresztą uważała go za „dojną krowę”, z której dużo jeszcze miała zamiar wyciągnąć. Od tego wieczoru zaprzysięgła Jackowi zemstę, ale kiedy przypadkiem - rzadko się to zdarzało - znaleźli się we trójkę, udawali, że nic między nimi nie zaszło. Stary wodził zwężonymi źrenicami po ich twarzach, czuł, że coś jest nie tak, choć jego podejrzenia szły w zupełnie innym kierunku. Przypuszczał, że Jacek podkochuje się w jego żonie i, być może, spotykają się za jego plecami. Na samą myśl o tym kipiała w nim złość i oburzenie. Nie miał jednak żadnych dowodów. Jacka kochał na swój sposób, pozbawiony serdeczności; przecież był to jego jedyny syn. Poza tym potrzebował go w interesach, tych „specjalnych”, o których nigdy nie wspominał Magdzie, gdyż wcale jej nie ufał.

Znalazłszy się w domu, Jacek wyjął z kurtki pistolet i przyjrzał mu się dokładnie. Oczywiście, miał na drewnianej kolbie znak serca przebitego strzałą. Ciekawe, czy Bamrosz jeszcze raz pójdzie sprawdzić zawartość dziupli w starym dębie. Zrobiłby to chyba tylko w jednym przypadku: gdyby i on postanowił posłużyć się bronią...

Położył pistolet na biurku. Był dość ciężki. Nie szkodzi. Rozejrzał się po pokoju, szukając dogodnego miejsca na schowek. Nigdy nie wiadomo, czy z jakiejś tam przyczyny milicja nie zacznie przeszukiwać domu. Jacek dopuszczał taką możliwość, gdyż wiedział bardzo dużo o tych „specjalnych” interesach ojca, w których sam brał żywy udział. Handel walutą na grubą skalę, przemysł brylantów na zachód, różne tego typu sprawy i sprawki groziły każdej chwili wpadką. Dlatego należało schować broń tak, aby nikt jej nie znalazł.

Owszem, było w domu miejsce, do którego żaden oficer śledczy z pewnością nie zajrzy, chyba żeby miał bardzo bujną wyobraźnię. Na jednej z półek dużego regału, pomiędzy jakimiś tam wazonikami i figurkami, ustawionymi tu przez Jolkę, znajdowało się duże popiersie Szopena. Bóg raczy wiedzieć, skąd się wzięło, Jacek zupełnie nie potrafiłby wytłumaczyć pochodzenia rzeźby z brązu, pamiętał tylko, że była w ich wspólnym jeszcze domu, u ojca w gabinecie, a potem nie wiadomo kiedy znalazła się u niego. Pamiętał też, że były czasy, kiedy ojciec w Szopenie coś przechowywał. Rzeźba była ciężka, ale pusta w

środku, głowa wielkiego Mistrza dawała się odkręcać, całość musiała być wykonana na czyjeś specjalne zamówienie dawno temu.

Podszedł do regału, zdjął z półki popiersie, postawił na biurku. Ostrożnie odkręcił głowę i zmierzył wzrokiem głębokość otworu. Tak, pistolet zmieści się w Szopenie, chociaż z trudem. Owinął gabbett fairfaxes w płótno, ułożył w rzeźbie, potem przywrócił jej właściwy kształt. Spróbował, czy ciężar bardzo się powiększył i doszedł do wniosku, że nie na tyle, aby mogło to wzbudzić czyjeś podejrzenia. Ostatecznie brąz jest ciężki z natury.

Postawił Szopena na półce, odstąpił parę kroków i przyglądał mu się w skupieniu. Nic - nie wskazywało, że w popiersiu Mistrza tonów spoczywa śmiertelny przedmiot. Wszystko było o kay.

No” tak. Czy jednak może na tyle ufać zarówno w niezawodność pistoletu, jak i w sprawność własnej ręki i oka? Szakał kupił w tym celu duży arbuz czy dynię, pojechał w las i wypróbował swoją broń, przestreliwując owoc wielkości ludzkiej głowy. Dynia to głupstwo. Gorzej z nabojami, których miał tylko cztery. No i ten las... We wszystkich rejonach i odcinkach każdego polskiego lasu znajduje się całe mnóstwo leśniczych, gajowych, drwali, myśliwych, turystów, zbieraczy grzybów, zwłaszcza jesienią, tabuny wycieczek, harcerzy, wreszcie wojsko, straż leśna i diabli wiedzą kto jeszcze. Każdy, strzał wzbudzi natychmiast popłoch i postawi na nogi setkę ludzi w pobliżu.

Nie, o strzałach w lesie nie ma co marzyć. Pozostają piwnice w willi nad jeziorem. Duże, oddalone od najbliższej wioski o parę kilometrów, można w nich urządzić podziemną strzelnicę. Nagle przypomniał sobie, że przecież willą opiekuje się rodzina, sprowadzona przez ojca jeszcze w sierpniu. Nie sposób dwojga ludzi usunąć z domu na co najmniej kilka godzin, a chociaż mieszkają nie w samej willi, lecz obok, to przecież z pewnością zainteresują się, co syn właściciela robi w piwnicach. Mogą też usłyszeć strzały, a wówczas z pewnością doniosą o tym ojcu. Był przekonany, że donieśliby o wszystkim, co dzieje się lub będzie działo w willi. Również i w tym celu ich tam umieścił, nie tylko dla porządków i opieki.

Zaklął brzydko, bo wiedział już, że musi zaryzykować przeprowadzenie swych planów bez żadnej próby. Większym ryzykiem mogła być głupia wpadka w trakcie przygotowań, a tej chciał uniknąć za wszelką cenę. Do tej pory wszystko szło mu nad podziw gładko, może więc uda się do samego końca.

*

W parę dni później na Nowym Świecie spotkał Dariusza Stocklanda. W ciągu niespełna dwóch miesięcy początkujący piosenkarz wyrósł na idola w swym środowisku, wystąpił dwukrotnie w telewizji i wiele razy na estradach. Miał tak samo uroczy uśmiech na różowej, dziewczęcej twarzy i ten sam sposób bycia, grzeczny, delikatny, co dawniej. Niemniej jednak dała się w nim zauważyć jakaś pewność

siebie, której dotychczas nie miał. Odrobinę wyżej trzymał głowę i spoglądał na ludzi z dobrotliwą wyrozumiałością, jakby świadom tego, ile jest wart.

- Jak się masz, Jacku - powiedział uprzejmie.

Suwalski zmierzył go długim spojrzeniem, od góry do dołu. Nie spodobał mu się ton tego powitania, odparł więc lekceważąco:

- Mam się. Czego nos zadzierasz? Mnie twoje śpiewki nie imponują.

Stockland zmieszał się, poprawił kołnierz jasnej zamszowej kurtki..

- Wiem, że moja forsa nie może się równać z twoją - rzekł uległe - ale idę coraz wyżej. Chyba widziałeś mnie w telewizji?

- Nie.

- Szkoda. Ciekaw byłbym twojej opinii, którą zawsze ceniłem.

- Mówisz w czasie przeszłym - zauważył z przekąsem. - Już nie pamiętasz, ile masz u mnie długów?

Dariusz poczerwieniał z irytacji i wstydu. Sądził, że Jacek zapomniał o tych głupich kilkunastu tysiącach, które mu pożyczył w ciągu ostatniego roku. Filmowiec, współlokator i bliski przyjaciel Stocklanda, był skąpy jak Harpagon, toteż młody piosenkarz ustawicznie siedział u kogoś w kieszeni.

- Oddam ci - bąknął. - Poczekaj jeszcze trochę.

Suwalski przyglądał mu się z pogardą. Odkąd Dariusz wyrwał się spod jego wpływu, stracił dla niego całą sympatię. Nie znosił, kiedy

człowiek - do tej pory od niego zależny, patrzący w oczy niczym pies, który czeka na rzucony mu kąsek - zrywał tę zależność i odchodził. Czuł się wtedy jak władca zbuntowanych niewolników, ratujących się ucieczką.

- Poczekam - zgodził się łaskawie. - Ale ty pamiętaj, coś mi winien. Mam na myśli nie tylko forszę. Nie graj przede mną wielkiego artysty, bo jak zechcę, to cię tak urządzę, że nikt nigdy już cię nie zaangażuje ani do zespołu, ani ha żadne występy. Mamy z ojcem długie ręce.

Stockland patrzył na niego z przerażeniem. Teraz był to znowu nieśmiały, skromny chłopaczek sprzed dwóch lat, kiedy poznali się z Jackiem na jakimś przyjęciu.

- Ja wcale... przepraszam, wcale nie chciałem cię urazić - wyjąkał. Dobrze zdawał sobie sprawę z tego, że Jacek nie mówi na wiatr. Że jest mściwy, kapryśny i czasami bardzo trudno go ugłaskać. - Pamiętam wszystko. Zawdzięczam ci wiele. I na pewno oddam cały dług, jak tylko uzbieram z występów. Proszę, cię, bardzo proszę, nie przeszkadzaj mi w tym! Ja już się wciągnąłem w pracę artystyczną, szalenie mi to odpowiada, zresztą nic innego nie potrafię. Błagam cię, Jacku, bądź dla mnie dobry!

- O. widzisz. Tak jest dobrze. Teraz jesteś znowu zwykłym śmierdzącym gnojem, któremu mogę dać prztyczka w nos, jak swemu psu... Mogę czy nie mogę?

- Możesz, Jacku. - Dariusz pokornie schylił głowę. Gotów był ucałować jego rękę. Nawet buty. Żeby tylko nie próbował się mścić, choć tak naprawdę to nie było za co, ale Jackowi nie potrzebny był żaden pretekst. - Zawsze miałeś nade mną przewagę.

- Ale ty mnie lubisz, prawda? - Znęcał się nad nim, sprawiało mu to wyraźną uciechę. - Kochasz mnie jak rodzonego brata?

- Kocham cię. Jak brata - powtarzał Dariusz, było mu już wszystko jedno. Nienawidził Suwalskiego całą duszą, więc przysłonił oczy długimi ciemnymi rzęsami, aby go nie zdradziły.

Jacek wzruszył ramionami. Czyjaś pokora, uległość była mu potrzebna, ale nudziła go. Doprowadził do niej, więcej nie pragnął.

- Idź już, ty małe ścierwo! Śpiewaj te swoje dyrdymałki. Z Jolką możesz się czasem przespać, jeżeli ją to bawi. Pamiętaj jednak, że ona do mnie należy. Jak sobie o tobie przypomnę, to cię znów zaproszę.

Odwrócił się na pięcie i odszedł. Stockland patrzył za nim długo, a w jego oczach rozbliły się nieskrywana już teraz nienawiść. Zacisnął pięści, upokorzony, wściekły z powodu tej swojej bezsilności, tego uzależnienia od Suwalskiego, bo wiedział doskonale, że na jedno jego skinienie przybiegnie znowu, będzie dla niego grał i śpiewał, będzie pożyczał od niego pieniądze i pogrążał się w tym wszystkim coraz głębiej.

Zabiję go - pomyślał, idąc chodnikiem. I sam sobie powiedział z goryczą, że wówczas pozbędzie się co prawda jednego długu, ale nie

będzie już miał możliwości zaciągnąć następnych. Nikt z jego znajomych nie potrafił tak, jak Jacek, lekką ręką wyjąć z portfela⁷ pięć, dziesięć tysięcy i rzucić na stół ze słowami: „Masz!” Dariusz zdawał sobie sprawę, choć przed innymi nie przyznałby się do tego, że jego piosenkarska sława jest krucha i zawieszona w powietrzu niczym wydmuchane jajko na choince. Wystarczy tknięcie palcem, i po wszystkim. Konkurencja w tym zawodzie była olbrzymia, protekcje filmowca okazały się za słabe, ze scenariuszem jakoś nie mogli się uporać. Przyjaciel przebąkiwał coś o podjęciu normalnej pracy z normalną pensją co miesiąc. Stockland słuchał tego wystraszony. On nie chciał żadnej pracy prócz śpiewania. Jego życie musiało, powinno było płynąć lekko, bez wysiłku. Nie ukończył żadnej szkoły muzycznej, bo był na to za leniwy. Na razie górował nad innymi urodą i młodzieńczym wdziękiem. Co będzie potem, wołał się nie zastanawiać.

*

Kończył się październik. Jacek miał już swój plan opracowany w najdrobniejszych szczegółach, sprawdzał go jednak po raz któryś z rzędu, włóczył się za Kuniczewskim po mieście i obserwował. Popełnienie zbrodni doskonałej - bez motywu, bez znajomości swej ofiary - tylko dla zaspokojenia własnych zachcianek i wygrania przerażającego zakładu, powoli zaczęło stawać się jego obsesją. Ostatnie tygodnie wycisnęły na nim specyficzne piętno, spoglądał czasem na siebie w lustrze, widział zmienioną twarz, zaostrome rysy i okrutny

wyraz oczu. Schudł, pił więcej niż zwykle, przestał odwiedzać znajomych.

Mrowiec dosiadł się do niego kiedyś, widząc że siedzi samotnie w lokalu, i próbował rozmawiać, ale szybko z tego zrezygnował. Suwalski patrzył na - kolegę pustym, niewidzącym wzrokiem i milczał.

- Chory jesteś, czy co u diabła? - zdenerwował się Stefan. - Co ci jest?

- Nic.

- Tak się przejąłeś śmiercią Holdena? Przecież to był narkoman, degenerat i tak prędzej czy później szlag by go trafił!

Jacek nie odpowiedział. Mrowiec spytał o Jolkę, powtórzył parę plotek o znajomych i umilkł, zniechęcony. Wtedy usłyszał:

- Spływaj stąd. Szybko.

- Bo co?

- Nudzisz mnie.

- To” chodź, pójdziemy gdzieś, zabawimy się. Możemy jechać do Zakopanego czy do Sopotu. Znam dobrą melinę z ruletką, ekskluzywny lokal, tylko dla wybranych. Ładne dziewczyny, striptiz... poker... No?

- Nudzisz mnie - powtórzył Jacek głośniejszym głosem. Przymrużył oczy, zacięte usta tworzyły jedną wąską linię.

Mrowiec patrzył na niego przez chwilę, próbując zrozumieć sytuację. Takim Jacka jeszcze nigdy nie widział.

- Pożarłeś się ze starym i nie daje ci forsy?

- Puknij się w twój głupi łeb! Chcę być sam. Nie rozumiesz tego, kretynie?

- Mogłeś tak od razu powiedzieć.

Mrowiec wstał od stolika, wzruszył ramionami. Przyszło mu jednak na myśl, że być może Jacek czeka na kogoś i nie chce, żeby go inni z tym kimś zobaczyli i dlatego jest zły. Pewnie jakieś interesy. Cóż, to trzeba zrozumieć. Kiwnął mu głową i odszedł. Interes, to był argument dla nich wszystkich, w tym nie należało przeszkadzać.

Po jego odejściu Suwalski szybko zapłacił i opuścił lokal. Wrócił do domu, zamknął starannie drzwi. Na górze w gabinecie zdjął z półki brązowe popiersie i wyjął pistolet. Broń była czysta, nie wymagała żadnej pielęgnacji. Mimo to rozebrał ją, wytarł delikatnie każdą część, obejrzał wszystkie cztery naboje. Nie się tu nie mogło zmienić od chwili, kiedy umieścił gabbett fairfaxes w rzeźbie. Poczul jednak, że manipulowanie przy pistolecie dziwnie go uspokaja, dodaje pewności siebie.

A gdybym teraz się wycofał? - pomyślał nagle. I usłyszał, tak wyraźnie jakby to działo się naprawdę, cichy stłumiony głos Piotra: - „Jacku! Nie rób tego...”

Wrażenie było tak silne, że upuścił trzymany w ręku magazynek i obejrzał się ze strachem. Nie było nikogo; mimo to serce biło mu mocno i ręce drżały nerwowo.

- Szmata się ze mnie zrobiła - mruknął. Schował z powrotem pistolet. Ktoś zadzwonił, więc niechętnie podniósł słuchawkę.

- Słucham?

Ale po tamtej stronie panowała cisza. Powtórzył jeszcze raz „słucham” i rzucił słuchawkę na widełki. Po chwili telefon znów zadzwonił. Chciał wyjąć wtyczkę z kontaktu, ale bezwiednie powiedział po raz trzeci, że słucha. Nic. Tylko jakby czyjś oddech po drugiej stronie, ciężki, świszczący, z trudem wydobywający się z płuc. Ze strachu włosy - z jeżyły mu się na głowie.

- Kto tam jest?! - krzyknął.

Nie dostał odpowiedzi. Wyszarpnął wtyczkę; nastąpiła cisza. Powoli odłożył słuchawkę. Oczywiście, pomyłka - uspokajał sam siebie. Ale dlaczego ten ktoś nie odezwał się? Poczuł, że nerwy ma tak rozstrojone, iż dłużej w tym stanie nie wytrzyma. Po raz pierwszy w życiu pożałował siebie. Że jest taki wyobcowany, że ma wszystko - a nie ma nic, jakby znajdował się w ogromnej pustce, bez żadnych perspektyw. Że jest, w gruncie rzeczy, sam.

Odwiedził wiosną jednego z dawnych kolegów uniwersyteckich, tak się złożyło, że spotkał go na ulicy, zaczęli rozmawiać i kolega zaprosił go do siebie. Było to skromne M-3 na Stegnach, bardzo słoneczne, pełne kwiatów i roślin ozdobnych, umeblowane zwyczajnie, ale jakoś miło. Kolega był żonaty, miał trzyletnie dziecko i był szalenie dumny ze swej małej rodzinki. Jacek został u nich na kolacji,

obserwował wszystko przymrużonymi oczami, w duszy naśmiewał się z tego ich życia, które tak bardzo różniło się od warunków, w jakich on sam się wychowywał - ale w którym tej trójce było dziwnie dobrze. Kolega pracował w jednej z fabryk. Ona chciała już niedługo wrócić do swego zawodu. Nie mieli samochodu, telewizor był czarno-biały; na wakacje jeździli do rodziny na wieś. Okropne! - myślał, kryjąc pogardę.

A teraz przypominał mu się ten dom, tamta rodzina. Serdeczna dla siebie i innych, wesoła taką wesołością, o jakiej on już dawno zapomniał, bo śmiać się umiał tylko ze słonych kawałów po sporej ilości alkoholu. Nie rozumiał, że w tak skromnych warunkach można być zadowolonym z życia. Dziś pomyślał, że tych troje miało siebie.

A on miał tylko pieniądze.

Rozdział 4

Profesor Zawada, choć przekroczył już sześćdziesiątkę, trzymał się krzepko, chodził wyprostowany i miewał różne niezwykłe w jego wieku upodobania. Lubił na przykład, kiedy noc była w miarę ciepła i pogodna, wybrać się na długi, parogodzinny spacer po pustych, cichych ulicach miasta. Myślało mu się wtedy dobrze o najrozmaitszych sprawach, nikt go nie potrącał, nie rozmawiał głośno nad uchem, samochodów jeździło mało, więc i powietrze było odrobinę czystsze.

Od paru miesięcy profesor pracował nad korektą swej ostatniej książki z dziedziny ekonomii. Nie była to zwyczajna korekta, bo Zawada miał zwyczaj do ostatniego, momentu przed oddaniem pracy do składu zmieniać w niej coś, poprawiać, wypisywać na marginesie długie wstawki, czym doprowadzał do szału swoje wydawnictwo, zwłaszcza zaś redaktorów. Zawada mógł sobie na te pozwolić, bo jego książki należały do najlepszych w dziedzinie ekonomii i były tłumaczone - na wiele języków.

We wtorek, dwudziestego października, profesor zdecydował, że trzeci rozdział musi zostać uzupełniony większą wstawką. Ponieważ, najlepiej mu się myślało na nocnych spacerach, nałożył przyzwoity, ciemny płaszcz z lekkiej wełny, owinął szyję pstrym szalikiem i na krótko przed północą wyszedł z domu bardzo cicho, nie budząc nikogo z rodziny.

Zamyślony, całkowicie pochłonięty poprawkami naukowymi, przeszedł przez Nowy Świat, skręcił w Warecką i zaczął krążyć pomiędzy mniejszymi uliczkami w pobliżu placu Powstańców Warszawy. Dokądkolwiek by chodził nocami, zawsze w końcu trafiał na to miejsce, bo mieszkał tu wiele lat, przed wojną i zaraz po niej, zanim rodzina mu się nie powiększyła i trzeba było wynieść się ze starego domu, w którym było swojsko, ale ciasno.

Noc była bardzo ciepła, choć w drugiej połowie października powinno być inaczej” ale od pewnego czasu - stwierdził, mijając skrzyżowanie - klimat u nas się zmienia. Może to przez...

Urwał tok myśli, bo potracił nogą o jakiś duży, ciemny kształt, którego w mroku ulicznym nie zauważył. Przyjrzał się temu, pochylił i cofnął odruchowo. Na chodniku, tuż przy bramie, leżał człowiek. Leżał tak jakoś dziwnie, nie po pijacku, z głową przekrzywioną na bok i rękami rozrzuconymi. Profesor przyglądał mu się przez dłuższą chwilę, chcąc dostrzec w tej postaci jakikolwiek znak życia, oddech, ruch ręki czy nogi. Nagle zaniepokoiła go duża ciemna plama na piersiach leżącego. Wyglądało to, jakby ktoś przykrył go czarną chustą, spływającą miękko na boki i dalej, na płyty chodnika.

Zawada schylił się niżej, stęknął trochę i chciał zdjąć tę chustę, aby zobaczyć, co to takiego, ale jego palce natrafiły na coś zupełnie innego - właściwie była to tylko cieniutka powierzchnia niby nadmarznięty śnieg, pod którą uczuł wilgoć. Uniósł rękę, popatrzył i zrozumiał. To była zaschnięta krew.

Profesor widział już w swoim życiu tak - wiele, że nie odczuł strachu, iż oto los zetknął go z trupem na pustej, ciemnej ulicy. Oczywiście, nie było to przyjemne i wolałby, żeby los uczestował tym kogoś innego, najlepiej patrol MO. Ponieważ jednak on sam nieomal wszedł na zwłoki, przeto do jego obowiązków należało ściągnąć tutaj milicję.

Dotknął jeszcze ręki i czoła leżącego, aby upewnić się, czy ciało nie jest ciepłe. Potem rozejrzał się dokoła, próbując uzmysłwić sobie, gdzie znajduje się najbliższa komenda MO. Nie bardzo w tym się orientował, jego kontakty z milicją były jak dotąd nikłe i do dzisiejszej nocy można było sądzić, że takie pozostaną. Wiedział z całą pewnością, że w Pałacu Mostowskich jest Komenda Stołeczna, bo pracowało w niej kilku jego byłych studentów, magistrów wydziału ekonomii. Tak, ale o pół do drugiej w nocy z pewnością ich tam nie ma.

Kiedy tak stał i medytował, w którą stronę się udać, zobaczył nadjeżdżający samochód. Zanim rozpoznał milicyjny radiowóz, kierowca zatrzymał się przy chodniku i człowiek w niebieskim mundurze wyjrzał przez uchyloną szybę, mówiąc: - Zabierz pan kolegę do domu, bo w Izbie Wytrzeźwień komplet!

Profesor poczerwieniał, odkaszlnął i odparł z godnością:

- Po pierwsze, to nie mój kolega, tylko ktoś całkiem obcy. A po drugie, on nie żyje.

Drzwiczki samochodu otworzyły się błyskawicznie, dwóch milicjantów wyskoczyło i podeszło do Zawady. Jeden oświetlił latarką, człowieka leżącego na chodniku, świsnął przez zęby i pokręcił głową. Drugi bez słowa zawrócił do wozu, uruchomił radiostację i mówił:

- Zero jedenaście, tu dwadzieścia sześć - dwadzieścia osiem, jak mnie słyszysz?... Zawiadom dyżurnego w kryminalnym... Tak, mamy zwłoki. Zabójstwo...

Podał ulicę i numer domu, przy którym stali. Potem zbliżył się do kolegi, który tymczasem przeglądał dowód osobisty profesora i pytał o to, o Co w takich wypadkach pytać należy. Zawada odpowiadał chętnie gdyż nie miał nic do ukrywania prócz niektórych całkowicie oryginalnych formuł ekonomicznych, ale nie o to teraz chodziło. Zdziwiło go trochę, że zajmują się nim zamiast nieboszczykiem, sądził jednak, że i na nieboszczyka i przyjdzie kolej.

*

W pokoju sekcji zabójstw Komendy Stołecznej MO tej nocy dyżur miał kapitan Olesiński, szczupły blondyn, łysiejący od czoła, o lekko zapadniętych policzkach i niebieskich oczach, które w trakcie każdej rozmowy zapalały się i gasły na przemian. Zależało to od zainteresowania tematem. Olesiński miał trochę nierówne usposobienie, każdą prowadzoną sprawę przeżywał „falami”, to wciągnięty w nią po uszy, to znów usposobiony sceptycznie do własnych wysiłków i ich rezultatów. Cieszył się zresztą dobrą opinią U przełożonych, a także i u kolegów, co, jak wiadomo, nie zawsze idzie w parze.

Siedział teraz przy telefonie i cierpliwie czekał, aż po tamtej stronie podniesie słuchawkę naczelnik wydziału kryminalnego. Dochodziła druga w nocy i naczelnik miał prawo spać we własnym łóżku, śniąc o czymś tam albo wcale. Kapitan zaś miał nie tylko prawo, ale obowiązek wyrwać go ze snu i powiadomić o tym, co zaszło. Wreszcie doczekał się mrukliwego:

- Halo...
- Olesiński, z dyżuru. Jest zabójstwo, na Moniuszki.
- Mhm... Kto?
- Jakiś Kuniczewski, pracownik umysłowy. Leżał na ulicy.
- Na ulicy? - Głos pułkownika zaostrzył się. - Jak zabity?
- Właśnie, szefie... Postrzał. Na razie wiem tyle.
- Postrzał?!
- Tak podali. Zaraz będę dzwonił do majora Szczęsnego, bo to jego „parafia”. Wysłać panu wóz?
- Po co? Mam swój. Zaraz będę.

Cały pion służby kryminalnej, a wkrótce potem i innych służb, został włączony do pracy. Naczelnik, pułkownik Daniłowicz, przyjechał pierwszy, tuż za nim zjawił się Szczęsny, po którego trzeba było wysłać milicyjny samochód, gdyż własnym akurat nie dysponował. Przez ten czas kapitan Olesiński systematycznie wyciągał z łóżek pozostałych pracowników sekcji zabójstw, zawiadamiał kolejno lekarza milicyjnego, technika-fotografa, a wreszcie, na końcu, inspektora z dochodzeniówki.

Po półgodzinie siedzieli już wszyscy w pokoju na piętrze i pułkownik montował ekipę: Szczęsny i kapitan Kręglewski - z sekcji, reszta w pełnym składzie.

- Kto zostaje jako „księgowy”? - spytał Olesiński.

Daniłowicz zawahał się, popatrzał i ruchem głowy wskazał na kapitana Dąbrowskiego.

- Oj, szefie - jęknął delikwent - ja miałem dyżur tamtej nocy!

Wiedzieli, że „księgowy” nie wróci do domu ani tego dnia, ani pewnie następnego. Tak nazywali między sobą oficera, którego obowiązkiem jest od tej chwili zasiąść przy telefonach i słuchać, notować, analizować treść podawanych mu wiadomości o zabójstwie: „Księgowy” musi czytać, jeszcze przed podpisaniem, każdy protokół przesłuchania świadka lub podejrzanego, może domagać się postawienia dodatkowych pytań, może wybrzydzać, przebierać w materiałach, ale musi wiedzieć o sprawie wszystko.

Jednym słowem, „księgowy” ma mnóstwo roboty i właściwie każdy z nich wolał jechać na miejsce wydarzenia niż sterczeć przy biurku w komendzie Daniłowicz dobrze znał tę ich niechęć, którą zresztą sam kiedyś podzielał, toteż rozdzielał role sprawiedliwie, po kolei.

- „Księgowaleś” pod koniec września - powiedział do Dąbrowskiego. - Potem byłeś na urlopie. Siadaj przy telefonie!

Kapitan westchnął ciężko, przyciągnął sobie do biurka stary, wygodny fotel, wyjął z szafy papier i parę długopisów.

- Masz kawę? - mruknął do Olesińskiego.

- W szafie, na dole. Ale cukier się skończył.

- Ja bez.

- Było jeszcze coś tej nocy? - Daniłowicz przeglądał notatki służbowe.

- Dwa zgony Zwykle, ze starości. Poza tym cisza

- Słuchaj, a kto znalazł tego... no, na Moniuszki⁹

- Załoga Pogotowia, radiowóz dwadzieścia sześć - dwadzieścia osiem. Tam był ktoś przy nim, jakiś facet. Oni myśleli, że to kolega prowadził pijaka i ten mu upadł. Potem się okazało, że obcy Przypadkiem natrafił. Tak im w każdym razie, oznajmił. Mam tu... - zajrzał do notesu - jego nazwisko: Julian Zawada, profesor ekonomii.

Pułkownik aż się poderwał z krzesła.

- Zawada? Profesor Uniwersytetu Warszawskiego?

- Mój profesor?! - prawie jednocześnie z szefem wykrzyknął Dąbrowski. - Co on tam robił w nocy?

- I do tej pory sterczy przy zwłokach, bo załoga oczywiście go nie puści. - Daniłowicz zakręcił się w miejscu, sięgnął po czapkę. - Jadę. Przywiozę Zawadę do komendy. Przecież to starszy człowiek, odznaczony Bóg wie ilu orderami, członek Polskiej Akade...

Dalsze słowa powiedział już za drzwiami. Obaj oficerowie spojrzeli na siebie. Dąbrowski, mocno poruszony, z ożywieniem wyjaśniał koledze, ile to on się nasłuchał od profesora, kiedy przychodził na egzamin po paru nie przespanych nocach, zmordowany służbą, nieprzygotowany. Zawada, dobrze wiedząc, kim jest jego student, nawymyślał mu od „leni”, umiejętnie naprowadzał go na temat, wyciągał z niego wszystkie wiadomości, chytrze układał pytania, związane z dziedziną nie tyle ekonomii, ile walki z łamaniem prawa i norm społecznego współżycia. Dąbrowski ani się spostrzegł, jak

zaczynał mówić o tym, co miał na sercu, dyskutowali, sprzeczcali się nawet, zapalali do jakichś spraw, obu im bliskich. Bywało, że przegadali w ten sposób ze dwie godziny. W końcu Zawada odsuwał nie podpisany indeks i mówił:

- No dobrze. Tośmy sobie pogawędzili. A na egzamin przyjdzie pan, powiedzmy, za tydzień.

Kapitan wtedy kul po nocach, koledzy wyręzcali go w trudniejszych sprawach, potem szedł do profesora przygotowany znakomicie i Zawada z wyraźną satysfakcją wpisywał mu do indeksu najwyższą notę.

- Popatrz, a teraz mój profesor znajduje na ulicy trupa - zakończył.
- Że też to właśnie jemu musiało się trafić!

- No i co z tego? - Olesiński wzruszył ramionami. - Zezna, co wie, i tyle. Stary odwiezie go do chałupy własnym fiatem. Może na tym sprawa zakończy się dla tej znakomości profesorskiej. Nie widzę problemu. Zrób kawy, bo mi w gardle zaschło.

Daniłowicz przyjechał na miejsce w kwadrans po przybyciu ekipy. Odszukał wzrokiem profesora, który był już wyraźnie zmęczony, chociaż milicjanci z radiowozu zaprosili go do środka, więc nie musiał „sterczeć przy zwłokach”. Pułkownik podszedł, przedstawił się, a usłyszawszy od samego zainteresowanego, na czym rzecz polegała, zaofiarował się, że odwiezie go do mieszkania.

- Ach, to bardzo dobrze! - ucieszył się Zawada. - Jestem już, panie pułkowniku, nieco zmordowany tym przykrym wydarzeniem. Zwłaszcza że dopiero kiedy oświetlono twarz nieboszczyka, stwierdziłem, że był to mój słuchacz, magister ekonomii, Zbigniew Kuniczewski. Pamiętam go, bo od czasu do czasu, rzadko wprawdzie, spotykaliśmy się w kawiarni na pogawędce. To straszna historia... Został zabity? - Spojrzał na pułkownika z wahaniem, nie chciał być niedyskretny, przeszkodzić czymś w prowadzeniu śledztwa.

- Prawdopodobnie - odparł Daniłowicz. - Proszę, panie profesorze.
- Otworzył przed nim drzwiczki swego samochodu.

Major Szczęsny w skupieniu przyglądał się pobieżnym oględzinom zwłok, które przeprowadzał doktor Pawłowski, szczupły brunet z wesołymi czarnymi oczami. Teraz te oczy wcale nie były wesołe, lekarz miał twarz zafrasowaną i zdumioną.

- Cztery wloty pocisków - mruknął do Szczęsnego. - Jeszcze nie miałem do czynienia z czymś takim. Zupełna jatka! Kto go mógł tak urządzić? Nastawił się, czy jak?

- Z bliska?

- Tak. Z odległości kilkunastu metrów. W każdym razie duży kaliber. Dziewiątka, sądzę.

- Parabellum?

- Pan lepiej wie, co to mogło być - zniecierpliwił się. - Ja nie jestem specjalistą od broni palnej.

Szczęśny poszukał oczami Kręglewskiego, ale kapitan sam wiedział, co ma robić. Razem z załogą radiowozu, krok za krokiem, oświetlając teren dwoma silnymi reflektorami, stopniowo oddalali się od zwłoka zataczając coraz szerszy krąg.

- Nie ma? - zawołał major w ich kierunku.

Kręglewski tylko zaprzeczył ruchem głowy. I on był zdziwiony.

- Może przestępca zabrał łuski ze sobą - zauważył inspektor wydziału dochodzeniowego. - W takim razie lepszy cwaniak, nie amator.

- Amator na ogół nie miewa pistoletu. Co najwyżej wiatrówkę. -

- A myśliwy? Dubeltówka, dryling, sztucer...

- Już ja widzę tego faceta, jak się czai za rogiem z dubeltówką! - burknął Szczęśny. Dostrzegł, że jeden z podoficerów szybko schylił się, przyklęknął na chodniku i czemuś się przygląda. - Jest? - wykrzyknął. Podbiegł, nie czekając na odpowiedź, jednocześnie oceniał w przybliżeniu odległość.

Znaleźli cztery łuski, wszystkie leżały rozrzucone w promieniu kilku metrów. Kręglewski położył je na dłoni, owiniętej chustką i zastanawiał się nad czymś, marszcząc nos.

- Spory kaliber. Jakiś nietypowy, co?.

- Diabli wiedzą. - Szczęśny szukał w pamięci obrazu pistoletu, który na oko pasowałby mu do łusek. - Chyba nie borchardt?

- Mógłby być. Odległość dwanaście metrów, mierzyłem, tylko te łuski mi jednak nie pasują. Może nambu, dziewiątka? Cholera!

- No?

- To mi wygląda na broń wojskową. I w dodatku niepolską. Rozumiesz, co to znaczy? - Spojrzał na Szczęsnego, odeszli trochę na bok. - Trzeba by zawiadomić kontrwywiad.

- Zaczekajmy jeszcze. Zobaczymy, co wykaże sekcja i dokładniejszo oględziny. Zresztą niech stary zadecyduje.

Nadjechał ambulans do przewożenia zwłok. Doktor Pawłowski zabrał się do komendy razem z załogą Pogotowia, dla nich robota była zakończona. Po odjeździe ambulansu Szczęsny wrócił na miejsce Znalezienia łusek, obfotografowane już wymierzone i przeszukane, ale wciąż wzbudzające jego zainteresowanie.

- Chyba stał tutaj - rzekł do kapitana, wskazując na kiosk „Ruchu”.
- Musiał wiedzieć, że denat będzie tędy przechodził. Musiał znać kierunek, z którego tamten będzie szedł I dzień, i godzinę. Nie mógł przez pół nocy sterczeć przy kiosku, w dodatku z bronią, bo narażał się na spotkanie z patrolem, który wzięłby go za kandydata do włamania.

- Sądysz więc, że to zabójstwo zaplanowane?

- Tak, co do tego nie mam żadnych wątpliwości. Nie pakuje się w kogoś kilku strzałów po to... Kilku strzałów - powtórzył i nagle zamyślił się. - To znaczy, że nie był pewien, czy trafi. Albo kiepski strzelec, albo broń niesprawna, albo on jej dobrze nie znał. Z tego ostatniego wynikałoby, że ukradł komuś pistolet.

- Wolnego! - osadził go kapitan. - Nie należy zbyt łatwo się sugerować. Poza tym widzę jeszcze czwartą możliwość.

- Jaką?

- Pasja mordu. I piątą: strach.

- Przecież to on był uzbrojony, nie denat!

- Skąd wiesz, czy zabójca był o tym przekonany? Zresztą byłeś w partyzantce, musisz pamiętać, że są takie chwile, kiedy człowiek przerażony sytuacją ładuje w nieprzyjaciela niepotrzebnie cały magazynek, chociaż wystarczyłby jeden pocisk. Byle celny.

Śniada, pociągła twarz Szczęsnego zachmurzyła się. Nie lubił takich porównań.

- Bardziej mi odpowiada pasja mordu - mruknął. - Chciał go zabić... Z zemsty, powiedzmy. Nie mógł być przerażony sytuacją, bo takiej sytuacji tu nie było, to nie pole bitwy; Lekarz mówi, że ten Kuniczewski dostał postrzały jakąś godzinę, dwie wcześniej, zanim przyjechaliśmy. Profesor Zawada znalazł ciało około pół do drugiej, radiowóz nadjechał kilka minut później. Z pobieżnego rachunku wynika, że zastrzelono faceta mniej więcej o północy, może pół do pierwszej. O tej porze ludzie już śpią. Zresztą mógł mieć tłumik. - Spojrzał na zegarek. - Sześć po trzeciej. Budzimy lokatorów? Będą kłąć.

Kręglewski rozejrzał się po oknach najbliższych domów. Znalazł dwa, w których świeciło się. Jedno było nawet uchylone, dolatywała stamtąd muzyka, ale nie wysunęła się żadna zaciekawiona głowa, co

było nietypowe jak na warszawskie obyczaje. Zdecydowali, że zajrzą do „nie śpiących”, a potem się zobaczy. Należało również pójść do mieszkania Zbigniewa Kuniczewskiego, zawiadomić rodzinę, bo chyba ją miał. W dowodzie osobistym było napisane: i; wdowiec”, ale była tara leż adnotacja: „syn Michał”, a z roku urodzenia wynikało, że ma lat jedenaście. Być może była tam również babcia, teść czy jeszcze ktoś inny. Jednakże na tragiczna wiadomość zawsze będzie czas, niech ludzie jeszcze pośpią w przekonaniu, że nic złego się nie stało.

Okno z muzyką znajdowało się na czwartym piętrze w domu naprzeciw kiosku „Ruchu”, obok którego znaleźli łuski. Szczęsny zajrzał do spisu lokatorów, na czwartym było pięć mieszkań. Spisali nazwiska, podjechali windą. Chwilę posłuchali na korytarzu.

- Tu - powiedział Szczęsny. - Słyszeć radio czy co tam.

- Trzydzieści osiom: - Domiszewscy - odczytał Kręglewski z notesu i zadzwonił.

Przez dwie minuty nikt nie otwierał, tylko muzyka nagle ucichła. Potem ktoś z tamtej strony przekręcił klucz i w małej szparce pokazało się czyjeś oko, wyraźne spłoszone. Widok obu oficerów wywołał w oku jak gdyby uspokojenie, co ich zdziwiło. Szpara powiększyła się, zobaczyli męską twarz, postać w piżamie i bosa nogi.

- Dobry wieczór - rzekł Kręglewski trochę nieścisłe, bo był już ranek. - Jesteśmy z milicji. Czy pan Domiszewski?

- Z milicji? - powtórzył mężczyzna. - Po co? Tak, to ja.

- Chcieliśmy zamienić z panem kilka słów. Można wejść?

- Nie! To znaczy... A później nie da rady?

- Kiedy: później? To bardzo pilne. Proszę - Szczęsny podsunął mu pod nos legitymację służbową. - Nie zajmujemy panu dużo czasu, ale musimy porozmawiać.

- Dobrze, tylko że... - Domiszewski był czymś wyraźnie zaniepokojony, oglądał się za siebie i mówił szeptem.

Nagle Szczęsny domyślił się, w czym rzecz.

- Panie, nas nic nie obchodzi, że pan ma tam jakąś babkę - rzekł niecierpliwie. - Żona czy nie żona, to pańska sprawa. Nam chodzi o zabójstwo. Możemy rozmawiać w kuchni.

Domiszewski kiwnął głową, wpuścił ich do mieszkania, a kiedy znaleźli się w kuchni, popatrzał pytająco na oficerów.

- Doskonale rozumiem, że był pan tej nocy zajęty sprawami atrakcyjniejszymi niż nadśłuchiwanie, co się dzieje na ulicy - zaczął Kręglewski, uśmiechając się życzliwie. - Rzecz w tym jednak, że ma pan w pokoju okno uchylone. Więc może jednak dotarło do państwa coś, jakiś szczegół, który choćby przelotnie wzbudził wasze zainteresowanie.

- Co by to miało być? - spytał Domiszewski rzeczowo, przestępując z nogi na nogę, bo od podłogi wiało chłodem.

- Powiedzmy: hałas. Nietypowy, a więc nie samochody. Może krzyk? Odgłosy bójki? Pijacka awantura?

- Nie. Raczej nie. Miałem nastawiona radio, wie pan... To zagłusza hałas z ulicy, nawet jeżeli cicho nastawić! - Przepraszam za niedyskrecje, od której państwo... no, rozmawiali i słuchali radia?

- Gdzieś tak od jedenastej. To znaczy, dwudziestej trzeciej.

- I nic pan nie słyszał aż do momentu, kiedy myśmy przyszli?

- Wie pan, ja potem zasnąłem - przyznał Domiszewski wstydliwie.

- Chyba około drugiej. A przedtem, nic.

Nagle drgnął, obejrzał się na drzwi. Uchyliły się, stanęła w nich drobna blondynka w męskim, o wiele za dużym szlafroku, którym owinęła się szczelnie. Obrzuciła wszystkich trzech mężczyzn uważnym spojrzeniem, dłużej zatrzymując wzrok na Szczęsnym, którego uroda wywarła na niej wrażenie. Uśmiechnęła się do niego, major odpowiedział uśmiechem.

- Kotku! - jęknął Domiszewski. - Prosiłem cię przecież..

- Zamknij się! - przerwała stanowczo. - Musiałam przyjść, bo zacząłeś pleść głupstwa. Czy to chodzi o coś ważnego? - zwróciła się do oficerów, ale patrzyła tylko na Szczęsnego.

- Tak - odparł. - Zostało popełnione zabójstwo.

- Na ulicy? - chciała się upewnić.

- Raczej tak - odparł ostrożnie.

- Widzisz - zwróciła się do Domiszewskiego - ty mówiłeś, że to samochód, a mnie się wydawało, że ktoś strzela. Raz za razem, czy cztery albo trzy razy. Duży huk, jakby strzała

- To mógł być gaźnik - upierał się, wyraź nie - niezadowolony z jej pojawienia się, w dodatku w jego szlafroku.

Potrząsnęła głową przecząco. Bujne, jasne włosy opadły na czoło, strząsnęła je niecierpliwie.

- Prowadzę wóz od pięciu lat i wiem, jaka jest różnica między hałasem silnika a... no, a czymś innym - dokończyła mniej pewnie. - Na strzałach się nie znam, to fakt. Ale to nie był gaźnik.

- Czy pamięta pani, która była wtedy godzina?

- Pamiętam dokładnie, bo zapaliłam światło i spojrzałam na zegarek. Za dwie minuty północ. Potem już nie gasiłam lampki. Nastawiłam radio i usłyszałam hymn na koniec audycji.

- Nie podchodziła pani do okna, aby spojrzeć na ulicę?

- Nie - odparła jakby z żalem. - Szkoda, może bym coś zobaczyła.

Zabili kogoś?

- Tak.

- Z naszego... z mojego domu? - spytał Domiszewski niespokojnie.

- To się wyjaśni - rzucił Kręglewski wymijająco. - W każdym razie dziękujemy pani. I przepraszamy za najście.

- Nie szkodzi.

Domiszewski odprowadził ich do przedpokoju i rzekł błagalnym szeptem:

- Panowie, te strzały to niech będzie, że ja je słyszałem, dobrze? Bo ja mam rodzinę, tylko wyjechała i gdyby trzeba potem zeznawać w

sądzie... Ja też musiałem to słyszeć, na pewno słyszałem, trochę tylko przysnąłem i obudziłem się, jak był len hałas. Słyszałem, ona spytała się co to było, ja powiedziałem, że gaźnik w samochodzie, i tak dalej. Dobrze? Bardzo proszę, bo moje małżeńskie szczęście, panowie rozumieją... Słyszałem trzy albo cztery strzały. Tylko ja!

- Zezna pan to do protokołu? - Szczęśny przeszył go swymi czarnymi, wąskimi oczami, które zdawały się żarzyć w mroku przedpokoju.

- Zeznam, oczywiście! Kiedy mam przyjść?

- Poprosimy pana. Za dzień, dwa. Niech pan nie wyjeżdża na razie z Warszawy.

- Skądże, nigdzie się nie wybieram. Na pewno przylecę!

Wyszli na schody i skierowali się do windy, chichocząc po cichu.

- Ale ma pietra! - Kręglewski pokręcił głową. - Pomyśl, co za pech, postaw się w jego sytuacji: żona wyjeżdża, sprowadzasz sobie taką lalkę, a tu w nocy przychodzi milicja. Co byś zrobił?

- Nic. Nie mam żony. Gdzie było to drugie okno, w którym się świeciło?

- Na szóstym.

Podjechali windą. Też pięć mieszkań, za każdymi drzwiami głucha cisza, ale spod jednych wydostawał się wąski paseczek światła.

- Sześćdziesiąt dwa, Piotrowski Adam. Dzwonimy?

Szczęśny zastukał, wpierw lekko, potem mocniej. Drzwi otworzyły się, zobaczyli młodego człowieka z rozwichrzoną głową i takąż brodą, w slipach i białej podkoszulce. W ręku trzymał grubą książkę.

- Panowie do kogo? - spytał, przecierając zaczerwienione oczy. - Która godzina?

- Przepraszamy, jesteśmy z milicji. Można z panem chwilę porozmawiać? To jest moja legitymacja, major Szczęśny z Komendy Stołecznej.

Brodaty przyjrzał się legitymacji, odstąpił dwa kroki w tył. -

- Proszę. Trochę tu bałagan...

Mieszkał w kawalerce; duży pokój z wnęką, w której stał tapczan, dalej kuchnia, obok łazienka. Całość znajdowała się w niesamowitym chaosie, jakby przez mieszkanie przeszedł huragan. Młody człowiek kopnął drzwi szafy, przez które smętnie zwisały części garderoby, zmiótł z jednego krzesła papiery, z drugiego ręcznik i chyba osądził, że dość porządkowania, bo powiedział:

- Proszę siadać.

Sam ulokował się na tapczanie, o nic nie pytał, patrzył tylko wyczekująco.

- Tak pan się późno kładzie czy tak wcześnie wstaje? - spytał Kręglewski.

- Jak kiedy.

- Dzisiaj na przykład.

- Wstałem przed kwadransem. Mam niedługo egzamin, uczę się.

- Czy był pan w domu około północy?

- Nie. Byłem tutaj.

Spojrzeni na niego ze zdziwieniem.

- Pan tu nie mieszka?

- Mieszkam. Ale to nie jest mój dom - po - - łożył nacisk na ostatnie słowo.

- A co?

Brodaty wzruszył ramionami, odłożył książkę, którą dotąd trzymał w ręku.

- To jest mieszkanie spółdzielcze - odparł. - Em dwa.

- Czyje?

- Moje

- Jak gęś z prosięciem - mruknął kapitan, poirytowany. Ale Szczęsny zrozumiał.

- Prawdziwy dom był... kiedyś?

Student błysnął oczami, uśmiechnął się. Uśmiech zmienił mu twarz, gdyby nie broda, można by mu dać najwyżej szesnaście lat.

- Tam, u nas - odrzekł niejasno. - U rodziców. Tam jeszcze jest mój dom. Na wsi.

- Kiedyś pan założy swój. I wtedy też będzie prawdziwy dom.

- Może. Zależy na kogo natrafię - roześmiał się. - Ale o co właściwie chodzi?

- Czy zbudził się pan w nocy, a raczej: czy coś pana zbudziło. Jakiś hałas z ulicy?

Brodacz zamyślił się, potarł czoło.

- Chyba to był dodge aspen - powiedział. - Jasny, taki zielonkawy. On do niego wsiadł, zaraz odjechał.

- Może od początku - poprosił Kręglewski, tłumiąc zniecierpliwienie. - Zbudził pana warkot silnika?

- Nie. Zbudziłem się parę minut wcześniej, bo mi za... tego, no, poszedłem do łazienki. Kiedy wracałem do pokoju, usłyszałem kilka głośnych strzałów czy czegoś takiego. Miałem otwarte okno. Podszedłem, stąd widać ten kiosk i narożnik domu. Jakiś człowiek biegł chodnikiem, wpierw usłyszałem stuk butów, potem zobaczyłem go. Skręcił, znikł mi z oczu. Zawarczał samochód, niezbyt głośno, z zakrętu wyprysnął ten dodge. Gwizdnął oponami, musiał ruszyć jak wariat. Zaraz straciłem go z pola widzenia. Ale słyhać było jeszcze jakiś czas, jak wyrywał ulicami. Cóż, pomyślałem, że bardzo mu się śpieszy. Czy coś się stało?

- Zabito człowieka. Być może zabił go człowiek, którego pan widział i który odjechał samochodem. Dlatego ważny jest każdy szczegół, wygląd, ruchy, wiek. Niech pan się skupi, pomyśli, ale nic nie dodaje, bo wyobraźnia ludzka najczęściej nam przeszkadza w robocie.

- Widziałem go z wysokości szóstego piętra, w nocy, więc trudno mi określić go bliżej. Gdybym przypuszczał... Był chyba niezbyt wysoki.

Na pewno nie gruby. Miał jakieś takie śmieszne... na głowie, jak noszą piloci, to się właśnie nazywa chyba pilotka, obcisła czapka z nausznikami..

- Miał na głowie pilotkę?

- Tak to z góry wyglądało. Ciemna kurtka, ciemne spodnie. Może czarne. Zaraz... coś miał w ręku.

- W której ręce?

- W prawej. Coś trzymał, długiego.

- Wielkości, powiedzmy, teczki?

- Nie, trochę mniejsze. Raczej wielkości dużego portfela. To też było ciemne. Kształtu nie dostrzegłem, nie chcę fantazjować, bo teraz myślę, że to mógł być na przykład pistolet.

- Niech pan jeszcze raz opisz samochód.

- Więc prawie na pewno dodge-aspen. Oczywiście nie dojrzałem numeru ani znaków rejestracyjnych.

- Kolor?

- Jasny. Mógł być zielonkawy, bladoniebieski, kremowy, coś w tym rodzaju. Nie biały!

- Z tego co pan mówi można sądzić, że samochód stał za rogiem.

- Tak

- Jak wóz odjeżdżał, to siedziała w nim jedna osoba czy więcej?

Brodaty rozłożył ręce.

- Nie mam pojęcia. Ulica nie jest dobrze oświetlona. Na tylnym siedzeniu mógł ktoś być.

- Proszę pana, czy pan byłby w stanie rozpoznać tego człowieka, którego pan widział o północy... bo to było o północy, prawda?

- Parę minut przed dwunastą, spojrzałem na zegarek. Chciał pan zapytać, czy bym go poznał przy jakiejś konfrontacji? Nie!

- Pan studiuje prawo?

Młody człowiek znów się uśmiechnął i mrugnął porozumiewawczo.

- Chodzi panu o tę konfrontację, tak? Owszem, jestem na trzecim roku prawa. Ale to mógł być mylny wniosek, panie majorze. Dzisiaj ludzie są oblatani w terminach prawniczych, wie pan, przez filmy, książki i w ogóle. Więc ja bym tego faceta na pewno nie poznał. Nie widziałem przecież jego twarzy.

- Mimo to jest pan cennym świadkiem. Właśnie ze względu na ścisłość rozumowania. No i to... oblatanie. Kiedy ma pan egzamin?

- WT przyszłym tygodniu. Chce pan, żebym się zgłosił do komendy?

- Tak. Powiedzmy, koło południa. Dzisiaj, to znaczy we środę. W biurze przepustek proszę z kabiny zadzwonić pod ten wewnętrzny. - Szczęsny podał mu karteczkę z numerem telefonu. - Do widzenia.

Kiedy wyszli na ulicę, dochodziło pół do piątej. Za późno na powrót do domu i przespanie paru godzin. Za wcześnie na śniadanie.

- Więc cóż nam pozostaje? - westchnął kapitan. - Ranny spacer do komendy. Zobaczymy, co robi nasz „księgowy”. Wypijemy kawę i zabierzemy się do roboty.

- Pracuś - mruknął Szczęsny. Słuchał pół-uchem i dotarło do niego tylko ostatnie słowo. - Słuchaj” a może to jednak było parabellum?

Kręglewski przystanął, wsadził ręce w kieszenie płaszcza i zajrzał majorowi w twarz.

- Już cię wciągnęło, he? Wiem, czego się boisz. Że broń wojskowa i trzeba będzie zapomnieć o sprawie zabójstwa na Moniuszki. A ty masz już z dziesięć wersji, jedna lepsza od drugiej... No, powiedz, czy nie mam racji?

- Dziesięć nie, ale kilka. Powiedziałeś przedtem, że może to być pasja mordu. Mielibyśmy do czynienia z typem patologicznym. To poniekąd ułatwia śledztwo, bo z grubsza wiemy, w jakim środowisku szukać. Pamiętasz zabójstwo tego lekarza z Mokotowa? Chyba ze sześć lat temu. Wiesz, ten chirurg.

- Pamiętam. Długo szukaliśmy, ponad rok. Rozłaziła nam się robota we wszystkie strony, lekarz miał mnóstwo znajomych, krewnych, cholerne powiązania z całym światem. Co złapaliśmy jaką nitkę, to wiodła na ślepy tor. Myślałem, że obłędu dostanę! Nic i hic. A potem nagle wyskoczyło jak zając z miedzy. I już mieliśmy sprawcę. Zalałem się wtedy dokumentnie, nerwy mnie poniosły.

- To wcale nie było tak nagle, ni stąd, ni zowąd - zaprzeczył Szczęsny. - Pierwszy ślad, pierwsza myśl! Ale wydawała się absurdalna, dlatego poszliśmy w innych kierunkach. No i okazało się, że właśnie ta pierwsza wersja była trafna. Więc może i teraz... O czym pomyślałeś tam na Moniuszki, ale tak od razu, w pierwszej chwili?

- Ze z zemsty - odparł kapitan bez namysłu. - Nie pasował mi tu napad rabunkowy, żaden chuligan ani złodziej nie strzela do człowieka, którego chce obrobić. W każdym razie nie u nas. Poza tym te cztery strzały. Owszem” mogło być tak, jak mówiłeś, że przestępca po prostu nie umiał dobrze obchodzić się z bronią, więc na wszelki wypadek władował w tamtego aż cztery pociski. Ale bardziej mi trafia do przaku konania akt zemsty. Żądza zabicia bez pudła, ria amen O której pójdziemy do mieszkania Kuniczewskiego?

Szczęsny spojrział na zegarek. Za dziesięć piąta.

- Powiedzmy, o szóstej. Tam jest chłopak, jedenaście lat... A zresztą chyba powinniśmy iść zaraz. Może jest w domu ktoś starszy.

Zawrócili na Jasną Im bliżej domu numer cztery tym kroki ich były wolniejsze. Szczęsny Czuł ogromne zmęczenie. Chciał odwlec chwilę, w której będzie musiał spojrzeć w oczy małemu chłopcu, dziecku przecież, i powiedzieć mu straszną nowinę. Kręglewski pewnie myślał o tym samym, bo mruknął z irytacją:

- Diabli nadali!

Wreszcie stanęli przed drzwiami mieszkania sześć Tabliczka z napisem: „Kuniczewscy”, głucha cisza - o tej godzinie widać lokatorzy spali. Szczęsny z determinacją nacisnął guzik dzwonka. Niemal natychmiast z mieszkania rozległo się szczekanie psa, później usłyszeli chrobotanie, psi nos z pewnością zwęszył obcych, bo znowu zaczął ujadać.

- Cicho, Miki! - powiedział zaspany głos. - Kto tam?

- Proszę otworzyć.

- Kim pan jest? Nie otwieram, jak nie wiem komu.

Głos był wyraźnie chłopięcy, lekko zachrypnięty ze snu.

- Otwórz, Michał - Szczęsny zapamiętał imię. - My do ciebie.

Pies znowu zaczął obszczekiwać drzwi i węszyć. Po chwili drzwi uchyliły się ostrożnie. Stał w nich chłopiec w piżamie i patrzył na nich dużymi, zdziwionymi oczami. Nogą odsuwał czarnego psa, który warczał i sapał gniewnie.

- Jesteśmy z Komendy Stołecznej Milicji. Zabierz psa, musimy z tobą porozmawiać.

- Ja nic nie zrobiłem! Zaraz zawołam tatusia... - Chciał zatrzaskać drzwi, ale Kręglewski odsunął je stanowczo, weszli do przedpokoju. Pies przestraszył się i umknął, a chłopak rzekł z urazą:

- Nie mógł pan poczekać, aż zawołam ojca?

- Posłuchaj, Michał - Szczęsny położył mu rękę na ramieniu - twego ojca nie ma w domu. Dlatego przyszliśmy.

- Jak to, nie ma? - Chłopiec rzucił się do drzwi sąsiedniego pokoju, roztworzył je i zastygł w zdumieniu. Nie było nikogo. Przez chwilę wodził szeroko rozwartymi oczami po nie zasłanym tapczanie i pustym fotelu przed biurkiem. Potem gwałtownie obrócił się w stronę oficerów, chwycił Szczęsnego za klapy kurtki i zawołał: - Co się stało? Gdzie jest mój ojciec?! No, gdzie?!

Rozdział 5

Ranek wstał chłodny, ale w południe słońce zagrzało nagle, jakby to nie był koniec października. Wydawało się, że do, zimy jeszcze bardzo daleko, może pół roku, może więcej. W każdym razie pogoda zrobiła się łagodna.

Dobiecki zabrał psa i poszedł nad rzekę. Urlop o tej porze roku był nonsensem, zdarzały mu się jednak w życiu gorsze nonsensy, po których wszystko układało się pomyślnie. Był rad, że świeci słońce, to wystarczyło, by czuł się zadowolony. Postanowił popłynąć Wisłą, niezbyt długo, ze dwie albo trzy - godziny. Tak sobie. Przedtem jednak wstąpił do kumpla - pies nie mógł go zastąpić, z psem nie dało się toczyć interesujących pogwarek, poza tym dziwnie nie lubił „czystej” w odróżnieniu od emerytowanego kolejarza Antoniego Rączki.

Kolejarz mieszkał na jednej z małych, krętych uliczek po praskiej stronie. Dobiecki wdrapał się na trzecie piętro starej kamienicy, a kiedy

stanął w progu. Rączka był już gotowy do wyprawy łodzią, siedział w fotelu i czekał cierpliwie z kapeluszem w ręku.

- Skąd wiedziałeś, że przyjdę? - zaciekawiał się Dobiecki.

- Słońce - mruknął kumpel. - Mogłeś przyjść wcześniej.

Wstał, wsunął do teczki płaska flaszkę, zabalgotało wesoło i Dobiecki uśmiechnął się.

- Ja mam zagrychę - powiedział. - Chleb, krakowska i ogórki.

- A bułka dla mnie? Przecie wiesz, że tymi zębami.....

- Jest bułka, jest. No, idziemy.

Doszli do mostu, spuścili się w dół, pies leciał pierwszy, dopadł wody, schylił łeb, chłepnął trochę i otrząsnął się. Przy moście stała pokraczna pogłębiarka, obok niej szalanda. Jeszcze bliżej, przywiązana do szalandy, kołysała się długa, wąska łódź pychowa, z tyłu miała silnik o skromnej mocy niecałych dziesięciu „koni”.

- Władek, coś ty zrobił?! - zgorszył się kolejarz. - Nie wiesz, że postój pod mostami jest zabroniony?

- A pogłębiarce wolno?

- No, pogłębiarce wolno. Krypie też.

- Moja łódź jest do nich przywiązana.

- Co z tego? Twoja jest łódź, nie pogłębiarka.

- Jak przywiązana, to są wszystkie trzy razem. A jak są razem, to im wolno.

Na tak swoistą interpretację przepisów żeglugowych Rączka aż przystanął w miejscu. Nie mógł jednak znaleźć stosownej odpowiedzi, więc po chwili poszli dalej. Dobiecki wszedł do łodzi, szybko odwiązał ją i kilkoma ruchami wiosła, które miał w zapasie na wszelki wypadek, odsunął się od mostu na bezpieczniejszą odległość. Rączka szedł brzegiem, pies siedział już w łodzi, jakby się bał, że pan go zostawi. Wreszcie cała trójka znalazła się na „Kaśce”, bo tak nazywała się łódź.

- Płyniemy? - Dobiecki trzymał w ręku linkę rozruchową.

- Za miasto - odpowiedział Antoni. - Przed siebie.

Dobiecki szarpnął linkę raz, drugi, trzeci. Silnik nie zapalił. Próbował jeszcze, ale bez skutku.

- Może brak iskry? - podsunął Rączka. - Czyściłeś świecę z nagaru?

Tamten odburknął coś, pochylony nisko nad dnem łodzi. Milczał długo, aż kolega znieczcierpliwiony zawołał:

- Brzuch cię rozboleł, czy co?! No, gadaj! Dobiecki z wolna wyprostował się. W oczach jego było tak ogromne zdumienie, że Rączka w pierwszej chwili nie zauważył przedmiotu, który tamten miał na wyciągniętej ręce. Kiedy spojrzał, targnął się w tył i krzyknął:

- Jezusie! Władek, co ty... skąd ty to... - Nie mógł dokończyć.

Na dłoni jego kumpla leżał duży, długi pistolet o dziwnym kształcie. Gdyby nie leżał, gdyby Dobiecki trzymał go w ręku, pewnie kolejarz wskoczyłby bez namysłu do rzeki, sądząc, że kolega zwariował

i chce go zabić. Ale na twarzy Dobieckiego był tylko strach i zdziwienie. Odsunął dłoń z pistoletem tak daleko od siebie, jak mu na to pozwalała długość ręki, i wydawało się, że najchętniej rzuciłby go natychmiast do wody.

- Był na dnie! - wykrztusił wreszcie. - Leżał... nadepnałem przypadkiem...

Rączka, uspokojony, że nikt go nie chce zastrzelić, zaczął trzeźwo oceniać sytuację. W wojsku służył co prawda dawno temu, ale przecież pewien nawyk działania pozostaje. Ostrożnie odebrał koledze broń, chwilę jej się przyglądał, potem zdecydowanym ruchem odciągnął zamek. Sprawdził magazynek, upewnił się do końca, że broń nie jest naładowana, skierował lufę na wodę i nacisnął spust. Cicho trzasnęła iglica. Pies zaciekawiał się, nadstawił uszy. Nie znał tego dźwięku.

- Wiesz, co to może znaczyć? - powiedział Rączka w zamyśleniu.

- Że nie nabity. Co za różnica! Diabli nadali, akurat do mojej łodzi!
- odparł. Dobiecki żałośnie.

- Czekał, ja o czym innym. To może znaczyć, że ktoś z tego pistoletu strzelał, a potem wyrzucił broń, żeby jej się pozbyć. Rozumiesz?.

- No - kolega zawahał się, rozejrzał dokoła. - Myślisz, że to... Jasne! Z pogłębi arki. Albo z szalandy. Skorzystali z tego, że przywiązałem „Kaśkę”. Chuligany, mordercy! Ale ja im tego nie

udowodnię - dodał już spokojnie. - Antoś, tu jest tylko jedna rzecz do zrobienia, i to szybko! Wyrzuć rewolwer do wody.

- To pistolet.

- Nieważne, dla mnie może być armata, ja chcę się tego jak najszybciej pozbyć. Wyrzucaj!

Ale kolejarz okazał nagle niespodziewaną stanowczość. Wsunął broń do swojej teczki i potrząsnął głową.

- Nie, Władek. My z tym musimy iść na milicję.

Dobiecki podskoczył na ławce, aż łódź zachybotła się i pies zaskowyczał, przestraszony.

- Czyś ty na głowę upadł, Antoś? Przecież nas zamkną. A w każdym razie mnie.

- Za co?

- No, za nielegalne posiadanie broni!

- To twoja broń?

- O, kurczę blade! Jakby była moja, to bym ją trzymał tak na widoku, w łódce? Przecież wiesz, że jak żyję broni nie miałem. Nawet w wojsku nie służyłem przez te płuca.

- To jak mogą cię zamknąć, jeżeli nie twoja?

- Człowieku, myślisz, że mi uwierzą? Od kiedy to ludzie znajdują rewol... te, pistolety w łódkach? Stuknij się w głowę, stary!

- Nie masz racji, Władek. Nam nie wolno wyrzucić tej broni, ba to może być dla milicji dowód przestępstwa. Wiem, bo mam bratanka w komisariacie, jest sierżantem sztabowym.

- Lucek?

- No, przecież go znasz.

- To może najlepiej do niego? Zawsze to swój. Zrozumie.

- Pewnie, że do niego. Jak go nie zasłaniamy w służbie, to pójdziemy do domu. Ty mi tylko dokładnie pokaż, w którym miejscu pistolet leżał. Czekać, nie teraz, bo łódkę wywrócisz. Weź wiosło i dopchaj do brzegu. Przeszukamy dokładnie całą łódź, bo może jeszcze coś podrzucili.

Ale nic już więcej nie znaleźli. Wtedy Rączka z westchnieniem wyjął „piersiówkę”, odkręcił metalową zakrętkę.

- Gdzie ta kiełbasa? - mruknął.

Pies popatrzał na nich, przysiadł blisko i spoglądał łakomie, oblizując się co chwila, jak Dobiecki kroił na grube talarki kiełbasę, a potem ogórek. Koledze dodał bulkę, psu też nie pożałował jedzenia. Wypili, zjedli, później siedzieli jeszcze na łódce, paląc sporty, aby zadusić alkoholowy dech. Mieli co prawda iść do swojaka, zawsze jednak był to podoficer milicji. Chuchną, a on powie: pijaczki przyszły.

*

Sierżant sztabowy Łucjan Rączka zmarszczył jasne gęste, brwi i rzekł z urazą w głosie:

- Stryjku, wy mi takich głodnych kawałków nie zalewajcie! Lepiej niech pan Dobecki od razu powie, jak to było z pistoletem.

Starszy Rączka zachnął się, obejrzał dokoła, a widząc, że blisko nich nie stoi żadną inną władza w mundurze, powiedział cicho, ale groźnie:

- Ty gów... tego, no, nie zapominaj, do kogo mówisz! Rodzonego stryja masz przed sobą, kombatanta z Batalionów Chłopskich, szanuj siwy włos i rodzinę, kiedy riiie szanujesz starego żołnierza.

- Ależ ja szanuję - sierżant zmieszał się, odchrząknął. Przypomniało mu się, że od tego seniora rodu brał nieraz mocne cięgi, bo ojca stracił bardzo wcześnie i stryj Antoni zastępował mu go przez kilkanaście lat. - Ja bardzo... tylko tak mi trudno uwierzyć, że... Dobra. Idziemy!

- Dokąd? - przestraszył się Dobecki.

- Do porucznika ze służby kryminalnej. Ja tak” nie mogę, proszę zrozumieć, trzeba zrobić protokół i w ogóle.

Porucznik, wbrew obawom Dobeckiego, wysłuchał ich uważnie i ze zrozumieniem. Spisał to, co obaj mówili, potem wstał i we czwórkę - a na ulicy w piątkę, bo dołączył pies - udali się do łodzi. Dobecki po raz trzeci opowiedział, co się wydarzyło, pokazał miejsce, w którym leżał pistolet, jak również miejsce, gdzie „Kaśka” była uwiązana. Zmieszał się, bo przepisy nie pozwalały na postój łodzi pod mostem, jednakże porucznik zajęty, był czym innym, o wiele ważniejszym. Podpłynęli do

szalandy, oficer przyglądał się krypie i pogłębiarce, spojrział w górę na most, raz jeszcze na dno łodzi i znowu w górę.

- Z mostu? - spytał sierżant.

- Albo z mostu, albo z którejś z tych dwóch - porucznik - wskazał głową na szalandę i dra-

- Zresztą jest jeszcze kilka możliwości - dodał wymijająco. - Czy kiedy pan odwiązywał łódź od krypy - zwrócił się do Dobieckiego - nie zauważył pan, że węzeł jest inny?

- Chodzi panu o to, czy ktoś obcy mógł się posłużyć moją łodzią? - Dobiecki przyszedł już do Siebie i rozumował całkiem rozsądnie. - Z całą pewnością był to mój węzeł, zrobiony przeze mnie parę dni temu.

- Dokładnie, ile dni?

- Zaraz, niech pomyślę. Dzisiaj mamy piątek, tak? Wczoraj jeździłem rano do Zalesia, wróciłem późno, Nie byłem nad Wisłą. We środę... Co było we środę, Antoś?

- Imieniny twojej żony - odparł kolejarz z wymówką w głosie.

- Racja! Jak się zaczęły rano, tak skończyły w nocy. Więc ja tę łódkę uwiązałem we wtorek.

- Nie wcześniej?

- Na pewno nie, bo w poniedziałek pogłębi arka i szalanda stały po tamtej stronie - pokazał ręką. - Byłem nad rzeką, ale pływałem dalej, zacumowałem łódź chyba z pół kilometra stąd, tam jest taka przystań. A

we wtorek zobaczyłem, że draga i krypa są pod mostem. Podpłynąłem i... tego, no i uwiązałem. Zapomniałem, że nie wolno - mruknął ciszej.

- We wtorek - powtórzył porucznik, zupełnie nie zwracając uwagi na ostatnie zdanie. - Dwudziestego. Dziś mamy dwudziestego trzeciego. Sierzancie, skontaktujcie się... albo nie, ja sam...

- Z Komisarjatem Rzecznym? - Myśli sierżanta biegły widać tym samym torem, co myśli porucznika, bo tamten skinął głową.

- Tak. Oni muszą znać ludzi z dragi i szalańdy. Zresztą na krypie pewnie nie ma nikogo” widać że jeszcze pusta, bez urobku z pogłębi arki. Ciekawe, stoją czwarty dzień i nie pracują?

- Krypa mogła od wtorku wiele razy obrócić - zauważył Dowiecki. Dostrzegł - przelotny uśmiech porucznika i zreflektował się. - Prawda, że gdyby płynęła, to razem z moją „Kašką” i pewnie...

- Z kim? - przerwał oficer, zdziwiony.

- On tak nazwał łódkę - wyjaśnił kole-, jarz. - Chciałem dodać, że w poniedziałek to ja byłem sam tutaj, chodziłem sobie nad rzeką i pamiętam, że maszyny ani krypy nie było. Więc to by się zgadzało.

*

Szczęśny nie miał żadnej pewności, że student trzeciego roku prawa, Adam Piotrowski zna się tak dobrze na samochodach, jak to wynikało z pierwszej z nim rozmowy. Dodge-aspen r/t? A może fiat albo mercedes? Druga rozmowa, we środę koło południa, nie odbyła się, bo studentowi nagle coś ważnego wypadło na. Uniwersytecie, o czym

uprzednio zapomniał powiedzieć. Zatelefonował więc tylko, że przyjdzie dzień później. W rezultacie zjawił się dopiero w piątek, za co bardzo przepraszał.

- Trudno - powiedział Szczęsny. - Ale teraz niech pan dobrze uważa.

- I przyjrzy się - dodał Kręglewski, rozkładając na biurku gruby katalog z barwnymi zdjęciami wszystkich możliwych typów samochodów. A w ogóle skąd panu przyszedł na myśl dodge-aspen r/t? Widział pan kiedyś ten wóz z bliska? Rzadko pojawia się w Warszawie.

- Widziałem we Francji - odparł Piotrowski. Przyglądał się z upodobaniem kolorowym fotografiom.

- Proszę zauważyć, że na przykład fordy-pinio mają podobne sylwetki. Albo ten vauxhall chevette... Albo ford-mustang. Co prawda do forda-mustanga bardzo podobny jest opel-monza, tyle że tył ma ostro ścięty. No i „mustang” ma przód bardziej wydłużony. Czy na przykład mógł to być ford-mustang?

- Cholera, nie wiem! Jak patrzę na zdjęcia, to mi się wydaje, że mogło to być z dziesięć różnych wozów, każdy inny, ale jakoś do siebie podobne. Teraz jestem już tylko pewny, że nie był to „maluch” ani ciężarówka! - westchnął ciężko. Nie mógł oderwać oczu od katalogu, chciał jednak naprawdę pomóc w śledztwie, ale obfitość motoryzacyjna zamała mu w głowie.

- Spokojnie, niech pan się nie peszy. To nie egzamin - zażartował Szczęsny. - Niech pan się zastanowi, przyjrzy jeszcze raz i wypisze na kartce te typy wozów, które pańskim zdaniem mogły wchodzić w grę. Proszę, tu jest kartka i długopis.

Zostawił studenta z Kręglewskim i wyszedł z pokoju. Korytarzem komendy szedł młody podoficer. Miał w ręku długi pakunek i rozglądał się uważnie po drzwiach pokojów.

- Kogo szukacie? - spytał Szczęsny. Nie znał tego sierżanta sztabowego. Coraz to służbę rozpoczynał ktoś nowy, młody; na ogół kadra była wykwalifikowana coraz lepiej i wszechstronniej.

Podoficer spojrzał na niego. Szary sweter i cywilne flanelowe spodnie majora bardzo utrudniały rozpoznanie stopnia. Na wszelki wypadek stuknął lekko obcasami i zaczął niepewnie:

- Obywatelu... - utknął, nie chciał strzelić za nisko ani za wysoko, jedno i drugie było niewłaściwe.

- Major Szczęsny.

Twarz sierżanta sztabowego rozjaśniła się.

- To ja do was, obywatelu majorze. Przysyła mnie porucznik Zawilski z Komendy Dzielnicowej Praga Północ. Nie mógł przyjść sam, bo mają teraz odprawę. Mam wam doręczyć ten pistolet i powiedzieć, co i jak.

Szczęsny zmarszczył brwi, poszukał w pamięci, czy prowadzili z Zawilskim jakąś sprawę o zabójstwo albo kradzież broni.

- Jaki pistolet?

- Leżał w lodzi przy moście. Porucznik mówił, że to może mieć ewentualnie związek ze sprawą na Moniuszki. Że obywatel major...

- Chodźcie! - Szczęsny przypomniał sobie, że u niego w pokoju siedzi student Piotrowski, wprowadził więc sierżanta do gabinetu szefa, który wyjechał do ministerstwa. - Pokażcie.

Rozwinął paczkę. Na widok pistoletu twarz mu się zmieniła, oczy zabłyśły. Jeszcze nie wiedział, jeszcze musieli wypowiedzieć się eksperci, ale już przeczuwał, co wpadło mu w ręce.

- Gabbett fairfax - powiedział, oglądając broń z uwagą. - Osiem i pół milimetra. To rzeczywiście może być ten!

- Mam zreferować - przypomniał sierżant Rączka.

- Słusznie. Referujcie dokładnie.

W miarę jak opowiadał, czarne oczy Szczęsnego rozpałało coraz większe zainteresowanie. Spoglądał to na mówiącego, to na leżący przed nim pistolet, znów go obejrzał, zajrzał w lufę, zamyślił się na chwilę.

- Kiedy porucznik Zawilski kończy odprawo? Podoficer spojrział na zegarek.

- Myślę, że już skończył.

- Dobrze. Ten - Antoni Rączka to wasz krewny?

- Stryj. Wychowywał mnie po śmierci ojca. Bardzo porządny człowiek, ręczę za niego! - zapewnił gorąco.

Major uśmiechnął się.

- Nie wątpię. Ale sprawdzić trzeba wszystko, rozumiecie chyba, sierżancie? Dobieckiego też znacie?

- Trochę. Pracuje na Żeraniu. Majster z odlewni. Młodszy od mego stryja, ale też już niedługo pójdzie na emeryturę. - Wstał, wyjął z raportówki jakiś papier. - Proszę, obywatelu majorze, podpiszcie przekazanie broni. A tu jest moja notatka służbowa z wydarzenia. Odmeldowuję się.

Nałożył czapkę, zaszalutował i wyszedł. Szczęsny zawinął pistolet w papier, dołączył notatkę i chciał od razu jechać z tym do Zakładu Kryminalistyki, gdzie znajdowały się łuski i jeden spośród wystrzelonych pocisków, wyjęty z ciała denata. Wszedł jednak do swego pokoju pó płaszcz i zobaczył, że Piotrowski oddaje kapitanowi wypełnioną kartkę.

- Doszedłem do wniosku - rzekł student na jego widok - że mogło to być sześć typów samochodów. Nie więcej.. Oczywiście, mogę się mylić. Jeżeli będę jeszcze potrzebny, to przyjdę.

- Dziękuję - odparł Szczęsny z roztargnieniem. Kiedy tamten wyszedł, położył na biurku pistolet i powiedział do Kręglewskiego: - Popatrz! Stawiam butelkę Armagnacu, że mamy narzędzie zbrodni.

Kapitan obejrzał broń, wysłuchał całej historii, na pozór nieprawdopodobnej, a przecież prawdziwej, i bez słowa sięgnął po czapkę.

- Jedziemy do Zakładu. Albo się sprawdzi, albo...

- Sprawdzi.

W samochodzie Kręglewski popatrzał na pociągłą, śniadą twarz Szczęsnego i pokręcił głową.

- Ty masz szczęście! Nie pierwszy raz. Nie przyjmuję zakładu o koniak, za drogi na moją kieszeń. Zresztą chyba masz rację.

- A jeżeli nie mam? Nie o takie rzeczy ludzie się zakładali. Znam kogoś, kto przegrał nowy samochód.

- Mercedesa?

- Nie, „malucha”. Oddał go zwycięzcy i zaraz potem odkupił z powrotem, bo już się do niego przywiązał. Można się założyć o wszystko, jeżeli ktoś ma niepoukładane pod sufitem. Ale najlepiej „na pewniaka”. Na przykład ja się z tobą założę, że już minęliśmy Zakład Kryminalistyki i jedziemy do Wilanowa. Przyjmujesz?

- Przesada - mruknął kapitan, speszony. Trwało jednak parę minut, zanim wrócili, zaparkowali w dogodnym miejscu i wyszli z wozu.

W godzinę później, kiedy wracali do komendy, Kręglewski powiedział z westchnieniem ulgi:

- Miałem rację, że się nie założyłem o koniak. A swoją drogą, cóż to za przedziwna historia! I pomyśl: gdyby ci dwaj, tam na łódce, ze strachu utopili pistolet w Wiśle, nigdy byśmy go nie znaleźli. W rezultacie być może nigdy nie natrafilibyśmy na mordercę.

- No, jeszcze go nie mamy. Jest ofiara, jest narzędzie przestępstwa, to wszystko. Żadnych świadków. Bardzo enigmatyczny opis samochodu,

który zresztą mógł z tym nie mieć nic wspólnego. Odliczają; niemowlęta i nastolatków, mamy potencjalnych właścicieli pistoletu... no, nie skłamię, jeżeli powiem: kilka milionów. Myślę o naszych obywatelach, ale to przecież mógł być obcokrajowiec. Broń bardzo stara i bardzo nietypowa. Cholerna sprawa!

- - Tak Od czego teraz zaczniemy?

- Sądzę, że powinniśmy iść w kilku kierunkach. Pierwszy to wszystkie osoby, które miały coś wspólnego z Kuniczewskim. Koledzy, znajomi, krewni etcetera. Drugi to pistolet. Będzie trzeba sięgnąć wstecz kilkanaście lat, może więcej. Od zakończenia wojny. To może nic nie dać, pochłonie mnóstwo czasu, wyjazdów. Ale musimy sprawdzić. No i trzeci kierunek: ten samochód. Bardzo słaby ślad, też może być nie do sprawdzenia. I też konieczna robota. Pozostaje wreszcie sama sylwetka Kuniczewskiego, jego przeszłość, dawne kontakty. Tu możemy natrafić na niespodzianki.

- A wtedy dorzucą nam kogoś z kontrwywiadu.

- Nie od razu. Dopiero gdybyśmy złapali jakiś ślad. Na razie nie ma podstaw. Że broń angielska? To jeszcze niczego nie dowodzi. Mało to ludzi miało kiedyś... a może i jeszcze ma. Wiesz, pamiątka z dawnych lat, wpierw nie oddał, potem zląkł się, schował. Czasem może i zapomniał, że ma gdzieś zakopaną broń. Umarł, rodzinie nie powiedział.

- Przeszukaliśmy mieszkanie, przejrzeliliśmy dokumenty Kuniczewskiego. Nic nie wskazuje na jakiegokolwiek powiązania z obcym

wywiadem. Jego siostra wygląda na porządnego Człowieka. Czeka! Przecież ona pracuje w wojskowej instytucji.

- Myślisz, że to ją automatycznie wyłącza? A może właśnie... - Szczęsny zamyślił się. - Poza tym, cc wiemy o żonie Kuniczewskiego? Na razie nic; tylko, że zmarła. A jeżeli to jakaś zemsta na podłożu damsko-męskim? Odpalony konkurent, może nawet pierwszy mąż.

- Chłopaka mi żal - mruknął kapitan, wjeżdżając na parking obok komendy. - Dziś rano na pogrzebie już nie płakał, tylko cały czas tak patrzył na trumnę, jakby... To było jeszcze gorsze. Dobrze, że jest ciotka i że zdecydowała się zamieszkać z małym.

*

Narada u szefa wydziału trwała dość długo. Teraz, kiedy mieli już broń, z której zabito Kuniczewskiego, trzeba było precyzyjnie opracować plan działania. Ekspertyza fachowców z Zakładu Kryminalistyki Komendy Głównej MO była przejrzysta, nie pozostawiała żadnych wątpliwości. Pułkownik Daniłowicz poprosił jednak dodatkowo jednego z pracowników Zakładu na naradę. Chciał mieć pewność. Nietypowa broń intrygowała go i niepokoila.

- Mamy tutaj ekspertyzę - powiedział, spoglądając na rozłożone przed nim papiery - koledzy już się z nią zapoznali, więc nie będę czytał. Chciałbym teraz, aby niezależnie od tego dokumentu wypowiedział się nasz kolega z Zakładu, inżynier major Stecki.

Stecki poruszył się na krześle, potem razem z nim przysunął się do biurka, na którym leżał gabbett fairfax, i wyjął z teczki notatnik.

- Więc tak. Oczywiście zdjęliśmy linie papilarne. Posługiwaliśmy się, prócz podstawowej aparatury, jak binokular, mikroskop porównawczy i mikroskop warsztatowy, jeszcze dynamometrem i czasomierzem elektronowym. Oprócz tego, ponieważ mówiono mi, że sprawa jest bardzo ważna, przeprowadziłem badanie składu chemicznego pocisków przy pomocy mikrokatod grafitowych, lampy jarzeniowej, argonu i tak dalej...

- Po co? - przerwał Szczęsny. - To się chyba przeprowadza w przypadku broni sportowej, tam jest amunicja z ołowiu.

Daniłowicz machnął ręką niecierpliwie.

- Koledzy, nie wdawajmy się teraz w spory techniczne. Zakładam, że major jest lepszym specjalistą od Szczęsnego, jeżeli chodzi o metody badania broni i pocisków. Proszę dalej, kolego Stecki.

- Ten pistolet - Stecki dotknął palcami gabbett fairfaksa - miał po strzałach źle oczyszczony albo nawet wcale nie oczyszczony przewód lufy..Mimo iż leżał parę dni na dnie łodzi, są w przewodzie osmalmy po wystrzałowe, co wskazuje, iż niedawno z niego strzelano. Dla mnie najciekawsze w tym wszystkim było użycie przy zabójstwie właśnie gabbett fairfaksa. Po wojnie nie mieliśmy z nim do czynienia. Jest to, o czym nie wspomniałem w ekspertyzie, broń angielska wykonana przez konstruktora Gabbett Fairfaksa z Birmingham Wzór z roku tysiąc

dziewięćsetnego. W rok później została wprowadzona do wojska, ale dość szybko z niej zrezygnowano, gdyż była ciężka, nieporęczna, a przede wszystkim miała za duży odrzut, szarpała ręką. Proszę przyjrzeć się tej długiej lufie, ma ponad trzydzieści centymetrów. Prócz tego tu kalibru wyrabiano jeszcze dwa inne: dziewięć i piętnaście setnych oraz jedenaście i cztery dziesiąte milimetra. Szybkość wylotowa pocisku wynosi pięćset trzydzieści trzy metry na sekundę. Pistolet waży około półtora kilograma. Był to, w owym czasie, najsilniejszy z istniejących. Pocisk jego przebijał ciało na wylot z siłą karabinu!

- Zdaje się, że zdjęcie gabbett fairfaksa jest w książce Wilniewczyca „Broń samoczynna”? - wtrącił Daniłowicz.

- Tak. To też już dzisiaj stara książka. Naboje do GF były typu Mars, można je znaleźć w niemieckim katalogu Erlmeiera i Brandta. Z tego, co wiemy, gabbett fairfaksa nie używano za granicą od kilkadziesiąt lat. Zdumiewa mnie trwałość użytkowa nabojów, po tak długim czasie... Inne do GF nie pasują. A swoją drogą przypomina mi się, że nasze polskie naboje do karabinu Mausera, wyprodukowane w latach dwudziestych nadają się do użytku jeszcze dzisiaj! W tej sprawie - wskazał na pistolet - stwierdziliśmy z całą pewnością, że przesłany nam pocisk i łuski pochodzą właśnie z tej broni. To wszystko, co mogłem dodać, pułkowniku.

Stecki wyszedł, a szef wydziału popatrzał po twarzach swych podwładnych i rzekł zgryźliwie:

- Nie ma się z czego cieszyć. Szukajcie teraz właściciela broni sprzed ponad pół wieku. No dobra. Jedziemy dalej. Co wiemy o zmarłej żonie Kuniczewskiego, Elżbiecie?

- Zmarła sześć lat temu. Pochodziła ze wsi Żagań, rodzice mieli tam spore gospodarstwo. Mieli, bo oboje nie żyją. Pozostał brat Elżbiety, Andrzej Grochalski. Siedzi na wsi, rozwinął gospodarkę, unowocześnił, ale ma długi. I to niemałe. Miał spłacić siostrę, kiedy wychodziła za mąż. Nie zrobił tego. Dowiedzieliśmy się, że przyjeżdżała potem kilkakrotnie, aby upomnieć się o pieniądze. Nic nie dostała. Były kłótnie. Po śmierci żony Zbigniew Kuniczewski również parę razy odwiedził szwagra. Ostatnim razem, wiosną tego roku, kiedy odjeżdżał z Zagania był wzburzony, nawet nie podali sobie ręki. Sąsiedzi słyszeli potem, jak Andrzej Grochalski odgrażał się i wygadywał na szwagra. Komuś tam się podobno zwierzył, że „nie da grosza, a jak się tamten będzie upominał, to zobaczy”. Milczeli chwilę, potem Szczęsny odezwał się z powątpiewaniem w głosie:

- Nie, to mi jakoś nie pasuje.

- Ale jest możliwe - zaproponował kapitan Olesiński. - Ten Grochalski przez pierwsze lata po wojnie był na Zachodzie. Wrócił dopiero w pięćdziesiątym pierwszym. Mógł stamtąd przemyścić broń.

- To by pasowało do owego tajemniczego telefonu, po którym Kuniczewski wyszedł w nocy z domu. Chłopiec słyszał ten telefon prawie przez sen, ale zapamiętał, że ojciec powiedział do kogoś:

„Dobrze, zaraz będę”. Mógł to być jego szwagier. Udał, że ma jakąś bardzo pilną sprawę, może nawet, że ma przy sobie pieniądze i nie chce wracać z nimi na wieś...

- To by przyszedł do mieszkania Kuniczewskiego. Po cóż by go wyciągał nocą na ulicę? Nie, forsa odpada. Ale owszem, mógł podać jakiś inny rozsądny powód, dla którego tamten wyszedł z domu.

- Chciałbym zwrócić uwagę na znak, wyryty na kolbie pistoletu - odezwał się milczący dotąd kapitan Olesiński. Sprawa zaczynała go wciągać, już się do niej swoim zwyczajem zapalił. - Nie chcę przez to powiedzieć, że w najbliższym czasie znajdziemy dodatkowo dziesięć innych pistoletów gabbett fairfax i nam się pomylą, ale to wyryte na drewnianej kolbie serce przebite strzałą... idiotyczny pomysł, wyryć coś takiego na broni! Więc to serce jest bardzo charakterystycznym znakiem rozpoznawczym. Jeżeli znajduje się jeszcze w Polsce parę innych GF, możemy kierować się również tym znakiem.

Daniłowicz zerknął przelotnie na broń i odparł:

- Owszem, kolego kapitanie. Jeżeli rzeczywiście natrafimy jeszcze gdzieś na inne gabbett fairfaxy, czego ani sobie, ani wam nie życzę, to ten z pewnością będzie się wśród nich wyróżniał. Wolałbym jednak, abyśmy przede wszystkim znaleźli człowieka, który z tego właśnie, tutaj leżącego, pistoletu zabił Zbigniewa Kuniczewskiego. A teraz, kolego Dąbrowski, proszę podać więcej szczegółów o Andrzeju Grochalskim.

- Ma pięćdziesiąt lat. Jest żonaty, ma dwóch synów w wieku osiemnaście i czternaście lat. Jako piętnastoletni chłopak został w czterdziestym trzecim wywieziony na roboty do Niemiec. Jeszcze jest dla nas niejasne, dlaczego wrócił dopiero w sześć lat po zakończeniu wojny, chociaż tu w kraju z pewnością czekała na niego rodzina, no i gospodarka. Elżbieta, jego siostra, która później wyszła za Kuniczewskiego, była wtedy małym dzieckiem. Cóż jeszcze. Na pogrzeb szwagra nie przyjechał. Ani on, ani nikt z tamtej rodziny.

- Zostali zawiadomieni?

- Tak. Siostra zmarła, która teraz opiekuje się Michałem, wysłała depeszę do Zagania. Sprawdziłem, że doszła na czas.

- Z tego wynikałoby, że stosunki pomiędzy dwoma szwagrami były tak niedobre, iż nawet śmierć ich nie załagodziła. Ciekawe. A siostra Kuniczewskiego... jak ona się nazywa? To mężatka?

- Wdowa, mąż jej zginął na froncie we wrześniu w trzydziestym dziewiątym. Służył w piętnastym poznańskim ułanów. Aleksander Sobkowiak. Ona ma na imię Maria.

- Więc ta Maria Sobkowiak też nie kontaktowała się z Grochalskimi? Nie jeździła na przykład z Michałem na wieś, do Zagania?

- Nie. To znaczy twierdzi, że nie. W ogóle odkąd Elżbieta zmarła i Grochalski w dalszym ciągu odmawiał spłaty, te dwie rodziny znajdowały się permanentnie w ostrym konflikcie.

Szczęśny wzruszył ramionami tak ostentacyjnie, że szef wydziału zwrócił na niego uwagę.

- Co ci się nie podoba?

- Ta cała koncepcja. Przecież to jasne, że podejrzenia skierują się natychmiast na tego, kto Kuniczewskiemu źle życzył i był z nim na noże. Grochalski byłby skończonym idiotą, gdyby się z tym nie liczył. A wiemy już, że idiotą nie jest. Ma skończone technikum rolnicze, gospodaruje dobrze, nowocześnie. Tyle lat nie płacił Kuniczewskiemu, mógł jeszcze dwadzieścia lat nie płacić. Najwyżej procesowałiby się, a jak wiemy, takie procesy ciągną się bez końca.

- Masz rację i jej nie masz - sprzeciwił się pułkownik. - Gdybym na przykład ja na miejscu Grochalskiego chciał to zrobić, przygotowałbym sobie świetne alibi na dwudziestego października. Takie alibi, którego nikt nie byłby w stanie podważyć. Co robił wtedy Grochalski, zbadaliście?

- Jeszcze nie. Jestem w kontakcie z miejscową jednostką. Czekam na wiadomość - odparł Dąbrowski. - Pozwalam sobie zwrócić uwagę, że Grochalski, jako technik rolnictwa, ma o wiele mniejsze przygotowanie w zakresie kryminalistyki niż szef wydziału zabójstw w Komendzie Stołecznej. Alibi pułkownika byłoby na pewno nie do podważenia!

Roześmieli się, Daniłowicz pogroził mu palcem.

- Jednym słowem - podsumował - tak jak już mówiliśmy, idziemy w kilku kierunkach. Osoba denata, pistolet, rodzina i znajomi. No i

samochód, chociaż wątpię, żeby to ostatnie coś nam dało. Kto zajmuje się pracownikami na pogłębiarce?

- Koledzy z Komisariatu Rzecznego. Zresztą w grę wchodzi tylko dwóch ludzi na dradze, Szalanda była pusta od tygodnia. Draga miała remont maszyny, dlatego nie pracowała. Porucznik Zawilski zajął się też tymi, którzy znaleźli broń, Rączką i Dobieckim, ale myślę, że tutaj sprawa jest jasna. Według mnie pistolet rzucono do łodzi z mostu. Najprawdopodobniej ktoś, kto to zrobił, sądził, że rzuca do wody. W nocy było ciemno.

- A plusk? - odezwał się Szczęsny, który dzisiaj miał same wątpliwości.

Mógł nie usłyszeć. Coś jechało mostem, powiedzmy. W pobliżu jest most kolejowy, często przejeżdżają elektryczne. Bardzo hałasują. Może zresztą umyślnie Wybrał moment, kiedy plusku nie byłoby słychać, bo mógł się tym zainteresować ktoś na brzegu. - Tak, to jest logiczne. Wyszli z narady wieczorem, zmęczeni, z perspektywą wielu dni wytężonej roboty. Szczęsny zabrał Kręglewskiego do swego „malucha”, było mu po drodze. Nie rozmawiali już o sprawie, kapitan ziewał co chwila i wyraźnie tęsknił do domu.

- Głodny jestem - mruknął Szczęsny. - Wstąpimy gdzieś?

- Nie.

- Dlaczego?

- Mam w domu jedzenie, to co będę chodził po knajpach! Poza tym jest dwudziesty siódmy dzień miesiąca. Bogaty jesteś?

- Średnio.

- To pożycz ze trzy stówy.

- Z choinki się urwałeś? Na parę dni przed pierwszym?

- A mówiłeś, że jesteś bogaty.

- W pomysły. Nie w forszę. Wiesz co? Poszedłbym śladem tego pistoletu. Grochalski jako zAbójca zupełnie mnie nie przekonuje.

Kręglewski przestał ziewać, zadumał się.

- Miał powód - powiedział. - Nie znam się na Sprawach spadkowych, ale teraz, kiedy oboje rodzice Michała nie żyją, dziecko albo nic nie dziedziczy ze spadku wiejskiego, albo bardzo mało. Poza tym ma jedenaście lat i do ewentualnego dziedziczenia kupę czasu. Tak że Grochalski nic nie musi płacić. Szczęsny zaprzeczył ruchem głowy.

- Za proste jest to wszystko. Za prymitywne - odparł. - Mógłbym zrozumieć, gdyby dwaj szwagrowie się pokłócili i pobili, nawet jeden drugiego rąbnął w głowę i zabił. W gniewie, w uniesieniu. Ale to jest zbrodnia wyrafinowana, przemyślana od początku do końca. Tutaj posłużono się bronią, której dotąd nie rejestrowaliśmy w zabójstwach od wielu lat, może nawet wcale, ja przynajmniej nie pamiętam. Przestępca wiedział, jakich słów użyć, aby Kuniczewski w nocy wyszedł z mieszkania. Musiał go znać.

- To by właśnie wskazywało na Grochalskiego.

- Niekoniecznie. Czy on ma samochód?

- Ma. Tarpana i fiata sto dwadzieścia pięć.

- Kuniczewski chciał kupić wóz. Miał na książeczce prawie połowę na „malucha”. No, wysiadaj! - Kręglewski spojrzał na niego zdumiony, ale okazało się, że stoją przed blokiem gdzie mieszkał, więc wygramolił się na chodnik mruknąwszy: - Do jutra - i poszedł. Szczęsny zawrócił do śródmieścia, chciał zjeść ucziwą kolację, zanim wróci do domu. Zaparkował przed „Smaragdową”. Był to niewielki lokal drugiej kategorii, ale kelner go znał i traktował życzliwie. Także i tym razem znalazł wolny stolik, spędziwszy jakiegoś zaspanego pijaka, a potem zaproponował kotlet po mazursku z frytkami i „setkę”

- Mineralną - sprostował Szczęsny. - Jestem wozem. Ma pan jakąś surówkę do tego kotleta?

- Przyniosę.

Mazurski był normalnym schabowym, zresztą majorowi było obojętne, jak się nazywa to, co je. Ważna była jakość, nie forma. Jadł i z przyzwyczajenia rozglądał się po sali. Dostrzegł znajomego taksówkarza, którego kiedyś uratował przed niechybną zgubą i taksówkarz dotąd o tym pamiętał. Zabrał pewnego wieczoru sprzed kina dwóch młodych mężczyzn, którzy kazali się wieźć na dalekie peryferie. Szczęsny, jadąc radiowozem do komendy, dostrzegł przez szybę ich twarze, kiedy oba samochody zatrzymały się przed skrzyżowaniem. Poznał jednego z nich i, wiedziony jakimś instynktem zawodowym,

zastopował taksówkę przy chodniku, po czym zażądał od pasażerów dowodów tożsamości. Wtedy okazało się, że dowodów wprawdzie nie mają, ale za to pod kurtką jeden trzyma przygotowaną żelazną rurkę owiniętą w szmatę.

Cel, w którym miała być użyta, był jasny i taksówkarz zbladł, ręce mu się zatrzęsły. Szczęśny wraz z załogą radiowozu zawieźli obu delikwentów do komendy dzielnicowej, a taksówkarz od tej pory kłaniał mu się i witał przy każdej okazji jak zbawcę, co w pewnym sensie było prawdziwe. Teraz więc uniósł się trochę z krzesła i uśmiechał, zrobił nawet ręką zapraszający ruch do swego stolika, ale Szczęsnemu śpieszyło się, więc tylko odwzajemnił powitanie i kończył mazurskiego, popijając mineralną. Nagle drzwi od ulicy otworzyły się gwałtownie i do środka wtoczył się raczej niż wszedł jakiś mężczyzna. Był pijany, zdołał jednak utrzymać równowagę. Przez chwilę stał w miejscu na chwiejących się nogach i wodził wzrokiem po twarzach, może szukał znajomych. W końcu zobaczył, że obok Szczęsnego jest wolny stolik, i zajął go, wyciągając nogi daleko przed siebie.

Kelner obrzucił go niechętnym spojrzeniem, podszedł jednak bliżej.

- Obsługa! - wykrzyknął podpity gość.
- Przecież jestem - burknął. - Co podać?
- Koniak.
- Mamy tylko winiak. Może być?

Gość namyślał się, kiwając głową na prawo i lewo.

- Butelkę - wy sapał. Rozluźnił krawat, był bez płaszcza, tylko w jasnym flanelowym ubraniu, trochę poplamionym na klapie marynarki.

Szczęśny obserwował go nieznacznie. Zauważył, że ubranie uszyte było z drogiego, dobrego materiału, krawat z pewnością zagraniczny, jak i oryginalne buty z jasnej skóry, przeplatanej ciemniejszą; Mężczyzna miał chyba ze trzydzieści lat. Gładkie czarne włosy przylegały do czaszki jak trykotowa czapka, nos był cienki i wąski” lista pełne. Piwne oczy miał przekrwione i mętne.

Kelner cicho naradzał się przy bufecie z barmanką. Chciał podać winiak, ale czuł na sobie uważny wzrok majora. „Pijanym alkoholu nie podajemy” - zdawał się mówić ten wzrok, chociaż Szczęśny nie patrzył w stronę bufetu, a - w każdym razie nie można było tego zauważyć. Barmanka wzruszyła ramionami. Decyzja nie do niej należała. Wreszcie kelner dostrzegł, że oficer wyjmuje portfel. Westchnął z ulgą, zainkasował za kotlet i mineralną, pożegnał majora uśmiechem, a kiedy ten opuścił lokal, można już było pijanemu podać winiak.

Szczęśny otworzył swego „malucha”, ale zanim wsiadł, popatrzał dokoła. Wtedy zobaczył błękitnego forda-mustanga. Samochód stał w pobliżu „Smaragdowej” i major był niemal pewien, że wóz należy do pijanego gościa. Przez minutę zastanawiał się, co zrobić. Potem wsiadł do swego fiata 126, miał tam podręczną radiostację. Połączył się ze stanowiskiem dowodzenia w Komendzie Stołecznej i chwilę rozmawiał

7. oficerem dyżurnym. Potem już tylko czekał cierpliwie, trochę z nawyku, a trochę z ciekawości, czy jego domysł okaże się trafny. Radiowóz zjawił się dość szybko. Szczęsny widział, jak podoficer wszedł do „Smaragdowej”, rozejrzał się i zbliżył do mężczyzny pijącego winiak. Zagadnięty przez władzę w mundurze gość wpierw nie bardzo rozumiał, co do niego mówią, potem nieporadnie wyciągnął z kieszeni dokumenty.

Kelner krążył obok nich, czujnie patrząc, czy gość mu nie ucieknie bez zapłaty. Przyjął pieniądze, a mężczyzna podniósł się z trudem od stolika, o mało nie przewróciwszy go, i w asyście sierżanta wyszedł na ulicę. Kiedy obaj skierowali się do błękitnego forda mustanga, Szczęsny włączył silnik i spokojnie odjechał.

Rozdział 6

Dwunastego listopada wieczorem kapitan Kręglewski wrócił do Warszawy zmęczony, zabłocony i pełen niechęci do świata. Prosto z pociągu pojechał do Szczęsnego, chociaż od paru godzili myślał z utęsknieniem o własnym domu, kąpieli, kolacji i śnie. Wjeżdżając windą na dziewiąte piętro zdecydował, że umyć się i zjeść coś może u majora, a na resztę będzie czas.

- Chcę dostać herbatę, chleb z masłem, jajecznicę i ser - oznajmił kategorycznie. - Nic lepszego pewnie nie masz.

- A żebyś wiedział, że mam - odparł Szczęsny z satysfakcją. - Z myślą o tobie przyniosłem z kasyna kotlet schabowy.

- Nie mów! Naprawdę pomyślałeś o mnie? - rozczulił się kapitan. - To dawaj jeść, a potem będę mówił.

W pół godziny później, kiedy usiedli w fotelach - jeden był stary, ale wygodny, drugi nowy i uwierał sprężynami - Kręglewski postawił na stole kolejną szklankę z herbatą, odsapnął i rzekł:

- Zmordowałem się, nałaziłem jak głupi po całym obejściu, wymęczyłem siebie i tamtych z jednostki... Nic. Jeżeli rzeczywiście ten facet miał kiedyś schowaną broń, to już jej nie ma. Zresztą czyś ty wiedział, że to inwalida?

Szczęsny zaprzeczył ruchem głowy.

- No, widzisz. On nie ma prawej nogi. Chodzi na protezie. Dostyc sprawnie, ale mimo wszystko jest to proteza.

- Co to ma do rzeczy? Do przechowywania broni nie są potrzebne obie nogi.

Kręglewski machnął ręką niecierpliwie..

- Dobrze, ale myśmy dostali przecież informację, że to jest zabójca Kuniczewskiego! Według mnie ta wersja odpada. Czeka, ja wiem, że inwalida też może kogoś zakatrupić, jeżeli tylko jest w stanie się poruszać. Rzecz w tym, że on od dwóch miesięcy nie ma protezy, bo upadł, połamał metalowe wiązadła czy jak to się nazywa i teraz czeka na

naprawę w spółdzielni. Więc na dobrą sprawę nie chodzi. Trochę koło domu, o kulach

- Sprawdziłeś to?

- Tak, oczywiście. Obejrzałem kwit, pojechałem do tej spółdzielni, gadałem z sołtysem i paru sąsiadami. Nawet z listonoszem. Drugiej protezy w domu nie ma. Składu broni też nie. To jest w ogóle jakaś przyzwoita rodzina, dowiadywałem się:

- Ale on znał Kuniczewskiego?

- Znał. Wiesz skąd? Ze szkoły podstawowej. Kuniczewski urodził się, jak pamiętasz, w trzydziestym roku i wtedy mieszkał z rodzicami w Wisłoczy. Po wojnie przenieśli się do Warszawy, a ten Małecki pozostał. Nogę stracił siedem czy osiem lat temu, w wypadku. Nie kontaktował się z Kuniczewskim, raz tylko widzieli się w Warszawie, na święcie..Trybuny Ludu”. Przyjechał z żoną i spotkali się przypadkowo. Małecki mówi, że z początku nie poznał go. Potem doszło jakoś do rozmowy, no i wtedy dopiero... To był ich jedyny kontakt od czasów szkolnej ławki. Słuchaj, to jest szesnasty z kolei list, szesnasta wersja, którą sprawdzamy! Ile tego jeszcze będzie, pytam łagodnie!?

Szczęsny nie odpowiedział. Sam czuł już znużenie powodzią doniesień, anonimów, telefonów, która napłynęła odkąd podali w prasie komunikat. Każdy informator był „absolutnie pewien”, że ma rację i każdą wersję trzeba było sprawdzić. Żadna nie okazała się prawdziwa, niektóre były absurdalne, zupełnie wyssane z palca, i to z bardzo

brudnego. Zawiść, chęć odegrania się na znajomym, sąsiedzie, koledze z pracy, czasem niezrównoważenie psychiczne, graniczące z patologią. Pracownicy komendy jeździli po całej Polsce, nadchodziły długie, wyczerpujące meldunki od miejscowych jednostek, kogoś już nawet prokurator osadził w areszcie za „świadome wprowadzanie władzy w błąd”.

Nie było też żadnej przyczyny, aby o wrzucenie gabbett fairfaxes do łodzi posadzić któregoś z pracowników pogłębiarki. Tym bardziej Dobieckiego i Rączkę.

Andrzej Grochalski, szwagier Kuniczewskiego, miał na dzień i noc dwudziestego października niewzruszone alibi. Przebywał wtedy w Olsztynie, na trzydniowym kursie dla przodujących rolników, zorganizowanym przez tamtejsze władze. Kurs prowadzony był rzetelnie, - zajęcia trwały od ósmej rano do wieczora, z przerwą na obiad. Grochalskiego zakwaterowano wraz z dwoma innymi rolnikami w jednym pokoju. Do Olsztyna nie pojechał swoim fiatem 125p, lecz wspólnie z innymi autokarem: Było więc wykluczone, aby mógł niepostrzeżenie wyjechać do Warszawy i wrócić. Kapitan Olesiński sprawdził jego pobyt na kursie dzień po dniu, godzina po godzinie i zyskał pewność, że człowiek ten jest niewinny.

Po dwudziestu kilku dniach poszukiwań znaleźli się znowu w punkcie wyjścia. Oczywiście, szukali dalej, sprawdzali skrupulatnie każdą informację, zaglądali do starych akt ze sprawami o zabójstwo przy

użyciu broni palnej. Nie znaleźli żadnego punktu zaczepienia. Nie sposób było przyjąć wersji, że gabbett fairfax został skradziony bądź wojskowemu, bądź milicjantowi, gdyż była to broń nietypowa, niezwykle rzadko u nas spotykana, nie używana w Polsce ani w wojsku, ani w milicji.

Któregoś dnia do komendy przyszła Maria Sobkowiak. Major Szczęsny był akurat w swoim pokoju. Odebrał telefon z biura przepustek, przypomniał sobie, że to kobieta już niemłoda - była o dwanaście lat starsza od brata - i zbiegł na dół, aby wprowadzić ją do siebie, gdyż poprosiła go o rozmowę.

Usiadła przed biurkiem, siwowłosa, ubrana w czarny kostium, bo wbrew obecnym zwyczajom nosiła po Zbigniewie żałobę, o twarzy zniszczonej trudami wielu lat pracy i niedawną tragedią. Śmierć brata przeżyła głęboko i ciężko jej było przyzwyczaić się do myśli, że już go nie ma.

- Panie majorze - zaczęła z wahaniem - powiedział mi pan wtedy, że każdy najdrobniejszy szczegół może być bardzo istotny dla dobra śledztwa. Więc przyszłam, bo jedna taka, może drobna rzecz nie daje mi spokoju.

- Słucham panią z całą uwagą. Jaka to rzecz?

- Otóż brat mój nosił na ręce łańcuszek z oznaczeniem grupy krwi, jaki mają zazwyczaj kierowcy. Nie kupił jeszcze samochodu, ale chciał 1,0 zrobić i zdobył latem prawo jazdy.

Szczęśny zmarszczył brwi, zastanowił się chwilę.

- Nie znaleźliśmy takiego łańcuszka - odparł. - Jaką grupę krwi miał pan Kuniczewski?

- Zerową, Rh plus. Takie oznaczenie było wyryte na łańcuszku. Ja... kiedy ubierałam ciało do trumny, zauważyłam, że na ręce go nie było. Ale wówczas... no, w obliczu tej całej tragedii to był drobiazg, umknął mi z pamięci. Pomyślałam zresztą, że może zaginął, tam na ulicy albo potem, w zakładzie na Oczki. Pytałam lekarza. Powiedział mi, że z całą pewnością brat nie miał na ręku żadnego oznaczenia grupy krwi. Wczoraj bardzo dokładnie przeszukałam cały dom. Nie znalazłam.

- Proszę pani, byliśmy z kolegą i innymi pracownikami milicji na miejscu bardzo szybko. Oglądałem głowę i ręce zmarłego, potem robił to również nasz lekarz. Nie było łańcuszka. Gdyby z jakiejś przyczyny został zerwany, to by przecież leżał - na chodniku czy na jezdni. Szukaliśmy długo i starannie łusek od pocisków w promieniu kilkuset metrów, więc - na pewno natrafilibyśmy na łańcuszek.

- Ale w domu też nie ma.

- Może brat pani oddał go do naprawy?

- Myślę, że Michał wiedziałby o tym. Zresztą brat mój taką rzecz naprawiłby sam. Cóż tu się mogło zepsuć, najwyżej jakieś ogniwo. To był prosty, nieskomplikowany przedmiot.

Szczęśny milczał czas jakiś, wreszcie rzeki;

- Przypuśćmy, że sprawca zabójstwa zdjął go z ręki pana Kuniczewskiego i zabrał. Mógłby to być ważny ślad dla nas, gdyby nie to, że takich łańcuszków jest w Warszawie i w całym kraju mnóstwo, coraz więcej osób je nosi. A grupa krwi: zero Rh plus, to dosyć popularne zestawienie. Czy tam nie było nie więcej? Może monogram, imię?

- Nie. Czy wszystkie te łańcuszki są miedziane?”

- Miedziane? Jeszcze takiego nie widziałem. Są z szarego metalu, nie pamiętam, z niklu czy stali. Brat miał miedziany?

- Tak. Chorował trochę na reumatyzm, a podobno miedź pomaga. Ja sama nosiłam przez jakiś czas miedzianą bransoletkę.

- Czy nie Orientuje się pani, kto bratu zrobił ten łańcuszek?

- Nie mówił. Pewnie w jakiejś spółdzielni albo warsztacie.

- Dziękuję, że pani do nas przyszła. To ważna informacja.

Szesnastego listopada w telewizji po dzienniku wieczornym odczytano następujący komunikat:

„Komenda Stołeczna Milicji Obywatelskiej pro-■i wszystkich, którzy mogliby udzielić informacji o zagubionym bądź skradzionym łańcuszku miedzianym z oznaczeniem grupy krwi: zero Rh-plus, o skontaktowanie się z komendą, osobiście lub telefonicznie pod numer...”

- Myślisz, że to coś da? - spytał Olesiński, kiedy siedzieli wieczorem w komendzie.

- Nie wiem - odparł Szczęsny - ale spróbować trzeba. Załóżmy, że na ulicy w ciągu tego krótkiego czasu pomiędzy zabójstwem a nadejściem profesora Zawady pojawił się złodziej.

- To by wziął portfel, zegarek, szalik czy co tam zmarły miał na sobie, ale nie łańcuszek! Zresztą nic nie zostało ukradzione. Kuniczewski miał w marynarce portfel z ponad tysiącem złotych, dobry zegarek i obrączkę.

- Masz rację. Tak tylko powiedziałem o złodzieju. Sam jestem przekonany, że łańcuszek zabrał morderca.

- Po co?

Szczęsny popatrzał na mówiącego z uwagą. Jakaś myśl błysnęła mu przelotnie, czarne oczy ożywiły się.

- Po co? - powtórzył z wolna. - Może jako dowód.

- Dowód czego?

- Zabójstwa.

- Dla kogo, u diabła?!

- Powiedzmy dla człowieka, który mu zlecił zabicie Kuniczewskiego. Nie mamy żadnych danych na to, że nie zrobiło tego dwóch ludzi a może nawet kilku. Wciąż nie znamy przyczyny zabójstwa.

- Poczekajcie - wtrącił się milczący dotychczas kapitan Dąbrowski.

- Czy nie wystarczyłby nekrolog w prasie? A były chyba ze cztery, od rodziny, przyjaciół, instytucji i tak dalej. Taki fakt, jak czyjaś śmierć, nietrudno sprawdzić. Jest pogrzeb, wisi klepsydra na bramie, a wisiała,

sam widziałem, można ostatecznie dowiedzieć się w miejscu pracy. Po cóż jeszcze dowód w postaci łańcuszka? W dodatku samo zdejmowanie go z ręki zabiera jakiś tam ułamek czasu, może niewielki, ale zabójca nie może ryzykować. Zresztą, jeżeli przyjąć, że w tym przestępstwie brało udział kilku ludzi, komu udowodniać?

- Student Piotrowski widział biegnącą jedną osobę.

- I co z tego? Druga mogła obserwować całą scenę z daleka, jeszcze inna siedziała w samochodzie.

- To są wszystko nasze przypuszczenia. Mnie chodzi o co innego - Szczęsny powrócił do swojej tezy. - Zakładam, że łańcuszek zabrano jako dowód. Nekrolog, pogrzeb, to jeszcze nie są dowody zabójstwa. Tylko śmierci. Umrzeć można zwyczajnie, w szpitalu czy w domu na łóżku. Więc dopiero śmierć i łańcuszek razem mogą przekonać, że zadanie zostało wykonane. Myśmy w tym pierwszym komunikacie dla prasy nie podawali, że to było zabójstwo, ale „tragiczna śmierć”. To różnica.

- Nie przekonałeś mnie - sprzeciwił się Olesiński. - Wystarczyło posłuchać, co ludzie o tym mówią. Przecież całe biuro, w którym pracował Kuniczewski, a na pewno i cała kamienica na Jasnej, wie, że go zabito, że cztery strzały i tak dalej. Nie zajmujmy się na razie łańcuszkiem. Dla mnie najistotniejszą sprawą jest motyw morderstwa. I przyznaję, że im dłużej się nad tym zastanawiamy, tym mniej wiemy o tym motywie. Ja, szczerze mówiąc, nie widzę żadnego!

- Spróbujmy jeszcze raz - rzekł Szczęsny. - Wróćmy do podstawowego podziału motywów zabójstw, według Zakładu Kryminologii Instytutu Nauk Prawnych PAN. To jest, jeżeli dobrze pamiętam, sześć grup. - Wziął ze stołu kartkę papieru i długopis. - A więc pierwsza kategoria motywów: w obronie godności osobistej. Konflikty, bójkki, dawne urazy. Możemy to wykluczyć?

- Nie - odparł Dąbrowski. - Jedź dalej.

- Druga kategoria, z motywów erotycznych. No, to chyba odpada.

- Niezupełnie - wtrącił Olesiński. - Tam jest taki motyw: zabójstwo osoby, która stanowi przeszkodę w realizacji planów seksualnych czy małżeńskich. Skąd wiemy, czy Kuniczewski nie stanął komuś na drodze?

- Powiedzmy. Trzecia grupa: z motywów ekonomicznych. Tutaj pasuje rodzina Grochalskich. Czy braliśmy pod uwagę synów tego rolnika? Najstarszy ma bodaj osiemnaście lat. Gdzie był w tamtą noc?

- W domu. Trudno sprawdzić. Racja, że mógł to być on.

- Napad rabunkowy raczej wykluczam, mówiliśmy już o tym wiele razy. Następna kategoria motywów: w obronie bezpieczeństwa, własnego lub bliskich. Nie wierzę, żeby Kuniczewski sam kogoś zaatakował, i to tak, żeby tamten musiał do niego strzelać. Kto u nas chodzi z bronią? I to z taką bronią! Zresztą strzelano z dużej odległości Dalej: eliminacja świadka przestępstwa...

- To mi najbardziej pasuje - rzekł Dąbrowski. - Wskazywać może na to sposób, w jaki przeprowadzono zaplanowane, obliczone w miejscu i czasie zabójstwo, przygotowane narzędzie zbrodni, szybka ucieczka samochodem. Co mamy jeszcze w tych kategoriach?

- Patologię. Pod to można właściwie podciągnąć wszystko. Jeżeli zabójca jest typem patologicznym, mógł sobie wyobrazić w swym chorym umyśle, że Kuniczewski w czymś mu przeszkadza, że jest mu winien majątek, że poluje na jego życie. Albo że go kiedyś straszliwie obraził.

- Więć trzeba przyjąć, że go dobrze znał. Bo zabił przecież konkretną osobę, wywołał ją telefonicznie z domu, wiedział, że ten człowiek, który teraz idzie ulicą Moniuszki, to Kuniczewski. Znowu trzeba by szukać w kręgu jego znajomych. Co za cholerna sprawa!

Szczęśny wrócił do domu, ale chociaż był zmęczony, długo nie mógł usnąć. Sara nie potrafił sobie wytłumaczyć, dlaczego tak uparcie próbował przekonać kolegów, że łańcuszek jest dla kogoś dowodem zabójstwa. Teraz, przewracając się z boku na bok na tapczanie, rozważał tę wersję ze wszystkich możliwych punktów widzenia i musiał przyznać, że była nielogiczna, niemal absurdalna.

Jeżeli był tylko jeden przestępca, samotny, bez żadnego zleceniodawcy, to do niczego nie był mu potrzebny dowód, że zabił. Jeżeli było ich więcej, to rzeczywiście, jak twierdzi Dąbrowski, ktoś siedział w samochodzie, jeszcze ktoś obserwował zabójcę. Istotnie, do

tej pory mnóstwo osób już wiedziało, jak zginął Kuniczewski, czegoś takiego nie sposób ukryć.

Ale w takim razie co się stało z łańcuszkiem?

Myślał również o znalezionej broni. Gabbett fairfax nie dawał mu spokoju. Próbował wyobrazić sobie, jak to wszystko się odbyło. A więc morderca - nazwijmy go X - obmyśla starannie plan zabójstwa. Zna Kuniczewskiego, musi go znać, bo musi mieć jakąś przyczynę, bardzo ważną, dla której postanawia go zabić.

Od wielu lat przechowuje w domu lub w innym miejscu pistolet. Na pewno starannie ukryty. Dlaczego strzelił akurat cztery razy? Może miał tylko cztery naboje. Z dawnych lat powiedzmy. Dokupić się nie da, nie istnieją już takie naboje. Albo też zabrał pistolet komuś, kto miał tylko cztery. Komu mógł zabrać?

Więc X telefonuje w nocy do Kuniczewskiego. Co mówi? Musiał użyć takich argumentów, które skłoniły tamtego do wyjścia z domu. Jakie to mogły być argumenty? Nie o dziecku, bo Michał spał w domu. Nie z biura, bo „Wspólnota” to nie fabryka, a Kuniczewski nie był dyrektorem, ale zwykłym pracownikiem. Może czyjś przyjazd z daleka, nawet z zagranicy. „Jestem przejazdem, jutro rano odlatuję do Paryża, mam coś dla ciebie...”

W takim razie trzeba by szukać wśród znajomych, którzy przebywali wtedy za granicą.

Dawny kolega szkolny, jakiś mało znany krewniak, wujaszek z Ameryki. Bzdura... Kobieta? Wspólniczka. Niekoniecznie, kobieta też może zastrzelić człowieka. Kobieta z zagranicznym samochodem, jeżeli wierzyć temu, co twierdzi student Piotrowski. Kobieta, która telefonuje i wywabia go na ulicę, potem czeka w samochodzie przy kierownicy, a wspólnik strzela.

Nie. Raczej jest jeden człowiek. Sam. Zaczają się przy kiosku. Celuje w idącego. Tamten pada. Morderca podchodzi... raczej podbiega. Szybko odpina mu łańcuszek, chowa do kieszeni. Po co? Mniejsza o to. Wraca do samochodu, odjeżdża. Po paru minutach jest już na moście. Pusto, ciemno. Było trochę mgły tamtej nocy. Zatrzymuje się na kilka sekund, wyskakuje z wozu, nie wyłącza silnika. Wrzuca pistolet do wody... w każdym razie tak sądzi.

Szczęśny wstał, przeszedł do kuchni. W rurach coś zawyło, aż zadygotały, wycie zmieniło się w coraz słabszy warkot i znowu nastąpiła cisza. Zapalił gaz pod czajnikiem, nalał do szklanki esencji i wody, posłodził. Potem wrócił z herbatą do pokoju.

Czy ja bym na jego miejscu czekał, aż usłyszę pluśnięcie wody? - myślał. - Raczej nie. Spieszył się, musiał się spieszyć. Można mieć prawie stuprocentową pewność, że ciężki przedmiot wrzucony z mostu do rzeki znajdzie się na jej dnie. I to był rzeczywiście jeden wypadek na tysiąc, że gabbett fairfax wpadł do łodzi. Łódka była przywiązana do szalandy, dalej stała draga. On musiał być zdenerwowany, że tego

wszystkiego nie zauważył. Pewnie w ogóle nie patrzył w dół. Tak to musiało być. Chyba że... chyba że chciał celowo rzucić podejrzenie na właściciela łodzi czy pracowników z pogłębiarki.

Co o nim wiem, prócz tego, że jest zabójcą? Z opisu studenta jest to człowiek, którego sylwetka na oko niczym specjalnym się nie wyróżnia. Nie jest kulawy, garbaty, bardzo wysoki ani karzeł. Ma zagraniczny samochód... Te sześć wozów, które Piotrowski ostatecznie spisał na kartce, to: ford-pinto, dodge-aspen, dwa typy opel-monza, vauxhall-chevette i ford-mustang. Zaraz, gdzie ja ostatnio widziałem forda-mustanga? Aha, ten pijany facet w „Smaragdowej”. Trzeba by ewentualnie dowiedzieć się w Wydziale Ruchu Drogowego, jak on się nazywa. Ale to przecież nic nie da.

Co jeszcze wiem o mordercy? - myślał dalej Szczęsny, krążąc ze szklanką w ręku po pokoju. - Że miał stary, nie używany od lat pistolet. Umie strzelać, w każdym razie obchodzić się z bronią. Jeżeli to cudzoziemiec, nigdy go nie złapiemy. Znaleźć motyw! Co ten Kuniczewski zrobił, komu załazał za skórę, że aż sięgnięto po broń?!

Wrócił na tapczan. Nagle zatęsknił za Anką. Wyjechała w teren na całe dwa tygodnie. Szczęsny nigdy nie był wierny dziewczynom, zresztą uprzedzał je o tym lojalnie, jak każdy mężczyzna nie znosił łez ani scen. Do Anki przywiązał się i było mu jej brak. Łączył ich nie tylko ten sam zawód, te były duże więcej. Pod wielu względami od powiadali sobie, choć fizycznie byli kontrastem - on śniady z czarnymi wąskimi oczami i

włosami tak jasnymi, jakich nigdy nie miewają czarnoocy; ona niebieskooka, włosy miała ciemne, gęste, Gerę delikatną, trochę tylko zaróżowioną. Umiała mówić, kiedy trzeba i co trzeba, umiała też milczeć i słuchać, za co był jej wdzięczny. Była od niego dużo młodsza i o dwa stopnie niżej stopniem, to też mu odpowiadało.

No tak, ale teraz porucznik Anka siedziała w komendzie wojewódzkiej w Katowicach, bo miała tam pilne sprawy do załatwienia. Szczęsny powiedział sobie - trudno, trzeba poczekać.

*

Dwudziestego pierwszego listopada pułkownik Daniłowicz wezwał do siebie Szczęsnego i obu kapitanów - Kręglewskiego i Olesińskiego. Dąbrowski, jako permanentny „księgowy” do sprawy zabójstwa na Moniuszki, asystował naradzie niejako z urzędu.

- Zdaje się - zaczął szef wydziału, spoglądając po twarzach swych podwładnych - że wciąż stoimy w miejscu. Staszek, co właściwie wiemy, a raczej: jakie są nasze domniemania na temat osoby zabójcy?

Dąbrowski nieznacznie wzruszył ramionami i rzekł:

- Są to rzeczywiście tylko domniemania, oparte na relacjach wątpliwego świadka, jakim jest Adam Piotrowski. Chyba nie warto nawet przypominać: mężczyzna średniego wzrostu, szczupły, ubrany w ciemne spodnie i kurtkę, ma zagraniczny samochód, prawdopodobnie jednej z sześciu marek, nie będę wymieniał jakich, bo kartka leży przed pułkownikiem na biurku. Z tego wszystkiego, co zebraliśmy,

najpewniejszy wydaje mi się fakt wrzucenia pistoletu do... miało być do wody, ale znalazł się w łodzi. Mamy więc narzędzie zbrodni, pasuje do niego pocisk i łuski. Denat w grobie, zabójcy ani śladu.

- Taaak... - przeciągnął pułkownik. - Wczoraj minął miesiąc od dnia zabójstwa. W tej sytuacji zrobimy inaczej. Każdemu z was przydzielam jedno zadanie, dotyczące sprawy. I będzie je wykonywał tak długo, aż wykona. Zwalniam was od wszelkich innych prowadzonych spraw, zajmiecie się tylko i wyłącznie tą. Zabójstwa przy użyciu broni palnej są dziś u nas taką rzadkością, że musimy zrobić absolutnie wszystko, aby znaleźć mordercę.

- No, miewaliśmy zabójstwa z użyciem pistoletu - zauważył Olesiński. - Ale to prawda, że na ogół sprawcy od początku byli znani.

- Szczęsny - pułkownik zwrócił się do niego - jeżeli się nie mylę, najchętniej zająłbyś się gabbett fairfaxem?

- Tak, Stefan Według mnie, jest to jedyny trop, który może nas sensownie poprowadzić.

- Dobrze. Marek Olesiński będzie kontynuował analizę środowiska znajomych, krewnych i kolegów Kuniczewskiego. Do pomocy daję ci Staszka, bo i tak nie ma nic do roboty. „Księgować” można wtedy, kiedy są jakieś konkretne efekty działania.

- A ja? - spytał Kręglewski. Był rad, że przestały już napływać listy z doniesieniami na różne osoby, rzekomo sprawców zabójstwa.

- Ty, Kazik, zajmiesz się samochodami. Ponieważ nie mamy innego wyjścia, przynajmniej na razie, musimy przyjąć za dobrą monetę sześć marek wozów, które nam tu wypisał Piotrowski. Nie mam pojęcia, jak się do tego zabierzesz, ale niedługo chcę tu mieć na biurku pełny wykaz, właścicieli takich samochodów, z cudzoziemcami włącznie. Zwłaszcza z tymi, którzy dwudziestego października znajdowali się w Polsce.

- Co szef miał na myśli, mówiąc „niedługo”? - Kręglewski wołał się upewnić. Daniłowicz był dobry, jeżeli widział rezultaty pracy i jeżeli dotrzymywali terminów.

Pułkownik spojrzał na niego spod oka.

- Miałem na myśli: jak najszybciej - odparł. - Najchętniej jeszcze dzisiaj. Nie oznaczam ci dnia, bo wiem, że to niemożliwe. Sam jesteś odpowiedzialny za swoją robotę.

Po południu Szczęsny podjechał do Wydziału Ruchu Drogowego Komendy Stołecznej. Miał tam wielu dobrych kolegów i paru przyjaciół. Jednego z nich odszukał, pogadali chwilę o tym i owym, a potem major rzekł:

- Słuchaj, Tadeusz, znajdź mi notatkę służbową załogi radiowozu... nie pamiętam numeru, ale interwencja była na mój sygnał, rzecz miała miejsce dwudziestego siódmego października wieczorem, przed „Szmaragdową”.

- Co tam było?

- Pijaczek z niebieskim fordem-mustangiem.

- Wypadek?

- Nie. Po prostu siedziałem w „Szmaragdowej”, zobaczyłem, że facet jest urżnięty jak bela, a przyjechał pod lokal właśnie tym fordem. To znaczy nie widziałem jego przyjazdu, ale sobie skojarzyłem, a później ktoś z załogi radiowozu prowadził go do tego wozu. Nie wiem, co było dalej, bo odjechałem.

- Zależy ci na dalszym ciągu interwencji?

- Nie tyle na tym, ile na personaliach faceta. I czy ford należy rzeczywiście do niego.

- Zaraz się dowiemy.

W parę minut później kapitan podał Szczęsnemu dane.

- Suwalski Jacek, zamieszkały na Sadybie, ulica... i tak dalej, zapisać ci?

- Zapisz. To był jego wóz?

- Tak. Co najmniej dziesięć tysięcy dolarów. Nielicha forsa. Ale, czekaj! - Oficer zamyślił się na chwilę, sięgnął po telefon, nakręcił wewnętrzny. - Marian?... - Słuchaj, kto to się u nas interesował Jackiem Suwalskim?... Tak, tym co ma forda-mustanga... Nie wypadek! Ktoś do nas przychodził i pytał o niego, nie pamiętasz? Chyba nawet ktoś z resortu.. Ach, rozumiem... Tak, teraz sobie przypominam. Major Horny, prawda?

- No właśnie. To cześć.

Odłożył słuchawkę i rzekł:

- Nie tyle Jackiem, ile jego ojcem interesuje się major Horny z przestępstw gospodarczych. Znasz go?

- Hornego? Oczywiście. Robiliśmy razem sprawę przemytu platyny, tam były też zabójstwa. Ale nie wiedziałem, że Jurek awansował. Mówił ci, o co tam chodzi?

- Jakieś mocno podejrzone transakcje walutowe i chyba również przemyt. Suwalski-ojciec mieszka w Babińcach. Jacek dostał od niego mieszkanie, raczej cały domek, w Warszawie. Bliższych szczegółów nie znam, to nie moja branża. Skontaktuj się z Hornym.

- Tak, zaraz to zrobię.

Szczęśny pojechał do swojej komendy, znalazł Kręglewskiego w kasynie na obiedzie, zamówił dla siebie jakieś danie i powiedział:

- Masz ode mnie, zupełnie za darmo, jednego właściciela fordamustanga koloru nieba. Przekazuję ci faceta, bo to teraz twój resort. - Położył obok talerza kartkę z personaliami Jacka Suwalskiego. - Wydaje mi się jednak, że... a zresztą, nie wiem.

- Co ci się wydaje? - Kapitan kończył zupę pomidorową; wchodziła w skład zestawu obiadowego.

Ale Szczęśny nie odpowiedział. Zjadł, co mu podano, i postanowił, że do Hornego wstąpi wieczorem do domu. Było już po szesnastej i pewnie jego dawny przyjaciel wyszedł z pracy. Pojechał więc na Żoliborz, adres pamiętał. Drzwi otworzyła mu pani Krystyna, zaprosiła

do środka, wypominając, że już chyba o nich zapomniał. Dwóch synów w wieku, zwanym przez Makuszyńskiego „cielęcym”, wybiegło do pokoju. Powitali Szczęsnego hałaśliwie i ze szczerą radością, zwykle przynosił im czekoladę. Przypomniał to sobie teraz i ze skruchą pokazał puste ręce, obiecując, że następnym razem się poprawi. Niestety, okazało się, iż Horny wyjechał poprzedniego dnia do Babiniec. Szczęsny pomyślał, że pewnie w sprawie Suwalskiego, i nagle postanowił, że również tam pojedzie. Pani Krystyna powiedziała” że mąż będzie w Babińcach co najmniej tydzień. Miał się zatrzymać albo w gościnnym pokoju komendy, albo w jednym z miejscowych hoteli. Były tylko dwa, więc nie będzie kłopotu z odnalezieniem.

Daniłowicz z początku stawiał opór. Uważał, że nielegalne transakcje walutowe nie wchodzą w zakres zainteresowań wydziału zabójstw, a poza tym Szczęsny ma się teraz zajmować przede wszystkim gabbett fairfaxem.

- A skąd wiesz, czy zabójca nie mieszka w Babińcach? - powiedział major podstępnie.

Jego szef na moment stracił rezon, zaraz jednak odparł surowo, że równie dobrze może mieszkać w jednym z tysięcy innych miast i wsi w całej Polsce. Szukanie go taką metodą jest absolutnym nonsensem, gdyż Szczęsny nie ma przecież żadnych bliższych danych.

- Ja, zaraz wrócę...

Zabrzmiało to tak, jakby chciał wyskoczyć do kiosku po papierosy i Daniłowicz mimo woli roześmiał się.

- Słuchaj, Stefan - zaczął Szczęśny z ociąganiem, gdyż po prawdzie nie miał żadnych rozsądnych argumentów, które uzasadniałyby wyjazd do Babiniec. - Po prostu pogadam z Hornym, zorientuję się, co to za rodzina, ci Suwalscy. Z danych o synu wiem, że skończył socjologię, nie pracuje, mieszka sam, ale ma do dyspozycji spory dom, jeździ pięknym fordem-mustangiem i żyje najpewniej z zarobków ojca. Stary Suwalski to emeryt, jak zdążyłem się dowiedzieć. Coś mi tutaj nie gra, rozumiesz? A jeżeli Jacek Suwalski znał Kuniczewskiego?

- Rozumiem, że nie daje ci spokoju ten ford-mustang. Jest to właściwie jedyny, bardzo zresztą wąty, punkt zaczepienia. Bogatych synków-nierobów, żyjących z jeszcze bogatszych ojców, mamy w kraju kilkuset, tak sędzę. Może nawet parę tysięcy. Spytaj Marii Sobkowiak, czy jej brat znał Suwalskich.

- Spytam. Po powrocie, dobrze? A jeżeli nie możesz, to daj mi dwa dni zwolnienia na konto urlopu.

- Ależ ty się uparłeś! Jak osioł. - Podpiszesz delegację?

Wieczorem Szczęśny siedział w pociągu, jadącym do Babiniec.

*

Horny zdziwił się przyjazdem Szczęśnego, ale że się lubili, rad był z tego spotkania. Mieszkał w komendzie, na piętrze. Pokój gościnny miał dwa łóżka i major załatwił koledze nocleg bez żadnych trudności.

- Wiem, że nie przyjechałeś tylko po to, aby mnie odwiedzić - rzekł, kiedy po kolacji poszli na górę. - Co cię interesuje?

- Suwalscy. Wszystko, co możesz mi powiedzieć o tej rodzinie.

Horny wyjął z kieszeni fajkę, nabił, zapalił i chwilę się zastanawiał.

- O ile wiem - powiedział ze zdziwieniem - nikt z tej rodziny nie popełnił morderstwa. Czyżbym się mylił?

- Czy zwróciłeś w naszym biuletynie uwagę na zabójstwo przy użyciu pistoletu, cztery strzały, na ulicy Moniuszki...

- Pamiętam! - przerwał Jerzy. - Był później w telewizji komunikat o miedzianym łańcuszku i ktoś od was mówił mi, że łączycie te dwie rzeczy. Macie sprawcę?

- Nie. Niestety, sprawca wciąż nieznany. Dlatego przyjechałem.

Horny wyjął fajkę z ust, popatrzał na mówiącego.”

- Człowieku, chyba nie sądzisz, że zabił Artur Suwalski? On ma siedemdziesiąt lat!

- A syn?

- Gdzieś pod trzydziestkę. O co tu chodzi? Wtedy Szczęsny opowiedział mu o niebieskim fordzie-mustangu i w ogóle o wszystkim, co dotychczas w tej sprawie wiedzieli.

- Jak widzisz, nie mam żadnych danych - i co zakończył. - Chciałbym po prostu, metodą eliminacji, wyłączyć Jacka Suwalskiego jako ewentualnego zabójcę. Inaczej mówiąc, chcę się upewnić, że to nie on. Wtedy jednego właściciela forda-mustanga mamy z głowy i przestaję

się Suwalskimi zajmować. Właściwie to i tak nie powinienem, - bo tę działkę przydzielono Kręglewskiemu, ale chcę mu trochę pomóc. Moją rzeczą jest ustalenie, kto miał pistolet gabbett fairfax. Teraz albo rok temu, dziesięć lat albo jeszcze dawniej. - Nietypowa broń.

- Tak. I nie wiem, czy to lepiej, czy gorzej. Mów o Suwalskich!

Horny pogrzebał w teczce, wyjął notes i kilka dokumentów

- Przez wiele lat - zaczął, a zabrzmiało to, jak początek bajki - Artur Suwalski był w Babińcach postacią szanowaną, znaną i wiele mogącą. Różne to były lata, sam wiesz. Jako naczelny dyrektor „Boredu”, zresztą ta instytucja parokrotnie zmieniała nazwę, ale to dla nas bez znaczenia, więc jako dyrektor zrobił dla niej niemało. To mu trzeba przyznać. Ma łeb do interesów, umie prosić, jak trzeba i grozić, jak trzeba. „Bored” rozbudował się, dzisiaj ma liczne filie i zakłady kooperujące. Suwalski przeszedł na emeryturę dopiero dwa lata temu, były w tej sprawie naciski z góiy. Już wtedy miał nie tylko pałacyk z sadem w Babińcach, ale i domek jednorodzinny w Warszawie. Tam teraz mieszka jego syn z drugiego małżeństwa, Jacek. Po roku Artur Suwalski dysponował dodatkowo dwiema willami nad Jeziorem Czarnym. No, a w tym roku zbudował sobie trzecią, trzydzieści kilometrów od Babiniec. Jacek ma fordą-mustanga, jego ojciec jeździ zielonym peugeotem, trzecia żona Artura - notabene młodsza od Jacka! - ma tylko dużego fiata. Pewnie stary boi się, żeby mu droższym wozem nie zwiąła. -

Reasumując, obliczam rodzinę Suwalskich na, lekko biorąc, dwadzieścia pięć, może trzydzieści milionów.

- I to wszystko z dyrektorskiej pensji.. Teraz rozumiem, że się tym zajmujesz.

- Ja? Człowieku, nad tym siedzi piętnastu ludzi, nie licząc prokuratora. Tak się składa, że oddelegowano mnie do nadzorowania działalności kolegów z miejscowych jednostek. Oczywiście, współpracujemy z Okręgowymi Zarządami Dochodów Państwa i Kontroli Finansowej, z PIH-em, z kontrolą społeczną i licho Wie czym jeszcze. Jest to jednak robota koronkowa, w..białych rękawiczkach”, ot, przyglądamy się, obliczamy, ostrożnie wypyujemy tu i tam, sprawdzamy tysiące drobiazgów. Mam prawo przypuszczać, że nasz główny obiekt zainteresowania nie czuje się zagrożony. Jeszcze nie.

- Sądysz, że Suwalscy nadal mocno siedzą w siodle?

- Widzisz - Horny uśmiechnął się, w tym uśmiechu było sporo goryczy - aby rozpocząć formalne śledztwo, musimy mieć całą sprawę zapiętą na wszystkie guziki. Bo inaczej znowu nic z tego nie będzie. Czy ty myślisz, że ludzie nie widzieli tych willi, samochodów, rzucania pieniędzmi na prawo i lewo? Od sześciu lat przychodzą listy, nie tylko anonimowe. Pytają się nas: dlaczego, kiedy jeden żyje z renty w wysokości półtora tysiąca złotych, drugi ma miliony? To jest oczywiście zestawienie krańcowe i demagogiczne. Więc pytają też: czemu kwalifikowany robotnik zarabia siedem, osiem tysięcy, niechby i

dziesięć, a taki Jacek Suwalski, nie robiąc nic, dostaje od tatusia trzydzieści tysięcy miesięcznie. - Ile?!

- Trzydzieści. Każdego pierwszego. Obserwuję to towarzystwo od pewnego czasu. Tam jest drugi taki chłoptaś, Stefan Mrowiec, syn ajenta od różnych barków gastronomicznych i kawiarenek. Młodzieniec wielce obiecujący, dwadzieścia pięć lat i wciąż na studiach, których jakoś nie może skończyć. I po co ma kończyć, kiedy ojciec daje mu „pensję” za nicnierobienie. Albo Waldek Kosański. Tata, żeby nie wpaść na kozuszkach, którymi spekulował na lewo, szybko się wycofał z branży. Teraz ma kilka warsztatów stolarskich i ślusarskich, inni na niego pracują, on tylko jeździ, zbiera większe zamówienia, kombinuje, wyslizguje się jak węgorz inspektorom finansowym, a synkowi płaci grube hopy za to, żeby się bawił.

Milczeli chwilę, Szczęsny chodził po pokoju, rozmyślając nad tym, co usłyszał.

- Dla mnie od razu było jasne - ciągnął dalej Jerzy - że źródło potężnych zarobków Suwalskiego tkwi albo w przemyśle, albo w spekulacjach złotem czy walutą. Może być zresztą i jedno, i drugie. Współpracuję trochę z komendą w Babińcach i w Suwałkach. Powolutku, aby gościa nie spłoszyć, doszedłem już do konkretów. Wiem na przykład, że nie tak dawno przemycił za granicę kilka brylantów sześćcio- i półkaratowych, bardzo cenna rzecz, stary szlif. Najprawdopodobniej, bo jeszcze nie mam potwierdzenia, przewiozła to

kobieta, z którą często pokazuje się Jacek w lokalach i na prywatnych przyjęciach. Młoda, bardzo ładna dziewczyna wiadomej profesji, ale taka „najwyższej klasy”. I ceny.

- Co jeszcze wiesz o Jacku?

- Ostatnio coraz więcej pije. Dosłownie zalewa się alkoholem. Na razie jego organizm jakoś to wytrzyma, ale jak tak dalej pójdzie, ojciec; będzie musiał coś z nim zrobić. Kuracja odwykowa, sanatorium...

- Rozmawiałeś z nim kiedyś?

- Z Jackiem? Raz. Zupełnie przypadkowo, przy czym on nie wiedział, kim jestem. Wypiliśmy parę wódek przy barze, pogadaliśmy jak przygodni kompani od kielicha. Inteligentny chłopak.

- Ale chyba nie ma żadnych śladów jego powiązań z Kuniczewskim. Jeżeli stwierdzę ostatecznie, że nie znali się, nie spotykali na żadnym terenie, będę musiał przestać się nim interesować.

*

Szczęśny wrócił do Warszawy i zrelacjonował szefowi to, czego się dowiedział. Wbrew jego przewidywaniom, Daniłowicz nie powiedział: „A widzisz, mówiłem, żeby nie jechać!” Przeciwnie, polecił podtrzymywać kontakt z Hornym i dowiadywać się o Suwalskich. Skwitował to niejasno:

- Nigdy nie wiadomo, co się może przydać w tej cholernej sprawie.

- Był zły, wciąż nie mieli żadnych wyników, nic o co można by ręce zacześcić.

Zadanie jakie Szczęśny otrzymał na naradzie sprzed paru dni, było właściwie nierealne. Jak bowiem odnaleźć właściciela broni palnej, która nigdy nie była rejestrowana, nie używano jej w żadnym wykrytym przestępstwie, a w dodatku wyprodukowano ją przed kilkadziesiąt laty? Szukanie przysłowiowej igły w stogu siana wydawało się łatwiejsze, jeżeli oczywiście założyć, że ktoś tę igłę w siano włożył.

Szczęśny zabrał się do roboty po swojemu, to znaczy bez żadnego planu, wyłącznie „na nosa”. Liczył przede wszystkim na swych znajomych, przyjaciół, dawnych kolegów, którzy od pewnego czasu znajdowali się na emeryturze, ale w pierwszych powojennych latach tworzyli, organizowali i rozwijali jednostki milicyjne po miastach, wsiach i osiedlach. To byli pierwsi komendanci posterunków, młodzi robotnicy i miejscowi chłopci, prości, odważni, uczciwi. Wielu nie przeżyło, wielu zginęło z bratobójczych rąk. Kto pozostał, ten mógł dzisiaj wieczorami snuć opowieści o tamtych dniach i nocach, kiedy było im ciężko, ponad ludzkie siły.

Ci starsi już dziś, czasem po prostu starzy ludzie, wykazywali zadziwiającą pamięć twarzy, nazwisk, miejscowości, rzadko się mylili, to była przecież ich młodość, ich walka i ich zwycięstwo.

Do tych starych towarzyszy - milicjantów postanowił dotrzeć i poprosić o pomoc. Niektórych znał, o innych słyszał, byli członkami ZBoWiD-u, bo większość przeszła do pracy w milicji prosto z szeregów Armii Ludowej lub z wojska. O kombatantach wiedział sporo

Daniłowicz, sam przecież rozpoczął służbę w milicji jako partyzant AL. Do propozycji Szczęsnego odniósł się ze zrozumieniem, chociaż było w tym i sporo sceptycyzmu. Dawny kapral czy plutonowy mógł pamiętać pseudonimy i nazwiska członków bandy, których tyle wówczas grasowało w kraju, jakże jednak żądać, aby pamiętał ich broń, markę, kaliber... Zresztą bandy nie posługiwały się tego typu pistoletami. Mieli parabelki, tetenki, bergmany i co tam jeszcze. O gabbett fairfaxie nikt nigdy nie wspominał.

Rozdział 7

Stefan Mrowieć spojrział przez szyby samochodu, dodał gazu. Na dworze ociemniało się, w do datku zaczął znowu siąpić drobny deszcz. Biały fiat 132 rozpryskiwał kałuże na drodze, zresztą nie było na niej innych pojazdów. Pusto, cicho i mroczno.

Sceneria jak na początku kryminalnego filmu - pomyślał, wymijając większe rozlewisko. Musiało tutaj padać od kilku dni.

Przejechał przez wioskę, jakiś zmoczony pies popędził za samochodem z wściekłym ujadaniem, ale szybko zrezygnował i, podtulając ogon, zawrócił na swoje podwórko. Jezioro, ledwie widoczne za bezlistnymi krzewami, leżało senne. Wreszcie dostrzegł willę i ucieszył się. Miał już dość tej jazdy.

Nie był tu od sierpnia. Zobaczył, że dom otacza teraz wysoki parkan, przzerwany od frontu bramą. Była otwarta. Wjeżdżając na dziedziniec, dostrzegł błękitnego forda-mustanga i światła w oknach myśliwskiego pokoju.

- A więc jest! - mruknął do siebie. Przyszło mu na myśl, że być może jeszcze dzisiaj „mustang” będzie należeć do niego. Wysiadł z wozu, zbliżył się do przedmiotu swoich marzeń i bezwiednie pogładził niebieski lakier. Zgasił silnik fiata, popatrzał na otwartą bramę, wyjął kluczyki ze stacyjki. Potem zamknął wóz i podszedł do drzwi wejściowych. Chciał zadzwonić, ale zobaczył, że są otwarte. W hallu zrzucił płaszcz i czapkę, przygładził włosy przed lustrem. Był podniecony i szczerze pożałował, że nie znajdują się tu we trójkę. Piotra Holdena dawniej zaledwie tolerował, teraz jednak wolałby wejść z nim razem, zasiąść tak jak wtedy w wygodnych fotelach, przy kieliszku koniaku. A, zresztą! Umarłymi nie warto zaprzącać sobie głowy.

Jacek Suwalski siedział dokładnie w tym samym czarnym skórzanym „klubie” z kieliszkiem w roku. Kiedy się odezwał, Mrowiec zorientował się, że tamten jest już pijany.

- Jak się masz, stary! - rzekł, sadowiąc się po drugiej stronie dużego stołu. - No, cóż. Mamy dzisiaj dwudziesty szósty listopada. Jestem, słucham twojej relacji o zbrodni doskonałej.

Mówiąc to, uśmiechał się trochę złośliwie, bo ani przez chwilę nie wierzył w jej popełnienie. Ciekaw był tylko, w jaki sposób Jacek

przyzna się do przegranej. Wiedział, że nie przyjdzie mu to łatwo. Mimo to postanowił twardo domagać się obiecanego forda-mustanga, nawet gdyby w zamian miał podarować tamtemu swojego fiata.

- Witam cię, Stefan. - Głos Jacka był trochę zachrypnięty, ale słowa padały wolno, wyraźnie, jakby starannie odmierzane. - To ładnie z twojej strony, że przyjechałeś Nalej sobie, na coV masz ochotę. Jeżeli jesteś głodny, każę zaraz podać kolację.

- Masz tutaj lokaja? - roześmiał się Mrowiec.

- Nie mam lokaja. W sąsiednim budynku mieszka małżeństwo Nowaków, pilnują willi, a ona dobrze gotuje. Może źle się wyraziłem... więc poproszę tę panią, aby nam przyniosła coś do jedzenia.

- Chętnie zjem, bo rzeczywiście zgłodniałem. Suwalski podniósł się z fotela, wyprostował, widać było, że stara się utrzymać równowagę. Trochę sztywnymi krokami wyszedł z pokoju. Mrowiec patrzył za nim już bez uśmiechu, zdezorientowany. Jacek dziwnie się zmienił. W wychudłej, ziemistej twarzy oczy paliły mu się niezdrowym blaskiem, mówił i ruszał się jak automat albo jak człowiek chory, który mimo zakazu lekarza wstał z łóżka.

Kiedy wrócił, Stefan rzekł ze zdziwieniem:

- Słuchaj, co się z tobą zrobiło? Masz gorączkę. Pewnie grypa cię bierze albo angina. Nie trzeba było przyjeżdżać. Mogłeś do mnie zadzwonić, przełożylibyśmy to spotkanie na inny dzień.

Suwalski nic nie odrzekł. Siedzieli jakiś czas w milczeniu. Potem niemłoda, miło uśmiechnięta kobieta przyniosła dużą tacę z jedzeniem i termos z kawą. Mrowiec z przyjemnością zajadał gorącą pieczeń z frytkami, popijał Sherry La Ina, chociaż białe hiszpańskie wino nie pasowało do wołowiny, ale lubił jego smak. Jacek nie ruszył jedzenia, nalał sobie tylko kawy.

Wreszcie gość odsunął talerz, sapnął z zadowoleniem i dopiero wtedy zauważył, że gospodarz nawet nie tknął kolacji.

- Dlaczego nie jesz? - spytał. - Doskonała pieczeń, krucha i smaczna, z pieczarkami. Weź sobie chociaż kawałek.

- Nie mam ochoty. Chcesz kawy?

- Tak, oczywiście.

Suwalski nalał mu kawę, wyniósł tacę z resztkami do hallu, zamknął drzwi i stał przez chwilę, nadśluchując. Kiedy usłyszał, że Nowakowa zabiera tacę, podszedł do niskiej szafki, stojącej w kącie pokoju, wyjął z niej czarną teczkę i położył na stole.

- Trzy miesiące temu - zaczął znowu tym powolnym, ale wyraźnym głosem - założyłem się z tobą i Piotrem, że w okresie od tamtej nocy do dzisiaj dokonam zabójstwa, którego nigdy nie da się wykryć. Że będzie to zbrodnia doskonała w najklasycywniejszym wydaniu. Przyjęliście zakład. Zgadza się?

Mrowiec skinął głową. Sposób mówienia, wygląd Jacka zaczynał go drażnić. Wygłupia się - pomyślał.

- Powiedzieliśmy sobie, że się we trójkę spotkamy. Tutaj i dzisiaj. Niestety, jesteśmy już tylko we dwóch. Nie szkodzi, ja się nie wycofałem z zakładu.

- Człowieku, chyba nie chcesz mi wmówić, że... - wybuchnął Stefan, zaniepokojony na dobre.

Ale tamten mu przerwał:

- Zakład wygrałem.

Zapanowało milczenie. Mrowiec spoglądał na Jacka, próbując zorientować się, czy to żart, czy też wpływ alkoholu. Wciąż nie wierzył, że zbrodnia została popełniona.

- Nabierasz mnie - burknął. - Albo jesteś fest zalany i bredzisz.

- Nie wierzysz?

- Jasne, że nie!

- Tak przypuszczałem. Dlatego zabezpieczyłem się. Sądzę, że dostatecznie.

Sięgnął po czarną teczkę, położył sobie na kolanach i otworzył. Mrowiec patrzył na niego i nagle obleciał go strach. Zdawało mu się, że Jacek jest po prostu chory psychicznie, a z takimi nigdy nie wiadomo, co zrobią w następnej minucie. Na wszelki wypadek odsunął się nieznacznie z fotelem, rozejrzał dokoła. W zasięgu ręki miał gablotę z nożami myśliwskimi, ale była zamknięta. W razie czego rozwałę szkło, wezmę jakiś nóż i będę się bronił - postanowił. Przypomniało mu się, że

jest przecież to małżeństwo Nowaków... Czy zdążyłby dobiec do drugiego budynku?

Suwalski wyjął z teczki jakieś papiery i miedziany łańcuszek.

- Proszę - pokazał ręką. Stefan musiał podnieść się, zbliżyć i pochylić nad teczką. Nerwy miał napięte, uważał na każdy ruch tamtego, gotów błyskawicznie odskoczyć. - Patrz, to jest nekrolog Zbigniewa Kuniczewskiego, zamieszczony w dwóch warszawskich gazetach. Ukazał się w piątek dwudziestego trzeciego października. W dniu pogrzebu. Ja zabiłem tego człowieka.

- Jak?

- Z pistoletu. Cztery strzały.

- W mieszkaniu?

- Nie Na ulicy. Wywołałem go telefonicznie.

- Znałeś go?

- Tak i nie. Wytypowałem go... z książki telefonicznej. Z tej - wskazał na czerwono oprawną książkę, leżącą obok aparatu - jeżeli cię to interesuje. Obserwowałem go przez dłuższy czas. Poznałem więc go, w pewnym sensie, chociaż on mnie nie znał i chyba w ogóle nie wiedział o moim istnieniu. Zadzwoiłem we wtorek, dwudziestego, późnym wieczorem. Przedstawiłem się jakimś tam nazwiskiem, powiedziałem, że jestem w Polsce przejazdem, z Londynu, i mam dla niego przesyłkę od jego kolegi, który mieszka w Leicester. Wiedziałem, że ma takiego kolegę czy krewnego, znałem imię i nazwisko, bo dostawał stamtąd listy.

Parę razy otworzyłem jego skrzynkę i natrafiłem na te z Anglii. Kuniczewski najpierw prosił, żebym wstąpił do niego do domu, ale wykręciłem się, że nie zdążę. Że czekam na ulicy, niech przyjdzie. Spytał, jak się poznamy, odparłem, że siedzę w niebieskim fordzie-mustangu. Był zdziwiony, ale wymieniłem przecież nazwisko kogoś z jego znajomych, więc mi uwierzył.

- I wyszedł?

- Tak. Czekałem na rogu przy kiosku, wóz stał trochę dalej. Było pusto, prawie północ. Zobaczyłem, że idzie. Strzeliłem cztery razy. Widziałem, że upadł. Naderwałem ścięgno w rękę, bo ten pistolet ma cholerny odrzut. Pobiegłem do samochodu, odjechałem. Z mostu nad Wisłą” wrzuciłem pistolet do wody. To wszystko. Ale ponieważ sądziłem, że mi nie uwierzysz, więc ściągnąłem Kuniczewskiemu z ręki miedziany łańcuszek z oznaczeniem grupy krwi. Właśnie ten.

Wziął go do ręki, chwilę przyglądał się wygrawerowanym literom, potem podał Stefanowi.

Mrowieć zawahał się. Wszystko, co usłyszał, było tak niesamowite, że poczuł dreszcz grozy. Przemogła ciekawość. Dotknął miedzianej bransoletki, położył ją sobie na dłoni. Zobaczył wyryte: „0 - Rh plus”.

- Z trupa zdjęłeś - mruknął i rzucił łańcuszek na stół.

- Chyba jeszcze wtedy żył - sprostował Jacek. - Czy słyszałeś w telewizji komunikat?

- Prawda! To właśnie o tym. - Popatrzał na stół.

- Minęło trzydzieści sześć dni od zabójstwa. Nigdy nie znajdą sprawcy. Popełniłem zbrodnię doskonałą, jakiej nikt nigdy jeszcze nie popełnił. Żadnego, absolutnie żadnego motywu! Żadnych powiązań z ofiarą, żadnych kontaktów. Szukają z pewnością wśród jego znajomych, kolegów, krewnych. Nie znajdą łańcuszka. Nie znajdą pistoletu, bo leży na dnie Wisły, zagrzebany w mułe. Może wyłowi go po latach jakaś pogłębiarka, ale będzie to już wtedy szmelc nie do rozpoznania.

- Skąd wzięłeś bron?

- To moja rzecz.

Sięgnął po butelkę, nalał sobie pełną szklanekę. Mrowiec zauważył, że była to mocna Black and White, widać koniak już mu nie wystarczał.

- Słuchaj - zaczął niepewnie - przecież ja, zakładając się z tobą, wcale nie brałem tego wszystkiego na serio! Holden też nie. Droczyliśmy się, błaznowaliśmy w pijanym widzie... A ty - ty już wtedy chciałeś naprawdę?

- Tak.

- Ale dlaczego? Człowieku, przecież nie zabija się kogoś dla idiotycznego zakładu! Czyś ty rozum stracił? Mało to razy gadaliśmy to i owo, przerabialiśmy cały świat na dobre i na złe, potem szliśmy spać i rano nikt z nas już nie pamiętał, o co chodziło. Ja rozumiem: bawić się, rwać dziewczyny, chlać wódę, robić dobre interesy. Ale zabijać?!

Suwalski milczał. Jego blada twarz z zaciśniętymi wargami wyglądała jak maskara, jak majak z niedobrego snu. Mrowieć zerwał się i chodził szybko po pokoju, obijał się o sprzęty, był skołowany, wściekły i potężnie wystraszony.

- Czego ci brak? - krzyczał, wymachując rękami. - Czego ci jeszcze mało? Masz dom, forszę, nie pracujesz, żyjesz jak król, ojciec wtyka ci? pieniądze, dziewczyny przylatują na każde skinienie, możesz do końca życia leżeć do góry brzuchem i nic nie robić! Po co go zabiłeś?

- Żeby wam pokazać, że potrafię.

- I będziesz wisiał! Prędzej czy później dojdą do ciebie, przekonasz się.

- Chyba że ty doniesiesz. Ale wtedy opowiem jak to się zaczęło. Będziesz obwiniony za podżeganie do zbrodni.

- Ty! - Mrowieć zachwiał się, jak od ud; rżenia. - Ty podły sk...! - Zaczął się jękać, bełkotać, czuł, że krew gwałtownie uderzyła mu do głowy.

Suwalski przyglądał mu się złośliwie.

- A co, nie było tak? - spytał z niewinną miną.

Nagle Mrowieć uspokoił się. Usiadł w fotel zapalił pall-malla, zaciągnął się głęboko. Potem odrzekł stanowczym tonem:

- Nie. Nie przypominam sobie żadnego tak idiotycznego zakładu. Masz na to świadków? Nie masz. Holden nie żyje. A więc?

- To prawda, że nie miałem świadka. Do tej chwili. Teraz mam. Cała nasza rozmowa jest nagrywana. A dowcip polega na tym, że nie wiesz, gdzie umieściłem magnetofon.

- Ścierwo!

- Umiesz tylko rzucać się i wymyślać. Ja potrafiłem dużo więcej. Nie doceniasz mnie! Ja już teraz nie mam sobie równego. Gdybym chciał, mógłbym taką zbrodnię powtórzyć. I znowu bezkarnie.

- Wiesz, co ty jesteś? - Mrowiec mówił szeptem, twarz mu się skurczyła ze złości. - Wariat. Jesteś chory umysłowo, Jacku. Powinni cię zamknąć w domu dla czubków. I pewnie wkrótce tak będzie. Na co ci przyszło, chłopie! W tak młodym wieku...

Przez twarz Jacka przeleciał błysk nienawiści.

- Jestem zupełnie zdrow - odparł. - Żaden lekarz nie stwierdzi u mnie choroby psychicznej. Co najwyżej - roześmiał się - każe mi przestać pić.

Milczeli dłuższy czas. Mrowiec ukradkiem rozglądał się po pokoju, szukając wzrokiem magnetofonu. Gdzie ta cholera go schowała? - zastanawiał się. - Pewnie w tej szafce. Albo w gablocie.

Podniósł się, pochodził z kąta w kąt, stanął przy gablocie z myśliwskimi nożami. Znając możliwości finansowe Jacka, można było spodziewać się jakiegoś zagranicznego cuda najnowszej elektroniki, ukrytego w pudełku od zapalek albo w główce od szpilki. Być może magnetofon znajduje się w salonie albo na górze, w którejś sypialni.

Postanowił wyjechać i powrócić tutaj pod nieobecność gospodarza, aby dokładnie przeszukać cały dom. Prędko jednak zrezygnował z tego zamiaru. Przecież z pewnością Jacek zabierze taśmę ze sobą do Warszawy.

- Kiedy wracasz? - spytał obojętnie.

- Nie wiem. Może jutro, może za tydzień.

- I co tu będziesz robił? Zwariować można na takim pustkowiu. Żeby chociaż ta Nowakowa była młodsza i ładniejsza. - Spojrzał na zegarek. Dochodziła siódma wieczór. - No, w takim razie ja cię pożegnam. Muszę być jutro w Warszawie. Zakład wygrałeś. Gratuluję...

Suwalski podniósł na niego przekrwione oczy. Milczał. Nalał sobie jeszcze wódki. Mrowieć obserwował go, stojąc wciąż przy gablocie, czujny i podniecony całą rozmową. Był wysoki, silny, z łatwością dałby sobie radę z drobnym, słabym fizycznie Jackiem, zwłaszcza że tamten miał już Wfi krwi sporą dawkę alkoholu. Jednakże Stefan bał się ludzi psychicznie chorych. Bał się ich od małego dziecka, nie chciał lub nie potrafił zrozumieć, że to są chorzy - dla niego byli to tylko „wariaci”.

- I pomyśleć, że kiedyś byliśmy dobrymi kumplami - mruknął na wpół do siebie. - Łaziliśmy po knajpach, bawiliśmy się... Co się z nami właściwie zrobiło?

Suwalski wzruszył ramionami.

- Sam powiedziałaś, że mamy wszystko, co można mieć - odparł.

- Może to dlatego?

Wyszedł do hallu, nie czekając na odpowiedź. Włożył płaszcz i wrócił, aby Jacka pożegnać. Ale tamten miał przymknięte powieki i głowę opartą o miękką, czarną skórę fotela. Oddychał spokojnie, jakby spał. Mrowieć powstał chwilę, powiedział głośno-

- Do widzenia! - I wyszedł.

Jazda do Warszawy zmordowała go, w domu znalazł się dopiero o świcie. Przespał całe przedpołudnie, a kiedy się zbudził i przypomniał sobie wszystko, o czym poprzedniego dnia się dowiedział, poczuł, że jest chory. Bolała go głowa, trzęsły jakieś dreszcze, najchętniej zakopałby się z powrotem w pościeli. Na tydzień. Może przebudzi się wtedy ze świadomością, iż był to tylko idiotyczny sen.

Ale nie potrafił już zasnąć. Leżał i zastanawiał się, - co robić. Gdyby mógł się kogoś poradzić... Nie miał takiej osoby. Rodzice w ogóle nie wchodzili w grę, zajęci wyłącznie robieniem pieniędzy, zresztą ojciec mógł go zwymyślać, a co gorsza, odmówić gotówki. Siostra? Stefan znał ją na tyle dobrze, że natychmiast odrzucił tę myśl.

Więc kto? Miał wielu kolegów od popijawy, od wycieczek samochodami do ekskluzywnych restauracji, ukrytych gdzieś w lasach czy w pobliżu stolicy. Jednakże nie byli to partnerzy do rozmowy o takich sprawach. Dziewczyny, które znał i z którymi się bawił, budziły jeszcze mniej zaufania. Rzecz była gardłowa, mogło grozić więzienie.

Pozostawał tylko Kosański. Głupi, ale sprytny cwaniaczek. Co ważniejsze, Kosański miał na sumieniu różne drobne fałszerstwa, o których Mrowiec wiedział. Trzymał go więc w szachu.

Wstał, narzucił ciemnozielony szlafrok z puszystej angory, wsunął nogi w pantofle i poczłapał do gabinetu ojca, gdzie stał telefon. Nakręcił numer. Odezwała się pani Kosańska, „szczwana baba”, jak ją po cichu nazywał. Znała się na interesach co najmniej tak dobrze jak jej mąż, a co najmniej dwa razy mocniej kochała pieniądze.

- Dzień dobry pani, mówi Stefan - odezwał się uprzejmie - czy zastałem Waldka?

- Owszem, zastał pan. Nieroby najczęściej siedzą w domu - odparła cierpko i poszła zawołać syna, z którym od lat toczyła wojnę.

Mrowiec, nie wdając się w dyskusje przez telefon, kazał Waldemarowi przyjechać do siebie, i to jak najprędzej. Odmówił podania przyczyny, czym zaintrygował tamtego i skłonił do wyjścia z mieszkania. Kosański przeważnie nudził się, gdyż nie potrafił sam znaleźć sobie przyjemnego zajęcia (innych nie uznawał), a koledzy nie zawsze mieli ochotę na wspólne zabawy.

Mrowiec ubrał się, zjadł coś naprędce, przygotował kawę i zwykły winiak, gdyż z Kosańskimi nie robił ceregieli. Nie będzie chciał pić, to nie. I tak ma u siebie w domu cały magazyn ekstra-koniaków i wódek.

Waldemar jednak nalał sobie winiaku, posmakował, uniósł brwi w górę, ale wypił. Rozwalił się w fotelu, umieścił papierosy i zapalniczkę

w zasięgu ręki, potem spojrzał na gospodarza błękitnymi oczami niewiniątka.

- No? - mruknął zachęcająco. - W czym rzecz?

Stefan przyglądał mu się nieufnie i wciąż się zastanawiał, czy aby nie przecenia umysłu, a zwłaszcza sprytu swego gościa. Powie mu, obaj nic nie wymyślą, ale słowa, już padną i nic ich z pamięci nie wymaże. Przypomnił sobie jednak, że to jest jedyny człowiek, z którym - chyba! - może o tym porozmawiać. Trudno, zaryzykuje.

- Wahasz się - zauważył Kosański. - To naprawdę coś poważnego?

- Tak. Krótko mówiąc, chodzi o morderstwo. Waldemar upuścił łyżeczkę od kawy, upadła z brzękiem na stół.

- Czyś ty z byka spadł? - szepnął. Obejrzał się na drzwi, były zamknięte. - Zabiłeś kogoś?

- Nie ja. Zabił Jacek.

- Suwalski?

- Tak.

- Pobił się z kimś czy potracił tym swoim..mustangiem”?

- Zastrzelił.

Kosański osłupiał, potem roześmiał się urągliwie.

- Chyba z palca! Nabrał cię i rechocze teraz pewnie z Jolką. Stary, przecież on nie ma broni. Dałeś się zrobić jak idiota.

Mrowiec zrozumiał że musi opowiedzieć wszystko. Rzeczywiście, żaden z kumpli nie uwierzyłby w to, że któryś z nich zamorduje

człowieka. Takie rzeczy nie zdarzały się w tym środowisku. Ich dewizą było robić szmal, i to wielki. Mieć, wydawać, bawić się. Ale zabijać?

- Więc powiem ci jak było.

Waldemar słuchał wpierw jeszcze z rozbawieniem, potem spoważniał i zbladł. Znał Jacka dobrze. Znal jego upór, chęć górowania nad innymi, jego popisywanie się i ekstrawagancję. Uwierzył w to, co Stefan mówi. Pierwszą myślą było: nie dać się wrobić w żadne awantury, odskoczyć jak najdalej od tych dwóch, co wymyślili taki kretyński zakład. Zaraz jednak przyszła refleksja. Całe środowisko wie, że się z nimi od łąt przyjaźni. Jeżeli Suwalski powie, że - owszem, Kosański znał treść zakładu, był przy tym, to nikt mu nie uwierzy, że dowiedział się dopiero dzisiaj.

- Bałwany! - syknął gniewnie. - Nic głupszego nie mogliście wymyślić. Czekaj... ja przecież byłem wtedy w willi! To wszystko łągarstwo, nie przypominam sobie żadnego zakładu.

- Po pierwsze, byłeś zalany w trupa. Po drugie, Jacek wysłał cię na górę i spałeś grzecznie do rana. A myśmy siedzieli gdzieś chyba da czwartej, we trójkę.

- Kto był trzeci?

- Holden.

- Dobrało się trzech imbecylów. Słuchaj, a jeżeli on wcale nie wyrzucił pistoletu do wody? Jeżeli go jeszcze ma? Razem z tym łańcuszkiem, na pamiątkę... Swołocz. Żeby tak zgłupieć. Gzy ty zdajesz

sobie sprawę, co teraz będzie? Milicja na pewno jest już na... tym, no, jak to się mówi? Na tropie. Posadzą wszystkich, którzy byli tamtej nocy. Dobiorą nam się do skóry, zaczną robić rewizje po domach, jasny szlag, przecież ja muszę o tym powiedzieć ojciec!

Zerwał się, zaraz jednak usiadł z powrotem.

- Nie radzę - zauważył Mrowiec. - Starzy wpadną we wściekłość, zaczną likwidować interesy, odbiorą nam forszę. Albo prysną za granicę. Pójdiesz do roboty za parę tysięcy zetał miesięcznie? Szczerze mówiąc, ty przecież nic nie umiesz. A ja - wzruszył ramionami - student drugiego roku... Zresztą już mnie wylali. Nawet się nie dziwię, ile lat można „studiować”?

Kosański gryzł nerwowo palce. Tak, Stefan miał rację. Powiedzieć rodzicom, to znaczyło wywołać straszliwy popłoch, który miałby nieobliczalne konsekwencje.

- Więc co proponujesz? - mruknął.

- Żebyśmy razem zastanowili się nad sytuacją. Nie wiem jeszcze, co powinniśmy zrobić. Jest, oczywiście, pewna szansa, że milicja nigdy nie dojdzie do osoby zabójcy. No bo w jaki sposób miałyby dojść? Jacek nie znał tamtego, nigdy go nie widzieli w jego towarzystwie, nie mieli żadnych wspólnych interesów, nie są krewnymi. Kto zabija człowieka bez żadnej przyczyny? Obcego, o którym prawie nic nie wie? Zdarza się tak, ale w innej scenerii. Napad rabunkowy” gdzieś w ciemnej ulicy, kiedy złodziej boi się, że ofiara zacznie krzyczeć albo że go rozpozna,

więc wali ją w łob rurką czy łomem. Co jeszcze? Strzał na polowaniu. Może wypadek samochodowy po pijanemu, kiedy kierowca nie zważa na nikogo i zmiata wszystko, co na drodze. Ale taki zakład, takie zabójstwo może się zdarzyć tylko raz. Rzecz bez precedensu. Więc, na dobrą sprawę, Jacek znajduje się poza wszelkimi podejrzeniami. W każdym razie tak sądzę.

- Nie. Skąd wiesz, czy ktoś go nie widział, wtedy w nocy? No i druga możliwość: że on sam się gdzieś wygada. A ponieważ żaden z nas dwóch nie pójdzie w jego ślady...

- Co masz na myśli? - przerwał Mrowiec zaniepokojony.

- Dobrze, powiem otwarcie. Nie zabijemy Jacka. Jasne?

- Pewnie, że nie - burknął, chociaż gdzieś w głębi duszy myśl taka jawiła się i znikła.

- Więc ponieważ go nie zabijemy, musimy mu odebrać ten cholerny łańcuszek, bo to jest rzeczywiście mocny dowód przeciwko niemu. I taśmę z nagraniem waszej rozmowy. No i trzeba przeszukać dom, bo nie dałbym głowy że on tego pistoletu gdzieś nie schował. Skąd wziął broń?

- Nie chciał powiedzieć.

- Zdradził chociaż, jaki kaliber, marka?

- Nie. Ale co to może być, na pewno parabellum, tetenka albo walther. Musiał zdobyć jakąś typową broń, do której łatwo o naboje.

Czekaj, teraz sobie przypomniałem. On mówił, że ten pistolet ma mocny odrzut i naderwał mu ścięgno w rękę.

- Odrzut? To chyba parabellum, dziewiątka. Zresztą, nie wiem. Jak myślisz, gdybyśmy wzięli Jacka w obroty, powiedziała by coś więcej? Gdyby go przycisnąć, ale tak fest?

- Wykluczone. A ponieważ nie mamy pewności, że broń wyrzucił...

- No tak. Z wariatami wszystko możliwe. Powystrzelały nas jak kaczki.

Zaczęli omawiać szczegóły swego planu i doszli do wniosku, że ma ogromne luki. Wspomniane rekwizyty mogły znajdować się w kilku miejscach: w mieszkaniu Jacka na Sadybie, w willi niedaleko Babiniec, w jednej z dwóch dacz nad Jeziorem Czarnym, a wreszcie - chociaż to było wątpliwe - w pałacyku Artura Suwalskiego. Szukanie w tym ostatnim wydawało się prawie niemożliwe.

.Postanowili więc zacząć od warszawskiego mieszkania. Nie było to proste, wiedzieli, że Jacek w obawie przed włamaniem założył bardzo skomplikowane zamki zagraniczne. Trzeba było przeprowadzić obserwację domu, upewnić się, że gospodarz wyjechał, i to nie na kilka godzin, ale co najmniej na dwa, trzy dni. Kosański nie wierzył, że Jacek pozbył się broni. Jeżeli jednak znajdą i zabiorą pistolet, łańcuszek i taśmę, milicja nie uwierzy w winę Suwalskiego, nawet gdyby sam się przyznał do zabójstwa.

*

Okazja nadeszła dosyć prędko. Artur Suwalski wysłał syna w interesach na parę dni do Krakowa. Miał tam trochę znajomych, drobne płatki, ale przydatne do pokątnych transakcji. Poleciał Jackowi skontaktować się również z pewnym obrotnym „kożusznikiem” w Nowym Targu, rozejrzeć się, co warto kupić lub sprzedać, a co się nie opłaca, wreszcie miał też doskoczyć do Zakopanego i tam zakończyć pracowita podróż w interesie.

Tak się złożyło, że Jacek sam powiadomił Mrowca o swoim wyjeździe, a co było najdziwniejsze, zaproponował mu, aby na ten czas zamieszkał w jego domu.

- Ale po co? - spytał Stefan nieufnie. Byłoby to za dobrze, wietrzył jakąś zasadzkę i wolał się upewnić. - Tyle razy wyjeżdżałeś i żaden stróż nie był ci potrzebny. Co tam chowasz takiego cennego?

- Nic prócz tego, co zawsze.

- Więc o aa chodzi? Przecież nie będę sterczał w mieszkaniu przez cały tydzień i gapił się w telewizor. Wyjdę, źle zamknę drzwi, jakiś łobuz się włamie i potem będziesz miał do mnie pretensje.

Suwalski milczał chwilę. Siedzieli w kawiarni, znowu jak gdyby zaprzyjaźnieni, bo nie potrafili już zerwać kontaktów, zbyt wiele jeden wiedział o drugim. Byli sobie potrzebni, choć może nie zdawali sobie z tego sprawy. Należeli wciąż do „środowiska”, poza nim czuli się wyobcowani.

- Nie chodzi o włamanie - powiedział wreszcie. - Mam dobre zamki, a ty umiesz się z nimi obchodzić. Ale w czasie mojej nieobecności może się zdarzyć, że... no, że zjawi się milicja. Jeżeli zapytają o mnie, powiesz że wyjechałem, nie wiesz dokąd. I dasz mi znać przez Jolkę. Ona będzie wiedziała, gdzie aktualnie jestem.

Mrowiec pokiwał głową. Nie chciało mu się nawet wysilać na złośliwości, zabrnęli za daleko.

- Sądysz, że mają cię na oku? Na jakiej podstawie?

- Nie ma podstaw. Żadnych. Jest tylko jedna możliwość: ktoś mnie zobaczył wtedy, w nocy, na Moniuszki. Ktoś, kto mnie zna.

- Gdyby tak było, już byś siedział i czekał na rozprawę.

- Niekoniecznie. Może ten człowiek zwleka, zastanawia się. Rozważa, czy mu się to opłaci. Dlatego jestem również przygotowany na szantaż. Do tej pory nikt nie przyszedł ani nie telefonował, ale kiedy wyjadę, może akurat się zgłosić.

- Jeżeli to jest człowiek, który cię zna, musi być z naszego kręgu. Z takim można się dogadać. Zapłacić. Tylko że może będziesz wtedy musiał płacić do końca życia. Słuchaj, a jeżeli on pójdzie do twego ojca?

- Stary wyrzuci go za drzwi. Nie uwierzy. Nie, on może przyjść tylko do mnie. Zresztą wie, że w razie czego ojciec nie dopuści do aresztowania. Musiałbym wtedy wiać za granicę.

- Jeżeli ktoś przyjdzie w czasie twojej nieobecności, co mam mu powiedzieć? On może mnie również znać.

- Może, ale z tobą nie będzie gadał, bo pomyśli, że ty o niczym nie wiesz. Spyta, kiedy wrócę i pójdzie. I - powiem ci szczerze, że prędzej spodziewam się takiego człowieka niż milicji. Bo gdyby widział mnie jakiś obcy przechodzień, gdyby podał nawet, przybliżony rysopis, numer samochodu i tak dalej, to już dawno milicja miałaby mnie w rączkach. Dzisiaj trzeci grudnia, przeszło miesiąc upłynął od zabójstwa. Milicja nic o mnie nie wie. Uważam, że w dziewięćdziesięciu procentach na sto szantażysta przyjdzie do mnie, a tylko w dziesięciu - do milicji, kiedy dostatecznie rozważy wszystkie pro i contra.

- Pewnie masz rację. Kiedy wyjeżdżasz?

- Jutro w południe. Dać ci teraz zapasowe klucze, czy przyjdiesz jutro rano?

- Lepiej przyjdę rano. Przyniosę sobie trochę rzeczy, bieliznę. Lodówkę masz pełną czy pustą?

- Barek jest pełny, a lodówka... nie pamiętam. Pewnie coś tam jest.

- Sądząc po twoim wyglądzie, jadasz raz na dzień jednego kartofla. Pod co ty pijesz, pod papierosa czy do lustra? No dobra, zaopatrzę się w żywność, bo ja lubię dobrze zjeść.

Wieczorem Mrowiec zaszedł do Kopańskiego i opowiedział mu, co zaszło. Postanowili, że pierwszego dnia po wyjeździe Jacka nic jeszcze nie będą ruszać ani szukać, najwyżej Stefan zajrzy delikatnie do szaf i na półki, jeżeli będą otwarte. Trzeba się upewnić, że gospodarz rzeczywiście wyjechał i nie zaskoczy ich przy „rewizji”. Umówili się na

następną noc. Wtedy zamknie się drzwi od wewnątrz i gdyby nawet Suwalski zjawił się i chciał otworzyć je swoimi kluczami, nie da rady, będzie musiał zadzwonić. Przez ten czas zdążą wszystko uporządkować.

Kosański przyszedł około dziewiętej wieczorem, przynosząc w teczce różne pilniki, wytrychy, i inne podobne „narzędzia pracy”, jak je określił.

- Skąd to masz? - spytał Mrowiec zaciekawiony. - Dobierałeś się już do czyjejs kasy?

- Jeszcze nie, ale wszystko może się w życiu przydać. Poznałem w zeszłym roku takiego jednego gościa, który właśnie wyszedł z kicia. Żaden morderca, nic z tych rzeczy. Włamywacz pierwszego sortu, starszy już człowiek. Zainteresował, mnie, przegadaliśmy całą noc. Sporo zapamiętałem. Potem spiliśmy się, w każdym razie ja, on mnie odwiózł taksówką do domu i wyparował. Razem z moim portfelem.

Mrowiec roześmiał się.

- No, to zapłaciłeś mu za naukę.

- Na to wychodzi. Równy facet, bo odesłał mi dokumenty.

- Jadłeś kolację?

- Nie. A masz coś dobrego?

- Przygotowałem. Ale pić teraz nie będziemy. Dopiero potem.

Stół wyglądał zachęcająco, Stefan wykupił pół bufetu w „Europejskim”, tak mu było wygodniej. Obaj kochali dobre jedzenie, więc zabrali się do niego w skupionym milczeniu. Łosoś wędzony, jajka

na szynce, tatar, sałatka włoska, schab pieczony - wszystko powoli znikalo z półmisków.

- Dostyc! - powiedzial Mrowiec. - Teraz kawa, papieros, pół godziny odpoczynku dla trawienia. Potem zaczniemy szukać.

Kosański otworzył telewizor, lecial amerykański western. Patrzyli nieuważnie, ot, tak dla zabicia czasu. Stefan w ogóle nie lubił westernów w telewizji, uważał, że wymagają szerokiego ekranu.

- On się spodziewa wizyty szantażysty - mruknął w pewnej chwili.

Obaj w gruncie rzeczy wciąż myśleli o tym samym, więc Waldemar zrozumiał, ale zdziwił się.

- Widział go ktoś ze znajomych?

- Jacek nie wie, ale sądzi, że to jest możliwe.

- Popełnił ogromny bład, jadąc wtedy swoim niebieskim fordem-mustangiem. Zdaje się, że nie ma w Warszawie drugiego wozu w tym kolorze i tej marki. Jak sądzisz, jeżeli naprawdę ktoś zechce go szantażować, kto by to mógł być?

Mrowiec zastanawiał się chwilę, wzruszył ramionami.

- Może to małe łajno, Stockland. Chociaż on jest za wielkim tchórzem, bałby się zadziera z Suwalskimi. Nie zawracajmy sobie głowy szantażem, którego na razie nie ma i może nigdy nie będzie. Od czego zaczynamy?

Robili to systematycznie, przeglądali każdy mebel, macali poduszki rozrzucone gęsto po kanapach i fotelach, otwierali ostrożnie zamknięte

szuflady i szafy. Zajrzeli nawet do spłuczki w toalecie, do apteczki w łazience, nie darowali dywanom, odsuwali obrazy na ścianach. Nigdzie nie znaleźli ani łańcuszka, ani taśmy, ani pistoletu.

Wreszcie Kosański opadł na fotel i jęknął:

- Już mnie wszystkie gnaty bolą. On zabrał to ze sobą. Albo schował w willi. Pojedziemy?

- Teraz? Człowieku, trzecia w nocy. Idziemy spać. Dam ci pościel na kanapę, po co masz wlec się do domu. Zresztą może pojedziemy jutro rano.

Wyjechali jednak dopiero w południe, bo zaspali. Grudzień był w tym roku jakiś niemrawy, bez śniegu i mrozu, pogoda jak w listopadzie. Wybrali się volkswagenem Kosańskiego, lepiej nadawał się na daleką jazdę. Po drodze zastanawiali się, jak ominąć zasadniczą przeszkodę w osobach państwa Nowaków.

- Mnie ona już zna - rzekł Mrowiec. - Ciebie przedstawię. Powiemy, że przejeżdżaliśmy tędy, motor nawalił i prosimy o nocleg, rano ty naprawisz wóz i wszystko będzie o kay.

- A co będzie, jeżeli Jacek dowie się o twoim wyjeździe z Warszawy? Miałeś być cały tydzień, czekać na szantażystę.

- Jakoś się wyłgam. Zwałę na ciebie, że w pilnym interesie zabrałeś mnie do Babiniec, to przecież trzydzieści kilometrów stąd.

Nowakowa rzeczywiście poznała Mrowca, przyjrzała się Kosańskiemu, który ze swymi błękitnymi oczami wyglądał zawsze jak

czyste, niewinne dziecko, mocno tylko wyrosnięte, i po krótkim zastanowieniu zdecydowała, że owszem, niech przenocują, przecież zima i cóż będą robić po nocy z zepsutym wozem. Przyniosła im nawet kolację, skromną, ale smaczną. Umieściła obu w jednej sypialni na górze, życzyła dobrej nocy i wyszła.

- Słuchaj, czy z ich domu widać światła w willi? - zaniepokoił się Waldemar. - Nie możemy szukać po ciemku.

- Światła na pewno widać. Zabrałem latarkę z niebieskim szkłem, musi nam wystarczyć. Wydaje mi się, że Jacek nie schowałby tego w którejś sypialni, ale na dole. W myśliwskim albo w salonie. Powiedzmy, w gablocie z nożami.

Po trzech godzinach wytężonego szukania musieli zrezygnować. Nic nie znaleźli. Mrowieć warknął ze złością, że cały przyjazd był nonsensem, przecież willa należy przede wszystkim do Artura Suwalskiego, który z pewnością nic nie wie o zabójstwie. Gdyby przypadkiem znalazł pistolet czy przesłuchał taśmę, dobrałby się synowi do skóry!

- W takim razie nie ma też co szukać w tych dwóch willach nad Czarnym - odparł Waldemar zmęczonym głosem. - Ani w pałacyku w Babcicach, nawet gdyby to jakimś cudem stało się możliwe. Mówię ci, że Jacek zabrał wszystko ze sobą do Krakowa. Może domyślał się, że będzie mu robił w domu „wielkanocne porządki”, zwłaszcza jeżeli chodzi o taśmę.

- Dobrze. Taśma i łańcuszek. Ale nie pistolet. Z czymś takim nie można jeździć po kraju, za bardzo ryzykowne. Chyba on go rzeczywiście wyrzucił do Wisły.

Poszli do sypialni. Mrowiec nie mógł zasnąć, ciągle wracała uporczywa myśl: taśma jest dowodem przeciwko niemu. Za podżeganie do zabójstwa...

- Ile można dostać? - spytał na głos. Kosański też nie spał.

- Czego?

- Lat. Za podżeganie do zbrodni.

- Nie wiem. Może pięć. A może dziesięć. Milczeli długo, Waldemar zaczął już zasypiać, kiedy tamten odezwał się ze swego tapczanu:

- Ja muszę mieć tę taśmę. Za każdą cenę.

- To opłać złodzieja. Widziałem jakiś film z takim wynajętym włamywaczem... Ty, ale mnie w to nie mieszaj, dobrze? - groźnie podniósł głos.

Mrowiec roześmiał się złośliwie.

- Przecież już jesteś wmieszany. Wiesz o zabójstwie, z obowiązku obywatelskiego powinieneś iść z tym na milicję. Ukrywanie takich wiadomości też jest przestępstwem.

- Psiakrew, ale mnie wrobiliście!

- Znowu jesteśmy w trójkę. Jak wtedy, chociaż jedna osoba się zmieniła. Cóż, zawsze możesz zrobić to, co Piotr.Kosański usiadł w

pościeli, zapalił lampkę - nocną. Coś mu przyszło na myśl, bo zaczął rozglądać się uważnie po pokoju. Wylazł bosymi nogami, ustawił krzesło pod żyrandolem, przyjrzał mu się ze wszystkich stron. Zszedł potem i długo oglądał kaloryfer, badał wzrokiem karnisze - i sufit.

Mrowieć patrzył na niego, zaskoczony.

- Co ty robisz? - spytał wreszcie. - Znowu szukasz taśmy?

- Nie - odburknął Waldemar. - Szukam mikrofonu.

- Tutaj? Przecież mikrofon musiał być wtedy w myśliwskim, tu może być najwyżej magnetofon.

- Ale mnie nie chodzi o „wtedy”, bałwanie! Mnie chodzi o „teraz”.

Stefan znieruchomiał, potem wyskoczył z tapczanu, jak na sprężynie.

- Myślisz, że tu są... Cholerny świat!

Znowu zaczęli poszukiwania, miotali się bezradnie po całym pokoju, zdenerwowani do najwyższego stopnia. Wizja pozakładanych w każdym miejscu mikrofonów, a gdzieś tam - na dole, czy nawet w garażu - magnetofonu, była straszna.

- Może to u tych Nowaków? - szepnął Mrowieć. Mówili teraz do siebie jak najciszej, porozumiewali się ruchem rąk i spojrzeniem.

Kosański wzruszył ramionami na znak, że wszystko jest możliwe. Co wiedzieli o Nowakach? Co w ogóle wiedzieli o tym domu, o jego tajemnicach, skrytkach, elektronicznych urządzeniach, Bóg wie o czym jeszcze.

- Wiewmy stąd! - zaproponował nagle Waldemar. - Mam tego dosyć, bo zwariuję.

Mrowieć tylko kiwnął głową. Ubrali się, zbiegli cicho na dół. Drzwi frontowe były zamknięte, ale klucz tkwił od wewnątrz. Po paru minutach pędzili już w stronę Warszawy.

Rozdział 8

Szczęsny powiedział swemu szefowi, że wróci, jak znajdzie „nitkę”, co u niego oznaczało wyraźny ślad w prowadzonym śledztwie. Mogło to być za dwa dni albo za dwa tygodnie.

- Albo wcale - dokończył Daniłowicz. - Znam śledztwa, które ciągnęły się dwa lata, nie z naszej winy. Nie masz właściwie żadnego punktu zaczepienia, równie dobrze możesz jechać do Białegostoku, Szczecina czy, powiedzmy, do Kurozwęk.

- Jeżeli chcesz mnie zniechęcić, to ci się nie uda - odparł major. - Jak będzie trzeba, pojedę i do Kurozwęk. Gdzie to jest?

- Zobacz na mapie. Wcale cię nie zniechęcam, to by i tak nie pomogło. Jesteś wytrwały i za to cię cenię. Chciałbym tylko od czasu do czasu usłyszeć, że żyjesz.

Szczęsny roześmiał się.

- Dziś mamy siódmego grudnia. Na święta na pewno przyjadę, bo już mnie twoja pani zaprosiła na Wilię, a ty to, rzecz oczywista, potwierdzasz?

- Człowieku, raz na zawsze cię zaprosiłem! Chyba że się wreszcie ożenisz i będziecie we dwójkę ubierać choinkę.

- Nie mam czasu.

Nie jechał w teren na ślepo. Wyjazd poprzedziły liczne telefony, teleksy, przeglądanie starych akt personalnych, kontakty z komendami wojewódzkimi i miejskimi, z komisariatami i posterunkami milicji. W Warszawie rozmawiał z towarzyszami ze ZBoWiD-u, odwiedził też dawnych funkcjonariuszy - dziś na emeryturze. W rezultacie miał zapisanych w notesie kilkanaście nazwisk i adresów, rozsypanych po całej Polsce. Wśród tych kilkunastu być może znajdował się człowiek, który mógł cokolwiek powiedzieć o pistolecie gabbett fairfax, użytym tak niedawno do zbrodni.

Szczęśny nie miał złudzeń. Rozumiał że czeka go niesłychanie żmudna robota, z której może zupełnie nic nie wyniknąć dla śledztwa. Jednakże, opierając się na swym wieloletnim doświadczeniu, liczył również na doświadczenie innych.

Była jeszcze jedna przyczyna, dla której nie chciał i nie mógł rezygnować z otrzymanego zadania. Sam nie wiedział dlaczego, ale wydawało mu się, że nieznany morderca, gdzieś tam ukryty, triumfuje i drwi sobie ze sprawiedliwości, czując się bezkarny - a, być może,

planuje nowe zabójstwo. Sądził zresztą, że jest to osobnik chory psychicznie. Dlatego zwrócono się również do zakładów, sanatoriów i szpitali, koledzy Szczęsnego w całym kraju rozmawiali z lekarzami psychiatrii, przetrząsano meliny i środowiska przestępcze, czy nie kryje się wśród nich pacjent, zbiegły z ośrodka psychoneurologicznego.

Trudno było bowiem uwierzyć, aby normalny człowiek mordował bez przyczyny, wyłącznie dla samego procesu zabijania. Szczęsny z początku spodziewał się, że przyjdzie list. Adresowany do komendy, pisany przez mordercę. Znał i takie przypadki, chociaż były niezwykle rzadkie. Po upływie pewnego czasu przestępca zaczynał odczuwać tak silną potrzebę „pochwalenia się” swoim czynem - najczęściej były to drwiny z bezradności milicji - że musiał o tym napisać.

Ale listu nie było. A czas mijał.

*

Upłynął tydzień. Sześć pierwszych nazwisk, i adresów - sześć nie trafionych odwiedzin. Z którejś komendy Szczęsny wysłał lakoniczny teleks do Daniłowicza: „Szukam dalej” i pojechał. Pogoda mu sprzyjała, wciąż było dość ciepło i bezśnieżnie, toteż jego fiat 126p posuwał się drogami bez większego wysiłku.

Po południu czternastego grudnia dotarł do kolejnej miejscowości, którą oznaczył kółkiem na samochodowej mapie, gdyż tu właśnie mieszkał jego kolejny rozmówca. Miasteczko było niewielkie, czyste i zadbane, jak większość miast w Wielkopolsce. Nazywało się Rogowo.

Zajechał do komendy, przedstawił się majorowi, bardzo oględnie wyjaśnił, w czym rzecz. Porozmawiali, wypili kawę, komendant zaofiarował pokój gościnny, gdyby Szczęsny chciał zostać dłużej, i dodał, że w stołówce mają zupełnie niezłe obiady. Potem pożegnali się i Szczęsny wyszedł na miasto.

Objaśniono mu, jak trafić na ulicę Zieloną, znalazł ją więc bez trudu. Szedł, trochę rozgoryczony niepowodzeniem poszukiwań, trochę zmęczony, najbardziej jednak - zacięty w postanowieniu: musi znaleźć mordercę. Żeby miało trwać i dwa lata Musi. I znajdzie.

Zatrzymał się przed starym, niskim domkiem w ogrodzie. Furtka była otwarta, drzwi domu również, jakaś kobieta wychodziła stamtąd, ubrana w krótki kożuszek i kolorową chustkę. Na widok Szczęsnego zatrzymała się niepewnie.

- Pan do nas? - spytała. Zobaczył, że jest niemłoda, ma twarz poraną zmarszczkami, ale: życzliwą. Ciemne oczy patrzyły uważnie.

- Do kapitana Skiby - odparł.

- Mój Boże! - uśmiechnęła się. - Jak to już dawno nikt do niego nie powiedział: kapitanie... Proszę, mąż się ucieszy. Niech pan wejdzie.

- Pani pozwoli, że się przedstawię - zdjął czapkę. - Jestem major Szczęsny z Komend Stołecznej.

Wyciągnęła do niego rękę, którą ucałował, co mu się nieczęsto zdarzało. Trochę zażenowana cofnęła się na ganek i poszła przodem, wskazując drogę. W sieni zatrzymała się na chwilę.

- Może panu nie powiedziano... - szepnęła. - Mój mąż jest niewidomy.

- Tak, wiem - odparł.

Skibowa wprowadziła go najpierw do dużego, mrocznego pokoju, pewnie jadalni, bo na środku stał długi stół i sześć krzeseł. Potem zastukała lekko w sąsiednie drzwi i weszła.

- Stachu, do ciebie przyjechał pan major z Warszawy - powiedziała. I dodała zaraz: - Chciał rozmawiać z kapitanem Skibą. Proszę. - Odsunęła się na bok.

Z fotela pod oknem podniósł się mężczyzna starszy wiekiem, barczysty, o twarzy rumianej i gęstych, siwych włosach. Na oczach miał ciemne okulary. Postąpił parę kroków do przodu, lekko przechylił głowę, jakby nadśluchiwał.

Szczęśny zbliżył się do niego, wtedy niewidomy podał mu rękę.

- Witam, majorze - odezwał się, głos miał czysty, dźwięczny, był to właściwie głos młodego człowieka. - Cieszę się, że pan mnie odwiedził.

- Niech pan siada, proszę. - Skibowa wskazała miejsce w pobliżu fotela męża. - Napije pan się kawy czy herbaty?

- Jeśli można, kawy.

- A dla ciebie, Stachu?

- Też kawę.

- Przyjechałem do pana, kapitanie, w dość niecodziennej sprawie - rzekł Szczęśny, kiedy Skiba usiadł na swoim miejscu i obrócił twarz w

jego stronę. - Mam powody, aby przypuszczać, że jej korzenie sięgają pierwszych lat powojennych, chociaż w pewnym sensie zakończyła się teraz, dwudziestego października. Od mojego szefa, pułkownika Stefana Daniłowicza słyszałem o walkach partyzanckich: w których brał pan udział, poruczniku „Wolny”...

Niewidomy drgnął, uniósł głowę w górę, jakby nagle dobiegło go czyjeś dalekie wołanie.

- Miał pseudonim..Jodła” - powiedział z uśmiechem. - Wtedy nie wiedziałem nawet, że nazywa się Daniłowicz. Później, o wiele później doszły mnie słuchy, że pozostał w mundurze, ale milicyjnym. Teraz jest szefem...

- Wydziału służby kryminalnej w Komendzie Stołecznej - dokończył major.

- Ryłem w jego oddziale. Na Lubelszczyźnie. Poszedłem do Gwardii jako szesnastoletni dzieciak, nie chcieli mnie przyjąć, ale dodałem sobie dwa lata. Wie pan, tamtych dni żaden z nas nie zapomni do końca życia. Młodym trudno to zrozumieć. Ile wtedy znaczył dla nas każdy karabin, każda paczka amunicji, papieros czy całe buty!

Skibowa wniosła kawę. Kapitan zręcznie por służywał się łyżeczką, podsunął gościowi cukiernicę, potem sam osłodził sobie kawę, nie rozsypując ani ziarenka.

- Świetnie pan to robi - wyrwało się Szczęsnemu, który zwykle mówił to, co mu przyszło na myśl.

- Przyzwyczailem się. Byłem cztery dni kapitanem milicji, kiedy straciłem wzrok. Cztery dni po otrzymaniu awansu!

- Jak to się stało?

- Eh, nie warto... Przytrzymałem takiego jednego chuligana i zdążył mi sypnąć w oczy jakimś środkiem chemicznym. Leczyli mnie rok. Robili co mogli, tak przypuszczam. Gdybym miał młodsze oczy, może organizm by to zwalczył. No, mniejsza. Więc w czym mogę pomóc, majorze?

Szczęśny robił to już po raz siódmy w czasie wyjazdu, tym razem jednak rozszerzył nieco swoje opowiadanie, dodał niektóre szczegóły. Poczul nagłą sympatię do tego człowieka i nabrał ochoty, aby przedyskutować z nim całe wydarzenie.

Skiba słuchał uważnie, nie przerywając ani jednym słowem, chwilami tylko lekko potakiwał. W pewnej chwili zmarszczył brwi, jakaś myśl czy nawet wzruszenie przeleciało mu po twarzy. Kiedy gość skończył mówić, kapitan spytał z ożywieniem:

- Pan nazwał tę broń: gabbett fairfax. Naboje typu Mars. Czy to jest taki dość duży pistolet z długą lufą, brzydki, ciężki?

- Tak. Lufa długości około trzydziestu centymetrów.

- I na drewnianej kolbie wyryty znak serca?

- Zgadza się.

Skiba milczał dłuższą chwilę, potarł ręką czoło. Wreszcie rzekł:

- Ja ten pistolet widziałem.

- Gdzie? - wykrzyknął Szczęsny. Zerwał się z fotela, nie mógł usiedzieć na miejscu. - I kiedy?

- Zaraz, niech sobie dobrze przypomnę. To dawne lata, tuż po wojnie. Z Armii Ludowej przeszedłem od razu do milicji. Byłem już wtedy w stopniu porucznika, ale uznali, że jestem za młody, dali sierżanta i zostałem komendantem posterunku w takiej dużej wsi, prawie miasteczku, nazywała się Lokszyce. Chyba to jest dzisiaj w województwie suwalskim albo gdzieś obok. Pan wie jak wtedy było. Bandy, strzelanina po nocach, człowiek spał z bronią pod poduszką, wszystkiego nam brakowało. Nie było radiostacji, telefon ciągle się psuł i tak dalej. Pewnego dnia chłop z sąsiedniej wioski przemknął się do nas nocą i dał znać, że w lesie siedzi banda „Groźnego”, trzydziestu ludzi albo i więcej. Miałem na posterunku tylko sześciu, ze mną. Cztery karabiny, dwa pistolety, trochę granatów. Co mogłem z tym zrobić. Wybiliby nas jak kaczki. Ale w miasteczku niedaleko stał oddział KBW. Znałem dowódcę. Bielecki się nazywał, fajny chłop. Pchnąłem któregoś z chłopaków na rowerze, niech powie, co i jak, może razem otoczymy tamtych.

- Ilu ludzi miał Bielecki?

- No chyba ze dwudziestu. Miał też cekaem, ciężarówkę i dwa motocykle, jak dla nas, to był majątek. No i poszliśmy razem z nimi. Szliśmy tak cicho, że banda dała się zaskoczyć. Kilku zginęło, resztę wzięliśmy ze sobą. Kiedy odbieraliśmy im broń, jeden miał przy sobie

pistolet gabbett fairfax, z wyrytym sercem na kolbie. Pamiętam, że wydziwialiśmy nad tą bronią, bo żaden z nas jeszcze czegoś takiego nie widział. Bandzior powiedział, że dostał pistolet od jakiegoś „amerykańca”. Nie zwróciłem wtedy na to uwagi, mało mnie obchodził Amerykaniec, ważne było, że „Groźny” został zatrzymany. Władowaliśmy członków bandy na ciężarówkę, siadło z nimi dwóch moich i kilku z KBW. Dałem im ten cudaczny pistolet, żeby Bielecki miał czym oczy ucieszyć, a może dać do jakiego muzeum, bo to był okaz.

- Coś się stało po drodze?

- Tak. To było lato, późny wieczór, rozpętała się okropna burza, ulewa taka, że światła nie było widać. Kierowca ciężarówki skręcił nie tam, gdzie trzeba i wpadł w dość głęboki lej po bombie artyleryjskiej. Ludzie się wysypali, ciemnica, deszcz, pioruny biły jeden po drugim, piekło bandzie sprzyjało. Trzech wtedy uciekło. Zabrali len cholerny pistolet i karabin jednego z milicjantów. Nie natrafiliśmy już nigdy na tych trzech.

- Więc wszystko na nic - mruknął Szczęsny, zawiedziony.

- Może niezupełnie - zaproponował Skiba. - Ja pamiętam ich nazwiska. Mieli wprawdzie pseudonimy, ale mieli też kenkarty, jeszcze z okresu okupacji. Mogę panu wymienić te nazwiska bez zająknięcia, choćby pan mnie nagle w nocy obudził. Co ja się ich potem naszukałem!

Dostałem awans za ujęcie „Groźnego” i tydzień paki w komendzie wojewódzkiej za tych trzech.

- Jakie to nazwiska?

- Seweryn Miłosz, Antoni Drewniak i Konstanty Sawicki.

- Czy któryś z tych trzech nosił w bandzie gabbett fairfaxesa?

- Właśnie Sawicki. Duży, silny chłopak. Widać żal mu się zrobiło takiej nietypowej broni, bo skorzystał z okazji i zabrał. Panie majorze, nie chciałbym, aby pan się zbytnio łudził. To było w czterdziestym szóstym roku! Ci trzej, jeżeli żyją i są w Polsce, mają dzisiaj po pięćdziesiąt parę lat. Pewnie objęła ich amnestia, jeżeli sami zgłosili się do nas, może na drugim końcu Polski, albo ujęto ich za inne sprawy i poszli siedzieć. Dzisiaj są to pewnie starsi, panowie z brzuszkiem, pracownicy jakiejś spółdzielni albo rolnicy. Wtedy byli to młodzi chłopcy, obalamuceni przez wrogą propagandę, prości, nie rozumiejący ani nowego ustroju, ani przepisów prawa. Sam „Groźny” był prostym chłopem, ledwie umiał się podpisać i takich też miał ludzi.

- Mimo wszystko bardzo mi pan pomógł - rzekł Szczęsny. - Będę ich szukał i może będę miał więcej szczęścia.

*

Szczęsny wrócił do Warszawy i zdał szefowi relację z wyjazdu. Daniłowicz ze wzruszeniem słuchał opowieści o swoim dawnym partyzancie; nie wiedział, że Skiba jest niewidomy, przejął się tym, chciałby mu jakoś pomóc.

- Nie widzę potrzeby - odparł major. - Ma niezłą rentę, kochającą żonę i myślę, że największą radość to byś mu sprawił odwiedzinami. Pogadacie sobie, powspominacie. A ja się zabieram do szukania.

Po dwóch dniach wiedział już, że Seweryn Miłosz zmarł kilka lat temu w Rzeszowskiem. Sam zgłosił się do milicji w miesiąc po ucieczce z ciężarówki, jego sprawę mieli przekazać do Łokszyc, ale o członka bandy „Groźnego” upomniała się Warszawa. Sąd uwzględnił dobrowolne zgłoszenie, zresztą Miłosz nie miał zbyt obciążonego sumienia, w bandzie był krótko. Odsiedział wyrok, wyszedł. Pracował najpierw w budownictwie, potem skończył szkołę rolniczą, ożenił się i osiadł na wsi, a po śmierci ojca objął gospodarkę.

Szczesny przeczytał uważnie notatkę i przestał się Miłoszem interesować. Antoniego Drewniaka miał niemal pod ręką, bo w Warszawie, mieszkał na Pradze Północ i pracował w spółdzielni rzemieślniczej „Maskotka”. Wyrabiali tam zabawki. Major zawahał się - iść do mieszkania czy do tej „Maskotki”. Ciekaw był jednak, jak pracuje dawny członek bandy, kim jest i jaki jest na terenie swego zakładu. Pojechał więc na Targową.

Drewniak, mężczyzna tęgi z wielkim brzuchem o twarzy czerwonej i oczach podpuchniętych, w niczym nie przypominał „leśnego chłopaka”, którym był trzydzieści kilka lat temu. Okazało się, że spółdzielnia zatrudnia w większości inwalidów, poszkodowanych w różnych wypadkach.

Antoni Drewniak miał dość daleko posuniętą miażdżycę, krótki, ciężki oddech i powikłania nerkowe. Szczęsny, przyjrząwszy mu się, zrezygnował z rozmowy w spółdzielni. Odwiedził natomiast kolegów z Komendy Dzielnicowej i w wydziale przestępstw gospodarczych popytał o „Maskotkę”. Jeden z oficerów znał Drewniaka, wiedział nawet o nim dość dużo z przeszłości.

- Jego objęła wtedy amnestia - powiedział. - Mówisz, że szukała go milicja z Łokszyc? Nic o tym nie wiem. To stare dzieje. Drewniak dzisiaj a Drewniak w tamtych latach to dwóch różnych ludzi. Widziałeś go przecież. Schorowany, niesamowicie gruby, ledwie łązi.

- Mam na liście jeszcze trzeciego - mruknął Szczęsny. - Nie słyszałeś o Konstantym Sawickim?

- Nie. Znam paru Sawickich, ale żaden nie ma na imię Konstanty. A może Drewniak będzie wiedział?

- Spróbuję.

Zdecydował jednak, że odwiedzi go w mieszkaniu. Inwalida zajmował dość duży pokój z kuchnią w starym, czynszowym domu na Brzeskiej. Był wdowcem, jedyna córka wyszła za mąż i wyprowadziła się do nowych bloków na Sadybę. Szczęsny nie miał trudności z nawiązaniem kontaktu z łysawym „bandytą”. Drewniak był wyraźnie rad, że ktoś go odwiedził, a kiedy usłyszał, że major milicji, zdumiał się trochę. Nie tyle władza, ile jej wysoki stopień go zadziwił.

- Słucham, panie majorze - powiedział wskazując krzesło. Sam osunął się ciężko na drugie, które zaskrzypiało ostrzegawczo. - Czym mogę panu służyć?

- Panie Antoni, chodzi mi o bardzo dawne czasy. Tuż po wojnie. Pan...

- Ja jestem czysty! - przerwał mu Drewniak, unosząc rękę w górę, jak do przysięgi. - Była amnestia, skończyło się. Wtedy człowiek był młody, głupi, miałem osiemnaście lat i mało co o świecie wiedziałem.

- Pan mnie nie zrozumiał. Nie przyszedłem o cokolwiek pana oskarżać. Odwrotnie, ja chcę prosić o pomoc. Jest pan dziś chyba jedynym człowiekiem, który może to zrobić.

Drewniak milczał, sapiąc i ocierając spoconą twarz. W pokoju było gorąco, mimo iż na dworze panował mróz.

- Może pan coś bliżej... Bo nie wiem, o co chodzi. Owszem, jeżeli tylko będę w stanie, to z całą gotowością. Ale dlaczego... czy to ma jakiś związek z tamtym okresem?

- Myślę, że tak. Czy nie wie pan, gdzie teraz jest, gdzie mógłby być Konstanty Sawicki?

Dłuższą chwilę trwało milczenie. Drewniak tak się zamyślił, że na jakiś czas przestał sapać. Wreszcie powtórzył wolno:

- Konstanty Sawicki. Wiem, on wtedy razem ze mną uciekł. Trzech nas uciekło. Dotarliśmy do lasu. Postanowiłem, że się rozdzielimy, bo tak

będzie łatwiej. Trzeci był, jeżeli pamiętam, Sewer... zapomniałem nazwiska.

- Miłosz.

- Ach, tak! Miłosz. Taki chudy blondynek z kręconymi włosami.

- Nie żyje od paru lat.

- Co pan mówi! No tak, przecież mamy już wszyscy dobrze po pięćdziesiątce.

- Więc rozeszliście się. A Sawicki? Widział go pan od tamtej pory?

- Raz. Po sześciu czy siedmiu latach. Na dworcu. Jakby się spłoszył, niby mnie nie poznał, ale go zawołałem po imieniu. Weszliśmy do poczekalni, miałem jeszcze trochę czasu do pociągu.

- Gdzie to było?

- W Łodzi. Pogadaliśmy, więcej ja niż on, bo ciągle się na boki oglądał, mówił szeptem, aż się skapnąłem, że on ciągle jeszcze się ukrywa. Powiedziałem: „Kostek, nie bądź głupi, przecież nas objęła amnestia! Idź do władz, niech ci wydadzą dowód osobisty, zameldujesz się normalnie, zaczniesz pracować. Jakże tak będziesz żył? Przecież dawno po wojnie, a ty jak zając po polu kluczysz, chociaż żadna nagonka za tobą nie idzie”. Słuchał, potakiwał, niby przyznawał mi rację, niby nie. Ale myślę, że posłuchał. Zawsze był ode mnie większy i głupszy, to się często radził. Wie pan co, panie majorze? Na mój rozum, to on do lasu poszedł. Nie żeby z bronią jak przedtem... To już nie były te czasy. To już był rok pięćdziesiąty pierwszy albo drugi. Ja myślę, że

on gdzieś za gajowego poszedł, coś takiego. Jeżeli dotąd żyje, niech pan go szuka w lasach.

- Jeszcze jedno, panie Antoni. Jak wtedy rozstawaliście się, Sawicki miał przy sobie broń?

- Miał. Zabrał z ciężarówki. Ale to był jego pistolet, nie kradziony. On go dostał od jakiegoś zagranicznika i bardzo się do tej broni przywiązał. Tak prywatnie panu powiem, że nikogo z niej nie zabił. Pistolet miał cholernie ostry odrzut, kopał w rękę jak koń. Kostek nosił go bardziej dla parady, bo to była duża „maszynka” i na oko straszna.

- Jakiej marki?

- Nie pamiętam. Taka jakaś cudaczna, obca nazwa. Podwójna. On kiedyś wrył na kolbie serduszko, przebite strzałą. Tak dla hecy.

- I od tamtego spotkania na dworcu w Łodzi więcej pan Sawickiego nie spotkał?

- Nie. Ale pan widzi, co się ze mnie zrobiło... Ja już do życia się nie nadaję. Ani wyjechać nigdzie, ani do knajpy pójść. Tyle co z domu do spółdzielni, do sklepu po drodze i z powrotem. Gdyby on nawet na sąsiedniej ulicy mieszkał, to byśmy się pewnie nie spotkali.

Szczęśny wstał, pożegnał się. Niewiele się dowiedział, cóż, dobre i to. Kiedy był już we drzwiach, Drewniak nagle coś sobie przypomniał:

- Panie majorze, ale niech go pan nie szuka pod nazwiskiem Sawicki! On wtedy zmienił, przybrał po matce: Bamrosz.

- Konstanty Bamrosz - powtórzył Szczęsny. I dodał, uśmiechając się: - Jak go znajdę, pozdrowić od pana?

- No, można - odparł Drewniak niezdecydowanie. - Chociaż co ja tam teraz z nim... Złe nas połączyło i nie ma się za czym oglądać.

*

Po świętach spadły duże śniegi, chwycił mróz. Na dzień przed Sylwestrem major znalazł na biurku list z pieczętką resortu leśnictwa. Odpowiadając na jego zapytanie, urzędnik z wydziału kadr podawał następującą informację:

„Konstanty Bamrosz, syn Szymona Sawickiego i Anieli z Bamroszów, zatrudniony jako starszy leśniczy w Gadzince, województwo suwalskie, w pobliżu jeziora Wigry. Wyżej wymieniony w 1950 roku zmienił nazwisko Sawicki na Bamrosz. Cieszy się dobrą opinią, nie karany, wdowiec, bezdzietny.”

Sięgnął po mapę Polski, odnalazł Wigry, ale Gadzinki na niej nie było, widocznie za mała. W Komendzie Wojewódzkiej MO w Suwałkach miał dawnego kolegę z Warszawy, majora Budnickiego. Postanowił więc skorzystać z jego informacji. Połączył się milicyjnym kablem, po kilku minutach usłyszał głęboki bas Eugeniusza: - Słucham?

- Cześć, stary! Dobrze, że cię mam na linii - powiedział z zadowoleniem. - Wybieram się w twoje strony.

- Witaj, Szczęsny! Miło mi będzie cię zobaczyć. Czekał no, ale czy to znaczy, że mam tu kimś się zainteresować?

- Nie. Rzecz wygląda inaczej. Na razie powiedz mi tylko, gdzie leży leśniczówka Gadzinka? I czy dojadę tam maluchem?

- Wykluczone. U nas śniegi na dwa metry. Przyjedź pociągiem, a ja ci sprokuruję mocniejszy wózek. Co tam masz, w tej Gadzince?

- Konstanty Bamrosz, znasz takiego?

- Nie. Leśniczy?

- Aha.

- Popytam chłopaków. Ja, widzisz, siedzę w „gwałtach”, a temu Bamroszowi nic takiego jak dotąd się nie zdarzyło.

- Tylko mi go nie spłoszcie!

- Dobra. Kiedy przyjedziesz?

- Szybko. Może nawet jutro.

- Świetnie. Będziemy razem obchodzić Nowy Rok.

Ale Szczęsny był na Sylwestra umówiony z Anką, więc odmówił. Obiecał, że zjawi się najpóźniej trzeciego stycznia, przyjechał już pierwszego. Major Budnicki zamówił mu pokój w hotelu, nie było więc z tym kłopotów. Przyjechał wieczorem, zjadł coś i poszedł odsypiać sylwestrową zabawę Rano stawił się w komendzie.

- Więc tak - zaczął Eugeniusz po pierwszych przywitaniach i wymianie nowinek. - Konstanty Bamrosz sprawuje się podobno nienagannie, chociaż koledzy z wydziału przestępstw gospodarczych za bardzo w jego niewinność nie wierzą. Są tam jakieś delikatne powiązania z handlarzami walutą, z przemytnikami, wszystko starannie

ukrywane i jak dotąd nie ma mocnych dowodów. Zresztą poczekaj. Poproszę porucznika Siedleckiego, on ci to lepiej wyjaśni.

Siedlecki, niemłody już oficer, który z trudem przebijał się od lat przez stopnie milicyjnej kariery, kończąc wieczorowo szkołę średnią; a potem studium prawnicze, miał bogate doświadczenie w zwalczaniu nielegalnego handlu, zwłaszcza walutą. Wobec Szczęsnego przyjął najpierw postawę ściśle służbową i sztywno odmawiał bliższych informacji, tłumacząc się, że „nie jest jeszcze gotowy do składania meldunków”, a poza tym współpracuje z Komendą Główną i w ogóle...

- Kajtek, nie łam się! - Budnicki klepnął go po ramieniu, aż tamten ugiął się i stęknął. - Nie chodzi o żadne meldunki. Major to mój przyjaciel, pyta cię prawie prywatnie. Rozumiesz, zanim pojedzie do tego, jak mu tam, Bamrosza, musi to i owo o nim wiedzieć.

- Na razie wiem, że tuż po wojnie był w bandzie „Groźnego” - rzekł Szczęsny i opowiedział; co było dalej.

Siedlecki kiwnął głową. On też to wiedział, znał te tereny od lat i ludzi, którzy kiedyś wyrządzili drugim niemało złego, potem jednak wyprostowali swoje ścieżki, a w każdym razie przystosowali się.

- Tych rzeczy nie bierzemy dziś pod uwagę - odparł. - Była przecież amnestia..Ta mam do Bamrosza zupełnie inne pretensje, tylko nie zebrałem jeszcze dostatecznych dowodów. To są trudne sprawy, bo w grę wchodzi osoby dość wysoko postawione w hierarchii urzędniczej, a także ludzie z tak zwanej inicjatywy prywatnej. Od pewnego czasu

potworzyły się dziwne układy na styku prywaciarzy i pracowników państwowych czy spółdzielczych. Jeden taki układ, nazwijmy go: grupą przestępczą, częściowo siedzi na naszym terenie Częściowo, bo niektórzy mieszkają w Warszawie, Krakowie i w Babińcach. U nas i w pobliskich województwach pobudowali sobie piękne wille, dysponują pieniędzmi od miliona wzwyż, stać ich właściwie na wszystko prócz uczciwości.

- I w tym układzie znajduje się Bamrosz? - spytał Szczęsny, mocno zaintrygowany.

- Tak. Ale, jak już powiedziałem, na razie nie potrafię mu nic udowodnić. Czy major w tej sprawie przyjechał?

- Chyba nie, chociaż diabli wiedzą, czy to się wszystko razem nie zacznie teraz zazębiać. Przyjechałem w sprawie morderstwa, popełnionego tą bronią. - Wyjął z teczki gabbett fairfaksa i położył na biurku.

Obaj oficerowie patrzyli na pistolet z dużym zainteresowaniem. Budnicki wziął go do ręki, zmarszczył brwi, obejrzał uważnie.

- Cóż to za czort? - mruknął. - Ta lufa to ma chyba ze ćwierć metra!

- Trzydzieści centymetrów. Kaliber osiem i pół. Gabbett fairfax, angielska broń wojskowa z czasów przed pierwszą wojną światową. Takiego okazu nie ma nawet Zakład Kryminalistyki; trudno więc, żebyście znali.

- Ale co ma do tego Bamrosz?

- To była jego broń. Podejrzewam, że ją przechowywał od czasów, kiedy był w bandzie, aż do... no, do dwudziestego października zeszłego roku.

- Bamrosz kogoś zabił w Warszawie? - spytał Siedlecki ze zdziwieniem. - To do niego nie podobne. Człowiek starszy, w tym roku idzie na emeryturo tak by sobie psuł ostatnie lata?

- Nie wiem Na razie znam dwa fakty, raczej bezsporne Po pierwsze, z tej broni zabito w Warszawie Zbigniewa Kuniczewskiego, ekonomistę. Po drugie broń należała do Bamrosza, wprawdzie ponad trzydzieści lat temu, ale tylko on może nam powiedzieć, komu i kiedy ją oddał, sprzedał czy mu ukradziono. Oczywiście, jest i trzecia możliwość: że to właśnie on zabił Kuniczewskiego. Jeszcze nie wiem, czy były jakieś powiązania pomiędzy tymi dwoma, czy się w ogóle znali. Chciałbym więc prosić was o ustalenie, możliwie dokładne, czy wieczorem dwudziestego października ubiegłego roku Bamrosz znajdował się w Gadzince względnie gdzieś tu w pobliżu.

- Co to był za dzień?

- Wtorek. Zbrodnię popełniono około północy, następnie zabójca wrzucił pistolet z mostu do stojącej obok pogłębiarki łodzi motorowej, sądząc, że wrzuca do wody. I dlatego mamy tą broń, jedyny jak dotąd ślad, po którym możemy dojść do mordercy. Przez te miesiące, które upłynęły, przekopaliśmy się przez wszystkich znajomych, kolegów,

krewnych Kuniczewskiego, szukaliśmy jakiegokolwiek motywu, którym kierowałby się zabójca. Nie znaleźliśmy.

- Zabójstwo bez przyczyny? - zdumiał się Budnicki. - Aż mi się nie chce wierzyć. Zawsze jest jakiś powód. Chyba że zabija wariat.

Porucznik Siedlecki wertował swój notatnik, przerzucając kartki coraz dalej w tył. Nagle przy jednej zatrzymał się, przeczytał uważnie zapiski, twarz mu się rozjaśniła i rzekł:

- On nie mógł tego zrobić. Dziewiętnastego i dwudziestego października był w Suwałkach wojewódzki zjazd służby leśnej, przyjechał ktoś z ministerstwa, wygłaszał referat. Byłem obecny w drugim dniu, właśnie dwudziestego, i doskonale pamiętam, że rozmawiałem wtedy z Bamroszem w przerwie obrad. Brałem go trochę pod włos, myślałem, że puści farbę. Nie wyszło, to twardy chłop.

- O której skończyły się obrady?

- Dosyć późno, chyba po dwudziestej. Niektórzy z leśników nocowali w hotelu, inni pojechali do siebie do domu. Musiałbym sprawdzić. Chwileczkę.

Wyszedł, nie było go dobre pół godziny. Przez ten czas Szczęsny opowiedział dawnemu koledze o swoim żmudnym, długotrwałym śledztwie, właściwie bez żadnych wyników. Budnicki słuchał ze zrozumieniem, spoglądając co pewien czas na gabbett fairfaxes, leżącego sobie spokojnie na biurku.

- Wiesz co? - rzekł, uśmiechając się z zażenowaniem. - Gdybym miał parę naboju, to bym spróbował z tego postrzelać. Ciekawe, jaki ma zasięg?

- Daleki. I duża celność. Ale mocno kopie! Niestety, kaliber osiem i pół jest raczej nieosiągalny. Sam chciałem...

Wrócił Siedlecki. Konstanty Bamrosz przenocował wówczas w hotelu, we wspólnym pokoju z dwoma innymi leśnikami. Jedli w restauracji kolację, potem rozrabiali trochę, aż kierownik musiał stanowczo poradzić im, aby poszli na górę.

- A więc Bamrosz jako zabójca odpada. Zobaczymy czy sprawdzi nam się jako dostawca narzędzia zbrodni.

Szczesny pojechał do Gadzinki razem z porucznikiem. Major dał mu swoją starą wołęgę, poza tym okazało się, że droga do leśniczówki jest odśnieżona. Jazda zabrała im jednak półtorej godziny, nawierzchnia była mokra i śliska. Przyjechali w południe Bamrosz wyszedł na ganek, patrząc, kto go odwiedził. Obaj oficerowie byli po cywilnemu, ale leśniczy znał porucznika i twarz mu się zasepiła. Na Szczesnego w pierwszej chwili nie zwrócił uwagi Chmurny i wyraźnie zaniepokojony, poprosił gości do mieszkania, a kiedy zrzucili ciepłe kurtki i usiedli, zajął miejsce pod oknem na szerokiej drewnianej ławie, ale nie odzywał się.

Szczesny przyglądał mu się dłuższą chwilę, wreszcie postanowił zaatakować frontalnie.

- Panie Bamrosz - powiedział ostrym tonem - komu pan dał swój pistolet? Gabbett fairfaxes, z sercem wyrytym na drewnianej koltranie. - Dostrzegł bladość na twarzy leśnika, zdawało się, że odpłynęła z niej wszystka krew. Otworzył teczkę, wyciągnął pistolet, ale nie wypuszczał go z ręki. - O, właśnie ten!

Bamrosz kiwnął się gwałtownie do przodu; (wyglądało to jakby chciał zerwać się z miejsca i natychmiast zmienić zamiar. Palce jego dużych rąk zacisnęły się w pięści. Odetchnął głęboko.

- Gdzie on był? - mruknął tak cicho, że ledwie było słychać.

- Komu pan go dał? - odparł Szczęsny pytaniem.

- Gówniarz, sk...! Od razu wiedziałem, że to on. Jak tylko zobaczyłem ślady kół w lesie. Musiał mnie śledzić, wcale wtedy nie odjechał.

- Kto?

Bamrosz nie odpowiedział. Wyciągnął z kieszeni paczkę klubowych, palce mu drżały, rozsypał kilka papierosów, zanim zdołał jednego wygrzebać, i wsadzić do ust. Wolno sięgnął po zapalniczkę, wciąż był myślami nieobecny, oczy miał utkwione gdzieś w kąt pokoju.

- Tak musiało być - szepnął wreszcie, bardziej do siebie. - Opowiedział bajeczkę, że ktoś tam miał taki sam... A ja, bałwan, uwierzyłem. I poleciałem sprawdzić. Podpatrzyłem, szczeniackie nasienie! I zabrałem. Wóz trzymał koło sosen, tam były ślady. Coś mnie tknęło, jak to zobaczyłem. I znów poszedłem. Już w dębim nic nie było.

Mocno zaciągnął się dymem, aż zapadły mu się policzki. Odwrócił wzrok w stronę Siedleckiego - pokiwał głową.

- To panu wtedy o broń chodziło - po wiedział. - A ja myślałem, że o co innego. Tak mnie pan podchodził, i z tej strony, i z tamtej. Całą przerwę tak żeśmy przegadali, tyle że pan mówił, a ja milczałem. Nie można było wprost zapytać? Zresztą, i tak bym nie powiedział -= machnął ręką.

Siedlecki milczał. Nie chciał wyjaśniać, że wtedy, w czasie obrad, chodziło mu zupełnie o co innego, a o broni w ogóle nie wiedział.

- Jakiej marki był jego samochód? - spytał nagle major.

- Ford-mustang - odparł Bamrosz mimo woli, poczerwieniał, spuścił głowę. - Nie wiem, może mercedes albo fiat - dorzucił szybko. Wypadło głupio, sam to odczuł, bo zamilkł

- Panie Bamrosz - Szczęsny zniecierpliwził się, tak kołować można było w nieskończoność. - Tym pistoletem zabito człowieka. Ja muszę, słyszy pan? Muszę wiedzieć, kto go panu zabrał. Inaczej pan będzie odpowiadał za zbrodnię.

Leśniczy zatrząsł się, twarz mu poszarzała. Wykonał jakiś bezradny ruch rękami, zgarbił się i tak siedział w milczeniu.

- Pan miał w pistolecie cztery naboje - nacierał dalej major. - Wszystkie cztery zbrodniarz wystrzelił do absolutnie niewinnego człowieka! Zabrał ojca małemu chłopcu, który przedtem już stracił

matkę. Panie Bamrosz, pan nie wyjdzie z tego pokoju, dopóki nie dowiem się, kto ukradł panu pistolet!

- Gdybym ja wiedział - jęknął głucho - gdybym wiedział, że on chce zabijać! Ojcu bym powiedział, żeby - urwał. Zaciął usta.

- Staremu Suwalskiemu, tak? - wtrącił nagle porucznik. - To jego syn wziął tę broń? On ma niebieskiego forda-mustanga.

- Jezus kochany, co ja zrobiłem! - Bamrosz chwycił się za głowę, wcisnął palce między gęste siwe włosy. - Co ja najlepszego zrobiłem!

- Chcesz odpowiadać za morderstwo? Nie zapomniałeś jeszcze „Groźnego”?

- Nie! - ryknął nagle leśniczy, zerwał się z krzesła i runął przed majorem na kolana. - Panie, ja już dawno spokojny człowiek, przysięgam, ja trzydzieści dwa lata nikogo nie zabił, na wszystkie świętości przysięgnę, że bym tak skonać nie mógł i przez rok umierał, że bym ja był wiedział, że on będzie zabijał, to ja by za nim do Warszawy pojechał i bodaj na klęczkach, a zmusiłby jego, żeby oddał!

- Niechże pan wstanie.-; - Szczęsny ujął go za ramiona, podciągnął i usadził na krześle.

- Kiedy był tu Jacek Suwalski? - spytał porucznik.

Bamrosz wyciągnął chustkę, długo wycierał nos i oczy, mamrotał coś do siebie, wreszcie uspokoił się na tyle, że mógł odpowiedzieć. Zrelacjonował niespodziewany przyjazd młodego Suwalskiego, rozmowę o pistolecie, swój niepokój i wyprawę do lasu, gdzie ukrywał

broń w dziupli dębu. Dodał, że wsadził ją tam dopiero latem ubiegłego roku, kiedy we wsi kogoś zabito i milicja przeszukiwała chałupy.

- No, potem wróciłem do mieszkania. Ale gdzieś po godzinie, może nawet krócej, usłyszałem daleki szum samochodu. Zdziwiłem się, tędy nocą nikt nie jeździ, od leśniczówki nie ma drogi. Wyszedłem do lasu, poświeciłem sobie i zobaczyłem ślady kół. Znam się trochę na wozach. To były ślady opon ford-mustanga. Postanowiłem, sam nie wiem dlaczego, jeszcze raz sprawdzić, czy pistolet jest na swoim miejscu. Dziwna była ta nasza rozmowa, ten nagły przyjazd nie wiadomo po co, potem raptem Jackowi przypomniało się, że musi odjechać... Więc poszedłem jeszcze raz. Od razu zobaczyłem, że tu był. Gałązek nałamał, jak się wspinał, korę pościerał. Wróciłem do domu, myślałem: co zrobić? Gnać za chłopakiem do Warszawy? Wyprze się, wyśmieje. Ojcu... nie chciałem. No, bo może Jacek ma tam u siebie w domu kolekcję starej broni, a wiedział, że ja bym mu dobrowolnie nie oddał. Żal mi było, ale w końcu machnąłem ręką. Tyle lat u mnie była, niech już teraz ma kto inny.

Umilkł, znowu zapalił papierosa.

- Pan, jako leśniczy na służbie państwowej, powinien doskonale znać przepisy, dotyczące broni palnej - rzekł Siedlecki. - Będzie pan teraz odpowiadał za nielegalne posiadanie pistoletu w pełni sprawnego, w dodatku z nabojami. Pytałem już kilkakrotnie, wykręcał pan się od

odpowiedzi: co pana łączy z Arturem Suwalskim? Dlaczego nie chciał pan mu powiedzieć o tym, że jego syn ukradł pańską broń?

Bamrosz zwiesił głowę. Milczał.

- To ja panu odpowiem - kontynuował porucznik. - Bo łączą was nielegalne interesy, panie Konstanty! Pan mu pomaga w przemyśle biżuterii, w handlu walutą i złotem. I to się datuje ©d dawna. Wiele razy obserwowałem, jak Suwalski przyjeżdżał tu swoim zielonym peugeotem. Powiem wprost: nie zebrałem jeszcze dostatecznych dowodów tych waszych kontaktów, ale jestem już bardzo bliski prawdy. Radziłbym więc przyznać się samemu, zanim stanie pan przed prokuratorem.

Leśniczy podniósł głowę, wzruszył ramionami i jakby zhardział.

- Ja nic nie przemycam - odparł. - Pan Suwalski to mój dawny znajomy. Przyjeżdża tutaj czasem zapolować na cietrzewie, na słonki. Teraz rzadziej, bo on już stary. No, to pomieszka sobie u mnie parę dni, odpoczywa, spaceruje po lesie. To bogaty człowiek, na co mu jakieś handle czy przemyty.

- Bogaty, z czego?

- Był przecież dyrektorem!

- I z dyrektorskiej pensji wystawił sobie trzy wille, kupił pałacyk z sadem, peugeota, forda-mustanga i fiata, dla każdego z rodziny po jednym wozie... Tylko dureń by w to uwierzył.

Wstał, rzucił Szczęsnemu porozumiewawcze spojrzenie. Było ich dwóch, w wozie czekał kierowca milicyjny.

- Idziemy, panie Bamrosz! Zabieram pana do komendy. Tam pan się będzie tłumaczył z ukrywania broni, i z innych spraw.

*

Wrócili do miasta. Szczęsny serdecznie podziękował obu oficerom i natychmiast teleksem zawiadomił Kręglewskiego, aby wziął Jacka pod obserwację. Nocą odjechał do Warszawy. Czuł głęboką satysfakcję. Oto nareszcie, po tylu dniach trudu, szukania, dreptania w miejscu - wyraźna „nitka” w śledztwie. Sądził, że to, co powiedział Bamrosz, było prawdą, zresztą po wstępnych przesłuchaniach leśniczy miał być odesłany do Warszawy. Trzeba było skonfrontować go z Jackiem Suwalskim, sprawdzić wiele szczegółów, potem dopiero Siedlecki mógł zająć się swoim kierunkiem śledztwa.

Porucznik prosił, aby na razie zatrzymanie Bamrosza pozostało tajemnicą. Bał się, że gdyby wiadomość przedostała się do „układu”, o którym wspominał, najgrubsze ryby mogą prysnąć, pozacierać ślady i pozostawić na otwartej wodzie same płotki. Niech przypuszczają, że leśniczy gdzieś wyjechał służbowo.

Szczęsny, siedząc w pociągu, rozmyślał nad powiązaniem między tą czwórką: Kuniczewski - Artur Suwalski - Jacek - Bamrosz. Coś ich przecież musiało łączyć, jeżeli ten pierwszy padł ofiarą. Nie chciało mu się wierzyć, aby Kuniczewski prowadził potajemnie nielegalne interesy. Nic na to nie wskazywało. „Wspólnota” również nie była instytucją, z

której można było pokątnie czerpać jakieś informacje dla waluciarzy i przemytników.

Student Piotrowski wśród sześciu wymienianych przez siebie typów samochodów umieścił fordę-mustang. Taki wóz ma Jacek Suwalski. Ukradł pistolet. No dobrze, ale dlaczego zabił? Czy ktoś mu kazał? Może ojciec... Bamrosz nie musi o tym wiedzieć. W takim razie zemsta ze strony starego Suwalskiego. Za co? Jakież dawne porachunki? Usunięcie świadka... czego?

Nagle Szczęsny zapragnął znaleźć się z obu Suwalskimi twarzą, w twarz i wreszcie znaleźć odpowiedź na to pytanie. Z Arturem jednakże nie mógł tego zrobić, aby kolegom z komendy w Suwałkach, a także majorowi Kornemu nie zepsuć prowadzonego przez nich śledztwa. Trzeba więc było rozpocząć od rozmowy z Jackiem. To jest pierwsze, najważniejsze zadanie.

Rozdział 9

- Nie bardzo rozumiem, po co kazałeś mi go obserwować - rzekł Kręglewski. - To, że facet ma akurat fordę-mustang...

- Nie tylko - przerwał Szczęsny niecierpliwie - Miał też pistolet gabbett fairfax, ukradziony jednemu leśnikowi.

Kapitan gwizdnął z cicha.

- Ten sam?

- Tak.

- Było od razu zawiadomić, w czym rzecz.

- Bo co?

- Bo zwiął - przyznał Kręglewski ponuro. - Twój teleks dostałem w nocy, Dąbrowski mi go przetelefonował, miał dyżur. Nie widziałem przyczyny, aby zrywać się z łóżka i wysyłać kogoś na Sadybę. Więc dopiero rano... No i jak tam poszedł jeden z chłopaków, zastał drzwi na kłódkę, to jest na misterne zamki, a gospodarza brak. Czekał ze dwie godziny, potem zadzwonił do mnie i spytał, co robić. Na wszelki wypadek kazałem mu tam sterczeć aż do zmiany. - Spojrzał na zegarek. - Mam posłać drugiego, czy sami pojedziemy?

Szczęśny zastanawiał się chwilę. Chciał zrobić kilka rzeczy naraz, należało więc rozsądnie ustalić kolejność.....; (...)

- Poczekaj - odparł. - To znaczy poślij następnego. Muszę najpierw pogadać z Hornym, jeżeli jest u siebie w komendzie.

Major Horny był na miejscu i na telefon Szczęsnego powiedział krótko:

- Przyjeżdżaj na Puławską, ale już! - Kiedy zaś Szczęśny zaintrygowany stawiał się najszybciej, jak tylko mógł, wskazał mu krzesło i rzekł: - Afera nie z tej ziemi! Nareszcie dokopaliśmy się do samego źródła. Właściwie tych źródeł jest kilka.

- Mów po ludzku.

- Dobrze. Posadziliśmy całą rodzinę Mrowców. Jego, ją i syna.

- Czekaj, bo nie chwytam. Co to za jedni?

- Nie pamiętasz? Mówiłem ci, że jest taki cudny ehłoptaś, Stefanek Mrowieć, śmierdzący leń, nierób i obibok, były student. Jego pjciec jest agentem gastronomicznym, całe mnóstwo cocktail-barków i małych kawiarenek. Pani Mrowieć też zarabia, pomaga mężowi. Razem mają dobrze ponad sto patyków miesięcznie, więc synalek może nic nie robić. Mówiłem ci też, że Stefanek trzyma sztamę z Jackiem Suwalskim i z Waldemarem Kosańskim, na odmianę synem spekulanta i pseudorzemieślnika. Jeszcze kolo nich pęta się waluciarz Grzegorz Błowski i paru innych. No, więc rozplataliśmy wreszcie wszystkie nici, podsumowaliśmy to całe towarzystwo i przedstawiłem sprawę prokuratorowi z Generalnej. Wczoraj dał sankcje. Siedzi agent, żona i Stefanek. Na razie z wolnej stopy odpowiada stary Suwalski. Jacka jeszcze nie ruszyłem; ale lada moment. Mamy już dowody, że wspólnie z Ojcem handlował dewizami, biżuterią, złotem, czym się dało. Teraz wzięłem w obroty Antoniego Kosańskiego, zobaczymy, co z tego wyniknie.

- Siedlecki w Suwałkach jeszcze o tym nie wie - zauważył Szczęsny. - Właśnie stamtąd wróciłem - I opowiedział o wizycie u Bambrosza oraz o jego aresztowaniu, po czym rzekł: - W tej sytuacji dałem polecenie, aby wziąć pod obserwację Jacka Suwalskiego. Podobno nie ma go w domu i obawiam się, że zwiął. Spłoszyłeś mi mordercę...

Horny zapalił fajkę, pociągnął kilka razy.

- Wiesz, że tego nie przypuszczałem - odparł ze zdumieniem. - Zabójstwo nie pasuje do aferzystów. Oni me lubią mokrej roboty. Co temu chłopakowi strzeliło do łba?

- Nie mam pojęcia. Może były jakieś ukryte powiązania pomiędzy tymi ludźmi a Kuniczewskim. Co my w końcu o nim wiemy? Tyle ile powiedziała najbliższa rodzina i koledzy. Słuchaj, Jerzy, ty znasz trochę tych synków milionerów. Jak sądzisz, z którym z nich warto pogadać, aby powiedział coś niecoś o Jacku?

- Stefan Mrowiec w ogóle odmawia zeznań, milczy. Zaciął się. Z jego rodzicami może byłoby łatwiej, bo teraz chodzi im przede wszystkim o własną skórę. Ojciec przyznał się już, bardzo oszczędnie, do niektórych nielegalnych transakcji, przed innymi się broni, waży i mierzy każde słowo. Normalne u aferzystów. Wydaje mi się jednak, że na temat zabójstwa oni po prostu nic nie wiedzą. Oczywiście mogą się mylić. Więc jeżeli Jacek nie pojawi się w ciągu najbliższych dwóch, trzech dni, to ja tutaj ściągnę Waldka Kosańskiego, a ty sobie z nim pogadasz. Chłopak już w portki robi ze strachu, prędzej coś powie.

- Dobrze. Ale nie będę czekać trzech dni. Jeżeli Jacek nie wróci do domu na noc, chcę rozmawiać z Kosańskim jutro przed południem.

Dom na Sadybie był pod uważną obserwacją. Poszły radiotelefony do wszystkich jednostek milicyjnych w kraju, uprzedzono posterunki WOP i punkty graniczne. Komenda Wojewódzka w Suwałkach nie

spuszczała z oka leśniczówki Gadzinka, zamkniętej na cztery spusty. Komenda w Babińcach wzięła pod obserwację pałacyk Artura Suwalskiego, dwie wille nad Jeziorem Czarnym oraz trzecią, oddaloną, od Babiniec o trzydzieści kilometrów. Stwierdzono, że Jacek nit przebywa w żadnej z nich. Jego ojciec, wezwany przez prokuratora do Warszawy, mieszkał na razie w hotelu. W pałacyku królowała Magda.

Waldemar Kosański, przywieziony do Komendy Głównej MO przez któregoś z pracowników majora Hornego, przedstawiał sobą obraz żałosny, a nawet budzący współczucie. Rozglądał się dokoła przestraszonym wzrokiem, był blady, źle ogolony, nerwowo łykał ślinę.

- Dlaczego pan się boi? - mruknął Horny, zirytowany. - Nikt tu pana nie zje. Major Szczęsny chce sobie z panem porozmawiać.

- Nie jestem aresztowany? - wyszeptał chłopak, patrząc na obu oficerów oczami zranionej sarny. - Ja nic nie zrobiłem!

- Niech pan siada - powiedział Szczęsny. Horny wyszedł, miał wiele innych spraw do załatwienia. - I niech pan wreszcie przestanie się trząść jak galareta.

- Ja z ojcem nie... to znaczy, ja mu w niczym nie pomagałem, daję panu słowo honoru!

- A wierzę - mruknął major, raczej do siebie. I zupełnie bezwiednie zapytał: - Co pan rozumie pod pojęciem honor?

Kosański zamrugał oczami, popatrzył na niego w osłupieniu.

- Ja me rozumiem... - zaczął, chodziło mu o co innego, ale Szczęsny przygwoździł go:

- Właśnie. Dla pewności nie mówmy o honorze.

- Z ojcem! - zdenerwował się Waldemar. - Z jego interesami nie miałem nic... Te wszystkie handle, to nie ja. Robili to poza mną, nie wtajemniczali mnie. Nie będę za nich odpowiadał.

- Mniejsza z tym! - rzucił major szorstko, a widząc zdumiony wzrok chłopaka, dodał wyjaśniająco: - Mnie chodzi o coś innego. Tamtymi sprawami zajmują się koledzy. Ja chcę z panem porozmawiać o Jacku Suwalskim.

Waldemar skrzywił się niechętnie.

- Nic nie wiem. Niech pan lepiej pomówi z jego ojcem. Ja się do nich nie mieszałem.

Szczęsny przyglądał mu się długo swymi wąskimi, czarnymi oczami. Pod wpływem tego wzroku Kosański zgarbił się, odwrócił głowę w bok.

- Jest pan człowiekiem dorosłym. Za ukrywanie przestępstwa tak poważnego jak zabójstwo odpowiada się karnie. Czy pan aby o tym nie zapomniał?

Twarz Waldemara pokrył nagle ciemny rumieniec. Usta mu drżały, uniósł rękę, aby je zasłonić, zaraz jednak opuścił ją z powrotem.

- Jakie zabójstwo? - szepnął niby obojętnie; ale głos go zdradzał.

Major milczał. Chciał, żeby tamten mówił. Żeby wreszcie przełamała się bariera solidarności przestępczej, żeby prawda wyszła na jaw. Już wiedział, że Kosański orientuje się w sytuacji i tę sprawę zna.

- Ja się dowiedziałem po wszystkim - burknął chłopak. - Nic nie mogłem już poradzić. A donosić na kolegę nie będę - dodał z godnością. Nie pamiętał, że1 Mrowcowi powiedział zupełnie co innego. Może zresztą takie sformułowanie wydawało mu się lepsze, jakieś, powiedzmy, wznioślejsze...

- A kto wiedział: przed wszystkim?

- No, Stefan. Ale on był przekonany, że to żarty. I Holden, ale on nie żyje. Mnie nie powiedzieli, że się wtedy założyli. Ja poszedłem na górę spać. Zresztą byłem pijany.

- Kiedy pan się dowiedział? - Szczęsny jeszcze nie rozumiał do końca, chociaż zastanowiło go słowo: zakład. Postanowił, że będzie bardzo cierpliwy, niech tamten mówi tak długo, aż rzecz rozkręci się sama.

- No, to było jeszcze w sierpniu. A mnie Stefan powiedział dopiero gdzieś w końcu listopada. O zakładzie i w ogóle... Myśmy potem szukali tego łańcuszka i taśmy. Nie mogliśmy znaleźć.

- Stefan Mrowieć, tak?

- Tak.

- Proszę powtórzyć, jak Stefan panu to przedstawił. W jakich słowach. I dlaczego dopiero, w listopadzie, przecież zabójstwo było dwudziestego października.

- Ale Stefan też nie miał pojęcia, że Jacek to zrobił! Mówiłem panu, że oni się zakładali „na cyku”, nikt prócz Jacka nie brał tego na serio!

- Przecież była wiadomość w gazetach i komunikat o łańcuszku w radio i w telewizji.

- No, była. I co z tego? Stefan w ogóle tego nie skojarzył z zakładem. Mało to komunikatów się ukazuje?

- Więc kiedy Stefan został powiadomiony, że zabójstwa dokonał Jacek? I przez kogo?

- Właśnie przez Jacka. Proszę pana, mogę zapalić?

Szczęśny podsunął mu papierosy i zapalniczkę. Kosański uspokoił się już trochę, osądził, że jego sytuacja nie wygląda tak źle, należy tylko umiejętnie zwać wszystko na innych. Na razie mówienie prawdy było mu na rękę. Zapalił i kontynuował:

- Stefan spotkał się z Jackiem w tej willi niedaleko Babiniec. To było dwudziestego szóstego listopada, tak jak się umówili. Miał też być Holden. On się zabił, jeszcze w sierpniu czy we wrześniu, nie pamiętam. Więc spotkali się we dwóch. Stefan przyjechał tylko dlatego, że Jacek obiecał, w razie przegranej zakładu, że odda swego ford-mustanga. Nie wiem, który z nich miał go dostać, w każdym razie teraz już pozostał

tylko Stefan. No i zaczęli rozmawiać, a wtedy Jacek pokazał mu ten łańcuszek...

- Jaki łańcuszek?

- Taki jakiś miedziany, z oznaczeniem grupy krwi. Jako dowód, że... - Waldemar zaciął się, szukał słów.

- Że zabił i wygrał zakład?

- No, tak. Bo by Stefan nie uwierzył, więc Jacek zabrał łańcuszek po... tym, no, wie pan. Po zabójstwie. Więc Stefan już był przekonany, że to prawda. Pożarli się wtedy, Mrowiec przestraszył się. Czy ja wiem, zresztą? - dodał z powątpiewaniem w głosie. - W końcu to właśnie Stefan napuścił Jacka na tę całą hecę. Potem mi mówił, że tylko dla kawału.

- Kto był inicjatorem zakładu?

- Jacek. Powiedział, że popełni zbrodnię doskonałą. Taką bez motywów. Każde zabójstwo ma jakąś przyczynę, nie? A on chciał zupełnie bez przyczyny i człowieka obcego. Wtedy, mówił, milicja nigdy tego nie wykryje. No i ci trzej założyli się. Termin był za trzy miesiące.

- Dlaczego Jacek wybrał właśnie tego, a nie innego człowieka jako ofiarę?

- Nie znam szczegółów. Podobno typował w ciemno, z książki telefonicznej. Rzucił czymś i w które nazwisko trafi... Nie wiem..

Szczęśny milczał chwilę, aby oswoić się z okrucieństwem tych słów.

- Więc ci trzej założyli się - powiedział wolno - o ludzkie życie. A Jacek Suwalski „wytypował” je z książki telefonicznej. Obojętnie, na kogo trafi.

Było coś w głosie majora, że Kosański popatrzał na niego z przestrawieniem i wykrzyknął:

- Ja przy tyra nie byłem! Nie zakładałem się z nimi. To nie moja wina.

- Wiem. Siedź cicho!

Chłopak zaciął usta, skulił się i zamilkł. Szczęśny wstał, pochodził po pokoju. Musiał się opanować. W pamięci miał ciągle drobną, zapłakaną twarzyczkę Michała Kuniczewskiego, który - kiedy już mu powiedzieli - chwycił się jego ręk i pytał: „Dlaczego? Za co go zabili?”

Za nic. Po pijanemu, aby wygrać zakład. „Rzucal czymś i w które nazwisko trafi”... Gdyby w inne, Michał miałby ojca. Być może ktoś inny by go stracił. Cóż to za bydlęta. Poczul, że gniew zaciska mu ręce w pięści. Odetchnął głęboko, wrócił do biurka i usiadł. Chłopak obserwował z niepokojem jego ruchy.

- Gdzie jest Jacek? - spytał major, pozornie spokojny.

- Nie wiem, słowo daję! Może nie wrócił jeszcze z Krakowa i Zakopanego. Miał tam coś... no, załatwić.

- Dla ojca?

- Pewnie tak. Nie widziałem go przed wyjazdem. Stefan miał klucze do tego domu na Sadybie.

- Powiedział pan przedtem, że szukaliście ze Stefanem łańcuszka i taśmy. Jakiej taśiiiy?

- Magnetofonowej. Bo Jacek nagrał rozmowę ze Stefanem.

- Rozmowę o zakładzie? Wtedy, w sierpniu?

- Nie. Tę z dwudziestego szóstego listopada. - Dlaczego nagrał akurat tę rozmowę?

- No, chciał w razie czego mieć dowód, że Stefan namówił go do zakładu i w ogóle brał w tym udział. Pewnie bał się, że Stefan doniesie na milicję, jak już uwierzy naprawdę w zabójstwo. A taśma w ręku Jacka w jakimś stopniu powstrzymywałaby Stefana przed donosem. Więc kiedy Jacek wyjechał i dał mu klucze...

- Czemu to zrobił?

Waldemar zmieszał się, siąknął nosem.

- Podobno bał się jakiegoś szantażysty. Nie konkretnego, ale tak w ogóle, na wszelki wypadek. Mógł to być znajomy, który widział zabójstwo i chciałby na tym skorzystać... no, finansowo.

- Ależ z was gnoje! - warknął Szczęsny. Pohamował się i pytał dalej: - Gdzie szukaliście?

- W domu na Sadybie, ale nie znaleźliśmy. Potem w tej willi, gdzie oni się zakładali. To za duży dom, żeby tak dokładnie przeszukać. Zresztą mógł nadjechać stary Suwalski. Poza tym ja się zląkłem, że tam

wszędzie są poumieszczane mikrofony i magnetofony, a myśmy o tym wszystkim rozmawiali. Więc w nocy wyjechaliśmy. Ja myślę, że łańcuszek i taśmę Jacek ma przy sobie.

- Czy Mrowiec wiedział, w którym z mieszkań państwa Suwalskich Jacek „typował”?

- Chyba w tej willi. Albo u siebie, na Sadybie. Czy może pan mi dać papierosa?

- Nie. Możesz iść do diabła!

Kosański nagle nabrał energii i wyskoczył z pokoju, jakby się paliło. Po chwili wszedł Horny. Dostrzegł zmienioną twarz Szczęsnego i spytał żartobliwie:

- Wymęczyłeś się z synkiem milionera?

Ale kiedy tamten powiedział mu wszystko, major z początku nie był w stanie uwierzyć. Patrzył na Szczęsnego, jak na człowieka niespełna rozumu. W końcu wykrzyknął:

- Słuchaj, jeżeli to jest makabryczny żart...

- Nie, Jerzy. To nie moja idiotyczna fantazja. Takie są zabawy tych dzieci milionerów.

*

Prokurator natychmiast dał nakaz przeszukania wszystkich mieszkań, należących do rodziny Suwalskich, Pałacykiem w Babińcach i dwiema willami nad Jeziorem Czarnym zajął się Horny wraz z oficerami z komend wojewódzkich. Szczęsny z Kręglewskim i Olesińskim

pojechali na Sadybę, potem - w razie nieznaalezienia łańcuszka i taśmy - mieli udać się do trzeciej willi.

Przedtem jeszcze pułkownik Daniłowicz w obecności Szczęsnego miał dłuższą rozmowę z Arturem Suwalskim. Starszy pan był wyraźnie załamany wiadomością o zabójstwie, popełnionym przez jego syna. Nie chciał wierzyć, ostro zarzucił oficerom oszczerstwo, powoływał się też na różne wpływowe osobistości, a w końcu rzekł:

- Panowie, ja zdaję sobie sprawę, że muszę odpowiadać za nielegalne interesa. Trudno, w takiej robocie raz się wygrywa, raz przegrywa. Ale mój syn nigdy by nie popełnił zbrodni! Owszem, przyznaję, że pomagał mi w handlu walutą, zresztą i tak to wiecie. Są jednak granice pomiędzy łamaniem przepisów finansowych a zabijaniem. Mój syn został wciągnięty w jakiś spisek..

- Przez kogo? - przerwał Daniłowicz. Suwalski wzruszył ramionami.

- Skąd mogę wiedzieć! Pewnie jego koledzy. - Może i był taki, przyznaję, mocno niesmaczny zakład, ale to z pewnością jedynie żarty. Jakiś bandyta zamordował tego Kuniczewskiego, dla czego jednak ma za to odpowiadać mój syn? To chłopiec wyjątkowo wrażliwy, zdolny i inteligentny. Nigdy by się nie zgodził na coś takiego.

- Gdzie jest teraz Jacek? Dlaczego nie ma go w żadnym z waszych lak licznych domów?

Suwalski spojrzał bystro na pułkownika. Wyczuł ironię.

- Nie wiem. Tydzień temu wyjechał do Zakopanego. Myślę, że lada dzień wróci.

Szczęśny dał swemu szefowi znak oczami, że ma dość tej rozmowy, która nie posuwała sprawy naprzód, i wyszedł. Obaj kapitanowie niecierpliwili się w pokoju, gotowi do wyjazdu. Dochodziła szósta wieczór.

- Jedziemy - rzekł major. - Kto ma nakaz?

- Ja - odparł Kręglewski. - I co ten stary?

- Nie wierzy.

- Trudno się dziwić. Ja bym chyba też nie uwierzył, jakby chodziło o mego syna.

Otworzyli skomplikowane zamki kluczami, odebranymi Mrowcowi. Kiedy weszli do środka, zobaczyli czarno-fioletowe meble i cały ten wariacki przepych, Olesiński rzekł stanowczo:

- Gdybym tu spędził miesiąc, to by mnie pewnie odwieźli do jakiego Kulparkowa czy Tworek.

- Nie ma Tworek, mówi się „Pruszków” - sprostował Kręglewski. -
Od czego zaczniemy?

- Od sąsiada - mruknął Szczęśny. - Idź, Kazik, i sprowadź tu kogoś dla asysty, żeby procedurze stało się zadość.

Sąsiadem okazał się magister farmacji, niemłody pan z siwym wąsem. Przyszedł z oporami, stanął zdumiony, kiedy ujrzał pokoje, pokiwał głową.

- Nie przypuszczałem, że on tak mieszka.

- Zna pan właściciela?

- Nie. Za wysokie... a raczej, za bogate progi na moje nogi. Ja mam spółdzielcze em trzy i, chwała Bogu, dobrze w głowie. U mnie tak nie wygląda. Długo to potrwa, proszę panów?

- Postaramy się, żeby jak najkrócej.

Po dwóch godzinach farmaceuta zbuntował się i poszedł. Kręglewski, klnąc procedurę, przytargał dozorcę z pobliskiego bloku. Ciec był uradowany niecodzienną rozrywką, usiadł w czarnym fotelu i nie pytany zaznaczył, że może asystować do północy, a nawet i dłużej. Fiolet obicia kanapy z czymś mu się skojarzył, spytał nawet, czy to mieszkanie biskupa.

W czwartej godzinie poszukiwań kapitan Olesiński przystanął przed popiersiem z brązu.

- Nie pasuje mi tu Szopen - rzekł. - Wygląda, jakby go ustawiono przypadkiem i bez zgody właściciela.

Wziął odlew w ręce, zdziwił się, że taki ciężki i już miał odstawić z powrotem, kiedy w środku coś zagrzechotało. Potrząsnął kilka razy, próbując zgadnąć, co taki dźwięk może oznaczać. Potem obejrzał popiersie dokładnie i zaczął mu odkręcać głowę.

- No tak - mruknął Szczęsny, widząc jak kapitan wyjmuje z wnętrza rzeźby miedziany łańcuszek i taśmę. - Marek, masz u mnie duży koniak. Jak na to wpadłeś?

- Nieważne. Poruszyłem i zachrobotowało. Jest tu gdzieś magnetofon?

Major rozejrzał się po pokoju. Był, ale kasetowy. Drugi, starszego typu, znaleźli na półce. Przyszedł Kręglewski, zaciekawiony, co robią. Szczęsny nałożył taśmę, uruchomił magnetofon. Usłyszeli trzask otwieranych drzwi, potem głos: „Jak się masz, stary! No, cóż. Mamy dzisiaj dwudziesty szósty listopada. Jestem, słucham twojej relacji o zbrodni doskonalej...”

- To pewnie Mrowiec - szepnął Marek.

Dalej usłyszeli z taśmy o kolacji, potem troskliwe zapytanie o zdrowie („masz gorączkę, pewnie grypa cię bierze albo angina”), potem ktoś wszedł, szczerkały talerze, jeszcze było o pieczeni wołowej z pieczarkami, co w kontekście zabójstwa brzmiało jak surrealistyczna opowieść albo dialog z filmu typu thriller. Wreszcie odezwał się ten drugi, powolny głos, który musiał być głosem Jacka Suwalskiego:

„Trzy miesiące temu założyłem się z tobą i Piotrem, że w okresie od tamtej nocy do dzisiaj dokonam zabójstwa, które nigdy nie da się wykryć...” Długo jeszcze bezszelestnie obracał się krążek taśmy, a z głośnika płynęły słowa o zbrodni Kiedy Jacek opowiedział o listach z Anglii, Szczęsny uderzył ręką w stolik.

- Nareszcie wiem dlaczego Kuniczewski wyszedł wtedy w nocy z domu!

Taśma skończyła się, major wyłączył magnetofon. Stali dłuższą chwilę, komentując to, co usłyszeli. Wiele szczegółów zgadzało się z ich wersją wydarzenia, inne dopiero teraz poznali.

- A swoją drogą - rzekł Kręglewski - jak on mógł przechowywać taki wyraźny dowód swojej zbrodni. Nie liczył się zupełnie z tym, że ktoś mógł to znaleźć?

- Jak widzisz, Mrowiec i Kosański przeszukali podobno całe mieszkanie i nie znaleźli. Gdyby Marek nie zainteresował się Szopenem, w którym chrobotą... Trzeba będzie przeprowadzić ekspertyzę głosów z taśmy. Ale i tak myślę, że koło się zamknęło. Mamy wystarczającą ilość dowodów, aby prokurator wystosował list gończy za Jackiem. Gdzież ta kanalia się ukrywa?! Słuchajcie, jedziemy jeszcze do tej willi niedaleko Babiniec. Chciałbym coś znaleźć.

- Coś czy kogoś?

- Coś - powtórzył Szczęsny.

Wyjechali o siódmej rano. Nastąpiła odwilż, śniegi stopniały i droga służbowym mercedesem u płynęła szybko i bez przeszkód. Nowakowie, przestraszeni biegiem wypadków, wśród których się znaleźli, pilnowali jednak domu, choć nie wiedzieli, co dalej z nimi będzie. Nowakowa otworzyła oficerom drzwi, popatrzała na nich z respektem, a kiedy Kręglewski poprosił o asystę podczas przeszukania, pokiwała głową i westchnęła:

-.Mój ty Boże, takie bogate państwo, a tu rewizja...

- Czego szukamy? - zdziwił się Olesiński.” bo Szczęsny przez całą drogę nie odpowiadał na to pytanie. - Powiesz wreszcie?

- Chodźcie - odparł, rozglądając się uważnie dokoła.

- Ależ tu ładnie! - zachwycił się Kręglewski. - Przynajmniej z gustem umeblowane, nie tak jak na Sadybie.

- Bo willę urządził plastik i architekt, a nie Jacek. Proszę pani, gdzie jest telefon? - zwrócił się major do Nowakowej.

Wskazała mu pokój myśliwski.

- Przejechaliśmy taki świat drogi, aby gdzieś zadzwonić? - burknął kapitan. Był niewyspany i zmęczony.

Szczęsny podszedł do telefonu. Na stoliku obok leżała książka z numerami mieszkańców Warszawy. Wziął ją do ręki, poszukał litery „K”. Tamci zrozumieli już, o co mu chodziło, i podeszli bliżej.

- Jest. Patrzcie, tu przy nazwisku Zbigniewa Kuniczewskiego dość mocne ukłucie nożem, przebił nawet kilka kartek.

- Pewnie którymś z tych - dodał Olesiński, przyglądając się gablocie z kordelasami i nożami myśliwskimi. - Ale jak on rzucał?

- Musiał gdzieś książkę powiesić, jakoś umocować. Zaraz, chyba tutaj - podszedł do drzwi. W jednym miejscu dostrzegł maleńki ślad po wbitym gwoździu.

- Zastanawia mnie psychika tego chłopaka - rzekł Olesiński. - Jeżeli już chciał zabić obcego człowieka, wystarczyło strzelić na ulicy do pierwszego z brzegu przechodnia i odjechać. A on wymyślił tak

skomplikowane, sposoby. Po co? Sprawiało mu to przyjemność? Patologia. On nie jest normalny.

Jacek Suwalski ukrywał się przez jedenaście dni. Drogo opłacił znajomą prostytutkę, nie wychodził od niej z mieszkania. Dziewczyna najpierw rada była, że dostaje pieniądze „za nic”. Kiedy jednak zobaczyła komunikat w telewizji i list gończy w „Expressie”, przemyślała rzecz całą i pokazała mężczyźnie drzwi.

- Nie chcę przez ciebie iść do kicia - powiedziała stanowczo. - Na co mi to? Co robię, to moja sprawa, ale z mokrą robotą nie chcę mieć nic wspólnego. Wynoś się!

Wyszedł więc na idicę, postawił kołnierz od kozucha, wcisnął futrzaną czapkę na uszy, na oczach miał ciemne okulary. Był wieczór. Po wczorajszym deszczu znowu chwycił mróz, chodniki i jezdnie tworzyły lodową, śliską taflę. Wsunął ręce w kieszenie, szedł powoli zastanawiając się, dokąd pójść. Był przekonany, że żaden z dawnych kolegów nie zgodzi się na przechowanie go u siebie. Wszyscy już z pewnością wiedzą, boją się, nie otworzą mu drzwi.

Nie mógł zrozumieć, jak to się stało, że milicja poznała prawdę. Sądził, że chyba doniósł Mrowiec. Może znalazł w jego mieszkaniu taśmę, zniszczył i jest kryty. Więc gdzie się schować? Ojciec na pewno jest pod obserwacją, Magda z przyjemnością sama by go oddała w ręce milicji... Przyszedł mu na myśl Bamrosz. Tam, w leśniczówce, mógłby

przetrzymać do wiosny, a później jakoś przedostać się za granicę. Mieli krewnych w Anglii i w Stanach.

Minął go radiowóz. Nagle zobaczył kątem oka, że samochód zwolnił i zawraca. Poczował lodowate zimno, zdrętwiały mu ręce i oblał się potem. Radiowóz przejechał obok niego powoli, wyprzedził go trochę. Staął. Drzwiczki otworzyły się, ale Jacek nie czekał, aż ktoś wysiądzie i podejdzie. Gwałtownym skokiem rzucił się ku przeciwległej stronie ulicy.

Nie zdążył tego zrobić. Nie zauważył, że z tyłu nadjeżdża z dużą szybkością fiat 125p. Rozległ się przeraźliwy pisk opon, wóz zarzucił na śliskiej jezdni, obrócił się w kółko i całym ciężarem uderzył w człowieka, który próbował przebiec na drugą stronę. Ktoś krzyknął, na asfalcie zakotłowało się. Z radiowozu wyskoczyło dwóch milicjantów, z fiata na chwiejnych nogach wydobył się kierowca. Wszyscy stanęli przy leżącym, któryś z milicjantów przykląkł, poświecił. - Nie żyje. Głowa pogruchotana

- Na miłość boską, ja w żaden sposób nie mogłem zahamować! - wykrzyknął kierowca fiata - On mi wleciał prosto pod kola. Pijany czy samobójca?

- Widziałem - przytwierdził funkcjonariusz. - Rzeczywiście, na takim szkłe nawet Sobiesław Zasada nie zdążyłby się zatrzymać. Trzeźwy pan? - spytał surowo i wyjął balonik. Kierowca posłusznie

nadmuchał. - W porządku. Cóż, trudno. Tamten sam sobie winien. Ale czemu on się tak nagle poderwał?

- Wygląda na to, że się złąkł radiowozu - powiedział drugi milicjant. - Wcale na niego nie patrzyłem, tylko ona ten znak drogowy, źle ustawiony. Pański dowód osobisty, proszę - zwrócił się do kierowcy.

Ten podał dokument, ręce mu się trzęsły ze zdenerwowania. Był młody, samochód miał znaki rejestracyjne z Wrocławia.

- Inżynier Stanisław Kuniczewski, tak? - pytał milicjant. Nagle zmarszczył brwi, nazwisko było mu nie obce. - Kuniczewski? - powtórzył. - Miał pan krewnych w Warszawie?

- Nie, nikogo. Przyjechałem na kurs dokształcania kadr w ministerstwie. Czemu pan pyta?

- Zbigniewa Kuniczewskiego nie znał pan?

- Nie. A co się z nim stało? Milicjant nie odpowiedział.

EPILOG

Za zakrętem droga rozwidlała się. Ryszard jednak pamiętał, dokąd ma skręcić i co zobaczy na końcu tej drogi. Ciekawe - myślał - czy oni tu jeszcze mieszkają...

Jako dziennikarz miał dostęp do niektórych spraw, prowadzonych przez milicję i prokuraturę, zanim akt oskarżenia był gotowy lub zanim rozpoczynała się rozprawa sądowa. Słyszał więc o wielkiej aferze

przestępstw de wizowo-gospodarczych, dotyczącej pewnego ajenta gastronomicznego i kilku innych. Doszło też do niego, że wmieszany jest w to Artur Suwalski, że podobno zabił się czy też zginął w wypadku jego syn i że za tym wszystkim kryje się jakaś ciemna, trudna do uwierzenia historia „zakładu o śmierć”.

Prokurator, poproszony o bliższe szczegóły, wymownie rozłożył ręce. - Jeszcze nie - powiedział. - Jeszcze rzecz jest w toku, zbyt wiele osób pozostało na razie poza naszym zasięgiem. Jak zakończymy śledztwo, zawiadomię pana.

Na tym musiał więc poprzestać. Prokurator, widząc jego zmartwioną minę, rzucił kilka drobnych szczegółów, dotyczących gastronomii. Ot, na przykład - kierowniczka jednego z licznych cocktail-barków kupowała w sklepach spożywczych skrzynki piwa po osiem złotych butelka i sprzedawała w barku po trzydzieści dwa. „Dochód” skakał w górę natychmiast, a przecież chodziło tylko o piwo, takich spraw było wiele więcej. Pośrednicy handlowi przy pomocy im tylko wiadomych argumentów, dostarczali agentom doskonały towar, którego przedtem nie kupiła jakaś instytucja państwowa, gdyż rzekomo był „nie wart” Na tym również zarabiano przysłowiowe kokosy. Trzeci gatunek sprzedawało się jako pierwszy, krajowy sweter - z przyszytą metką zagraniczną - za potrójną cenę. Spekulacje na olbrzymią skalę uszczuplały bez przerwy interes skarbu, państwa, aferzyści wykazywali

obroty o połowe mniejsze, a - przemycone dewizy lokowali w bankach zagranicznych.

Myślał teraz o tym wszystkim, mijając wioskę nad jeziorem. Był ciepły czerwcowy wieczór. Jak jechałem tędy po raz pierwszy w kwietniu ubiegłego roku - przypominał sobie - kończyli budować piękną willę. Na skraju lasu, w pobliżu jeziora, za takim ostrym zakrętem. Aha, jest!

Zwolnił, zatrzymał samochód. Wsiadł i pełen ciekawości zbliżył się do willi. Wyglądała tak samo. Chociaż... W ogrodzie, wśród młodych drzew i krzaków róż, siedziało kilku mężczyzn. Byli mocno już posunięci w latach, obok jednego krzeselka stały inwalidzkie kule, przy innym biała laska. Zaintrygowany, przyglądał się temu z daleka, kiedy ktoś odezwał się za jego plecami:

- Wówczas pan się mnie zapytał, jak powinno być. Nie dałem odpowiedzi. Teraz pan ją ma przed oczami.

Ryszard odwrócił się. Poznał szczupłego, wąsatego robotnika, z którym rozmawiał podczas pierwszego przyjazdu. Palił krótką fajeczkę i uśmiechał się pod wąsem. Przywitali się i dziennikarz spytał:

- Suwalski już tu nie mieszka?
- Suwalski siedzi.
- A to tutaj? - pokazał ręką willę.

- To jest Dom Kombatanta. Wczoraj przywiozłem tu ojca, na całe lato. Niech sobie staruszek pogada z dawnymi towarzyszami broni, powspomina. A jest o czym.

- Więc teraz ja się pana - zapytam: czy to już jest tak, jak pan chciał? I tak, jak chciał pański ojciec, kiedy walczył?

Wąsaty pomilczał chwilę.

- Jeżeli nie jest. - odparł - to w każdym razie będzie. Ale jeszcze bardzo dużo jest do zrobienia. Takich Suwalskich nie sieją, sami wyrastają jak chwasty. I ciągle niszczą nasze pola.